

**Roberts Nora**

**Pokusa 02**

**Rajska jabłoń**

*Eden Carlbough wcale nie uważała, że prowadzenie obozu dla dziewcząt będzie łatwe. Jednak nawet nie przemknęło jej przez głowę, że jej wychowanki okażą się wręcz małymi diabolicami i zmuszą ją do ukrycia się na jabłoni. Na szczęście z opresji uratował ją właściciel sadu. Kiedy Eden wpadła w jego ramiona, Chase pomyślał z rozbawieniem, że oto wąż wodzi go na pokuszenie. Ale jak tu oprzeć się pokusie, skoro niechcący otrzymał tak wspaniałą zakazany owoc?*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nienawidzę pobudek o szóstej rano.

Promienie słońca, które przenikały przez cienką siatkę w oknie, padały na drewnianą podłogę, metalowe pręty łóżka i na twarz Eden, a odgłos porannej syreny dudnił jej w uszach. Chociaż знаła ten dźwięk dopiero od trzech dni, zdążyła go szczerze znienawidzić.

Wtuliła twarz w poduszkę, przez moment wyobrażając sobie, że leży w wielkim, wygodnym łóżu z baldachimem. Mmm, duża sypialnia o pastelowych ścianach, satynowa pościel o lekko cytrynowej woni, zaciągnięte zasłony, w powietrzu aromat świeżych kwiatów...

Niestety od poduszki bił zapach pierza i detergentu.

Mrucząc gniewnie pod nosem, zrzuciła poduszkę na podłogę i oparła się na łokciu. Sennym wzrokiem patrzyła, jak Candice Bartholomew, uśmiechając się szeroko, wyskakuje z sąsiedniego łóżka.

- Dzień dobry. - Długimi, szczupłymi palcami Candy przeczesała gęste rude loki, po czym przeciągnęła się. Widać było, że od samego rana rozpiera ją energia. - Ależ wspaniała pogoda!

Eden znów mruknęła coś pod nosem i spuściła nogi na podłogę. Przez moment siedziała na skraju łóżka, dumając nad tym, że trzeba wstać.

- Wiesz, jak łatwo cię znienawidzić? - oznajmiła grubym od snu głosem, odgarniając z twarzy potargane blond włosy.

Candy otworzyła drzwi, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza, i przyjrzała się zaspanej przyjaciółce, która siedziała z zamkniętymi oczami, ziewając szeroko. Znając jej niechęć do wczesnego wstawania, przezornie nic nie mówiła.

- Nie wierzę, że już jest rano. Przecież spałam zaledwie pięć minut. Przysięgam. - Eden oparła łokcie na kolanach, a brodę na dłoniach.

Miała mleczną cerę z odrobiną różu na policzkach. Nos mały, leciuteńko zadarty. Chłodną arystokratyczną urodę łagodziły duże, pełne wargi.

Candy znów odetchnęła głęboko rześkim powietrzem i zamknęła drzwi.

- Pysznic i kawa postawią cię na nogi. Pierwszy tydzień jest zawsze najgorszy.

- Łatwo ci mówić. - Eden otworzyła oczy. Były koloru nieba w jasny, słoneczny dzień. - To nie ty wpadłaś w trujący bluszcz.

- Wciąż cię swędzi?

- Trochę. - Starając się pokonać zły humor, Eden zdobyła się na uśmiech i jej rysy natychmiast złagodniały. - No dobra, musimy dać dziewczynkom dobry przykład. Bądź co bądź jesteśmy ich opiekunkami. - Jeszcze raz ziewnęła, po czym wstała i wciągnęła szlafrok. Rozejrzała się za kaptami. Powietrze, które wpadało przez siatkę w otwartym oknie, było na tyle chłodne, że marzły jej stopy.

- Sprawdź pod łóżkiem - poradziła Candy.

I faktycznie, znalazła tam swoje różowe, atlasowe bamboszki z haftem, dość niepraktyczne, za to jedyne, jakie miała, a szkoda jej było wydawać pieniądze na nową parę. Włożywszy je, ponownie usiadła na łóżku.

- Naprawdę uważasz, że pięciokrotny wyjazd do For-den przygotował nas do poprowadzenia własnego obozu?

Candy, którą również nękały wątpliwości, zaczęła wykręcać nerwowo ręce.

- Tylko mi nie mów, że chcesz zrezygnować...

Lęk i wahanie w głosie przyjaciółki sprawiły, że Eden czym prędzej wzięła się w garść. W Liberty zainwestowała trochę pieniędzy oraz mnóstwo czasu i emocji. Zależało jej na tym, aby ich wspólne przedsięwzięcie odniosło sukces. Zerwała się z łóżka i ścisnęła Candy za ramię.

- Spokojna głowa. Po prostu zawsze budzę się w podłym humorze. Wskoczę pod prysznic, a potem mogę stawić czoło naszym dwudziestu siedmiu podopiecznym. - Skierowała się do łazienki.

- Zobaczysz, kochanie, na pewno nam się uda - rzuciła za nią Candy.

- Wiem.

Zamknęła drzwi. Teraz, gdy nikt jej nie widział, nie musiała robić dobrej miny do złej gry. Była przerażona. Wszystko, co miała - swój ostatni grosz, resztki nadziei - włożyła w sześć domków, stajnię oraz stołówkę składające się na Obóz Liberty. Wszystko pięknie, tylko co

ona, Eden Carlbough, niedawna bywalczyni filadelfijskich salonów, może wiedzieć o prowadzeniu letniego obozu dla nastolatek? Nic.

A jeżeli interes się nie powiedzie? Jak będzie wyglądało jej życie? Czy zdoła się podnieść i zacząć wszystko od nowa? Wiary w siebie i odwagi, tego najbardziej mi trzeba, pomyślała, wchodząc do ciasnej kabiny prysznicowej. Odkręciła kran z ciepłą wodą. Pocięła niemrawy letni strumyk. Wiary w siebie, powtórzyła, drżąc z zimna. Wiary w siebie, gotówki i całe mnóstwo szczęścia.

Sięgnąwszy po drogie francuskie mydło, jeden z ostatnich luksusów, na jaki sobie pozwalała, namydliła całe ciało. Jeszcze rok temu nie przyszłoby jej do głowy, że coś tak prozaicznego jak mydło może stanowić luksus.

Rok temu...

Obróciła się, by strumień chłodnej wody omył jej plecy. Rok temu wstałaby z łóżka około ósmej, wzięła gorącą kąpiel, potem zjadła śniadanie, grzanek z kawą, może jajka sadzone. Przed dziesiątą ruszyłaby do biblioteki, w której parę razy w tygodniu pracowała społecznie. Następnie wybrałaby się z Edkiem na lunch, przypuszczalnie do „Deux Cheminees”, a po południu do muzeum albo wspomóc w akcji charytatywnej ciotkę Dottie.

Jedynie decyzje, które musiałaby podjąć, dotyczyłyby stroju: czy włożyć kostium z różowego jedwabiu, czy z beżowej bawełny. Wieczór spędziłaby w domowym zaciszu lub na uroczystej kolacji w którejś z eleganckich filadelfijskich rezydencji.

Zero stresu. Zero problemów. Ale wtedy, rok temu, żył jeszcze jej ojciec.

Wzdychając ciężko, splukała z ramion resztki piany, po czym wyszła z kabiny i wytarła się do sucha. Delikatny zapach mydłach pozostał na jej ciele. Rok temu uważała, że pieniądze są po to, żeby je wydawać, a czas jest czymś, co trwa wiecznie. Wychowano ją tak, by potrafiła układać menu, lecz nie gotować; by umiała prowadzić dom, lecz nie zajmowała się sprząaniem.

Dzieciństwo miała szczęśliwe i beztrudne. Dorastała bez matki, z owdowiałym ojcem, w budzącej zachwyt starej filadelfijskiej rezydencji. Chodziła na przyjęcia i bale, brała lekcje konnej jazdy. Nazwisko Carlbough było znane, powszechnie szanowane, kojarzone z bogactwem.

Jak szybko wszystko może się zmienić.

Dziś to Eden udzielała lekcji konnej jazdy i zapisywała wydatki w zeszycie, modląc się w duchu, aby jeden plus jeden czasem dało więcej niż dwa. Przetarła ręcznikiem małe zaparowane lustro nad umywalką, następnie nabrała na palec odrobinę ekskluzywnego kremu do twarzy, który został jej z dawnych czasów. Zamierzała tak z niego korzystać, aby starczył do końca lata. Jeżeli z Candy odniosą sukces, w nagrodę kupi sobie drugi słoiczek.

Po wyjściu z łazienki zastała pusty pokój. Candy, którą znała od dwudziestu lat, przypuszczalnie omawiała z dziewczynkami program dnia. Przyjaciółka błyskawicznie się zaaklimatyzowała i wczuła w rolę wychowawczynie i opiekunki. Czas najwyższy, pomyślała Eden,

abym wzięła z niej przykład. Wyjęła z szafy dzinsy i koszulkę z napisem „Liberty”. Nawet jako nastolatka rzadko nosiła dzinsy.

Lubiła życie, jakie wiodła - przyjęcia, wyjazdy na narty do Vermontu, wypadki do Nowego Jorku do teatru lub na zakupy, wakacje w Europie. Pracować na swoje utrzymanie? Taki pomysł nigdy nie przyszedł jej do głowy, a tym bardziej jej ojcu. Kobiety z rodziny Carlbough przewodniczyły organizacjom charytatywnym, a nie pracowały zarobkowo.

Podczas studiów pogłębiała wiedzę ogólną i rozwijała zainteresowania, w ogóle jednak nie myślała o karierze. Dlatego teraz, w wieku dwudziestu trzech lat, nie miała żadnych konkretnych umiejętności czy kwalifikacji.

Teoretycznie mogłaby winić ojca. Ale jak winić człowieka, który kochał ją nad życie i spełniał każde jej życzenie? Raczej powinna mieć pretensje do siebie za to, że była taka naiwna i krótkowzroczna. Natomiast ojca uwielbiała bezgranicznie. Mimo że minął rok od jego nagłej śmierci, wciąż czuła dojmujący smutek.

Ale ze smutkiem umiała sobie radzić. Jedno, czego się nauczyła w życiu, to panować nad emocjami, skrywać najgłębsze uczucia. Przez całe lato będzie przebywała wśród ludzi, w otoczeniu wychowawców i młodzieży. Wiedziała, że nikt z nich nie zorientuje się, że wciąż opłakiwała ojca. Ani że Eric Keeton złamał jej serce.

Eric, zdolny bankier w firmie jej ojca. Uprzejmy, czarujący młody człowiek o nienagannych manierach. Na ostatnim roku studiów



przyjęła od niego pierścionek zaręczynowy i zgodziła się zostać jego żoną. Przysiągł jej wieczną miłość.

Nadal bolało ją to, jak się zachował. Zamiast jednak cierpieć, wolała czuć gniew. Patrząc do lustra, ściągnęła włosy w koński ogon. Oczywiście jej fryzjerka wzdrygnęłaby się z obrzydzeniem.

- Tak jest o wiele praktyczniej - powiedziała Eden do swojego odbicia.

Tu, na obozie, nie była kobietą z wysokich sfer; tu pracowała, zarabiała na życie. Rozpuszczone włosy tylko by przeszkadzały podczas lekcji konnej jazdy.

Na moment zacisnęła palce na skroniach. Ranki zawsze były najgorsze. Budziła się z przekonaniem, że to wszystko jest złym snem i kiedy tylko otworzy oczy, będzie w swoim rodzinnym domu. Ale nie była. I dom już do niej nie należał. Mieszkali w nim obcy ludzie. A śmierć ojca wcale jej się nie przyśniła, tylko wydarzyła się naprawdę.

Brian Carlbough zmarł w nocy w wyniku potężnego zawału, zostawiając zrozpaczoną córkę. Zanim Eden zdołała się pozbierać, wydarzyło się kolejne nieszczęście.

Zaproszona do gabinetu, w którym unosił się zapach starej skóry i świeżej pasty do podłogi, spotkała się z prawnikami. Elegancy, odziani w trzyczęściowe garnitury, z poważnymi minami wygłosili długi, uczony wywód, który zburzył cały jej dotychczasowy świat. Nieostrożne inwestycje, spadkowe tendencje na giełdzie, jeden kredyt hipoteczny, drugi kredyt hipoteczny, kilka pożyczek

krótkoterminowych. Kiedy wszystko jej dokładnie wytłumaczyli, okazało się, że konto w banku jest puste.

Brian Carlbough był hazardzistą, a szczęście akurat się od niego odwróciło i zmarł, zanim zdążył odrobić straty. Eden sprzedała wszystkie nieruchomości, aby pospłacać ojcowskie długi, między innymi dom, w którym dorastała i który kochała. Okazało się, że pogrążona w żałobie nie ma gdzie mieszkać ani za co żyć. Jakby tego było mało, to jeszcze Eric wymierzył jej cios prosto w serce.

Otworzyła drzwi i odetchnąwszy głęboko chłodnym porannym powietrzem, ruszyła w stronę największego domku, który służył za stołówkę. Zapierające dech zielone wzgórza oraz czysty błękit nieba nie wywarły na niej wrażenia. Tak naprawdę nawet nie zwróciła na nie uwagi.

Myślami była w Filadelfii. „Skandal” - usłyszała w głowie spokojny głos Erica. „Reputacja, kariera”. Mówił o sobie. Ona straciła wszystko, co miała najdroższego na świecie, a on zastanawiał się nad tym, jak to się odcisnie na jego życiu.

Nigdy jej nie kochał. Nie przerywając marszu, wepchnęła ręce do kieszeni. Jaka była głupia, że wcześniej tego nie zauważyła. Trudno, pomyślała. Dostałam nauczkę. Drugi raz nie powtórzy takiego błędu. Ericowi nie zależało na niej, lecz na jej nazwisku, pozycji społecznej, majątku. Kiedy została z niczym, bez domu, bez pieniędzy, natychmiast z nią zerwał.

Wściekła, zwolniła nieco krok. Jak by to wyglądało, gdyby wpadła do stołówki zziębnięta, z zaczerwienioną z gniewu twarzą, rzucając oczami gromy? Kilka razy odetchnęła głęboko.

Powietrze było chłodne, ale wiedziała, że do południa się ociepli. Przecież lato dopiero się zaczęło.

Rozejrzała się wkoło. Ależ tu jest pięknie! Na terenie obozu stało kilka małych, uroczych domków. Przez otwarte okna dolatywał dziewczęcy śmiech. Wzdłuż ścieżki między domkiem czwartym a piątym kwitły zawilce. Obok rósł dereń. Nad domkiem numer dwa przedrzeźniacz naśladował głosy innych ptaków.

Dalej, za obozem, ciągnęły się zadrzewione wzgórza, na których konie skubały trawę. Poczucie przestrzeni było tu niesamowite, zwłaszcza dla osoby takiej jak Eden, przyzwyczajonej do życia w dużym mieście. Ulice, budynki, samochody, tłumy ludzi, to był jej świat. Czasem łapała się na tym, że potwornie za nim tęskni. Mogła wrócić, to wciąż było możliwe. Ciotka Dottie zaproponowała jej dach nad głową. Nikt nigdy się nie dowie, jak mocno Eden walczyła z pokusą. Korciło ją, żeby zamieszkać z ciotką i nadal unosić się na fali dobrobytu.

Może odziedziczyła po ojcu skłonność do hazardu? Czy inaczej zainwestowałaby nędzną resztkę pieniędzy, która jej została, w tak niepewne przedsięwzięcie jak letni obóz dla dziewcząt?

Nie miała wyjścia. Po prostu musiała podjąć ryzyko. Nie chciała żyć jak dawniej, pod kloszem. Może tu, na tych otwartych przestrzeniach, dowie się, kim naprawdę jest, jakie ma pragnienia i oczekiwania. Może lepiej pozna samą siebie, poszerzy horyzonty myślowe i odkryje, co chce w życiu robić.

Candy ma rację, stwierdziła w duchu. Uda się nam. Na pewno odniesiemy sukces.

- Głodna? - Ni stąd, ni zowąd przyjaciółka wyłoniła się spomiędzy drzew. Włosy miała wilgotne, najwyraźniej też przed chwilą wyszła spod prysznic.

- Jak wilk - odparła Eden, obejmując ją ramieniem. - Gdzie się podziewałaś?

- Znasz mnie; musiałam sprawdzić, czy wszystko w porządku. - Podobnie jak Eden, rozejrzała się wkoło. Na jej twarzy malowały się zachwyty, radość, strach, duma. - Martwiłam się o ciebie.

- Niepotrzebnie. Po prostu wstałam lewą nogą.

Z pobliskiego domku wybiegła grupa dziewczynek, kierując się w stronę stołówki.

- Kochanie, przyjaźnimy się od kołyski. Nikt lepiej ode mnie nie wie, co przeżywasz, jakie stresy...

To prawda, pomyślała Eden, a ponieważ kochała Candy najbardziej na świecie, postanowiła, że musi lepiej ukrywać przed nią niezagojone rany.

- Bez przesady, nad wszystkim panuję.

- Pewnie tak, ale mam wyrzuty sumienia, że wciągnęłam cię w ten interes.

- Zorganizowanie obozu dla dziewcząt to świetny pomysł, a ja chciałam zainwestować pieniądze. Wprawdzie było ich żałośnie mało...

- Mało? Dzięki twojemu udziałowi mogłam dodać program jeździecki, a kiedy jeszcze zgodziłaś się przyjechać tu i udzielać lekcji...

- No wiesz, muszę doglądać swojej inwestycji - oznajmiła lekkim tonem Eden. - Zobaczysz, za rok nie będę księgową na pół etatu i instruktorką jeździectwa, lecz pełnoprawną wychowawczynią. Nie miej żadnych wyrzutów, Candy. Ten wspaniały teren należy do nas.

- I do banku.

Eden wzruszyła ramionami.

- Odniesiemy sukces. Ty dlatego, że zawsze chciałaś pracować z dziećmi, a ja... - Westchnęła ciężko. - Ja dlatego, że zawalił mi się świat. Przynajmniej tutaj mam dach nad głową, trzy posiłki dziennie i cel. Muszę udowodnić sobie i innym, że potrafię stanąć na nogi.

- Ludzie uważają, że zwariowałyśmy.

- Niech myślą, co chcą. - Po raz pierwszy w życiu nie zamierzała się przejmować cudzym gadaniem.

Roześmiewszy się wesoło, Candy pociągnęła przyjaciółkę za włosy.

- Chodźmy na śniadanie.

Dwie godziny później Eden zakończyła pierwszą tego dnia lekcję. Był to jej wkład we wspólne obozowe przedsięwzięcie, to znaczy nauczanie konnej jazdy oraz prowadzenie księgowości. Candy powierzyła jej sprawy finansowe z prostego powodu, a mianowicie sama myliła się w najprostszyc rachunkach.

Gdy już podjęła decyzję o zorganizowaniu obozu, nadzwyczaj poważnie podeszła do zadania. Przeprowadziła wiele rozmów kwalifikacyjnych, po czym zatrudniła wzbudzających zaufanie wychowawców, dietetyka i pielęgniarkę. W przyszłości chciała na terenie ośrodka wybudować basen. Na razie obozowiczki mogły pływać w jeziorze, wiosłować, uczestniczyć w zajęciach z rysunku i rzeźby, strzelać z łuku, urządzać długie marsze. Candy miesiącami układała program, a Eden pilnowała, żeby wydatki nie przewyższały zysków. Miały nadzieję, że starczy na wszystko pieniędzy.

W przeciwieństwie do swojej przyjaciółki, Eden wcale nie uważała, że najtrudniejszy będzie pierwszy tydzień. Owszem, Candy lepiej znała się na prowadzeniu obozu, ale od dzieciństwa była optymistką i nie zwracała uwagi na czynione czerwonym długopisem adnotacje w księgach.

Starając się nie myśleć o sprawach finansowych, przywołała do siebie dziewczynki w czarnych toczkach jeździeckich.

- Na dziś to już koniec - oznajmiła, patrząc na sześć młodych twarzy. - Doskonale wam idzie.

- Panno Carlbough, kiedy będziemy mogły galopować?

- Najpierw musicie nauczyć się kłusa. - Poklepała najbliższą stojącą klacz po zadzie. Czy to nie byłoby cudowne wskoczyć na koński grzbiet i pognać przed siebie tak szybko, żeby uciec nawet wspomnieniom? Nie bądź śmieszna, zganiała się w duchu. - No dobrze, a teraz zsiądźcie z koni i pozwólcie im odpocząć. - Odgarnęła z czoła grzywkę. - Pamiętajcie, żeby odłożyć wszystko na miejsce.

Tak jak się spodziewała, rozległ się chóralny pomruk niezadowolenia. Wiadomo, co innego jazda, a co innego robienie porządków. Poczytywała sobie jednak za sukces, że zdołała wytłumaczyć dziewczynkom, iż nie ma jednego bez drugiego. Po tygodniu, który minął od przyjazdu, potrafiła już dopasować imiona do twarzy. To też poczytywała sobie za sukces. Jedenasto- i dwunastolatki, które miała w swojej grupie, z entuzjazmem podchodziły do jeździectwa. Dwie lub trzy wykazywały podobną miłość do koni, jaką sama przejawiała w dzieciństwie. Dlatego mimo prażącego w głowę słońca, z przyjemnością odpowiadała na ich pytania. W końcu udało jej się zagonić dziewczęta do stajni.

- Eden!

Gdy się odwróciła, zobaczyła zasapaną Candy, na której twarzy malowała się głęboka troska.

- Co się stało?

- Brakuje trójki dzieciaków.

- Jak to brakuje? - Tylko dzięki latom treningu i umiejętności panowania nad emocjami, nie wpadła w panikę.

- No, brakuje. Roberty Snow, Lindy Hopkins i Marcie Jamison. Nie ma ich na terenie obozu. - Nerwowym ruchem przeczesła włosy.

- Były w grupie Barbary. Miały wiosłować, ale nie pojawiły się. Szukałyśmy wszędzie.

- Nie denerwuj się - powiedziała Eden, kierując słowa zarówno do siebie, jak i do przyjaciółki. - Roberta Snow... Czy to nie ta drobna



brunetka, która wrzuciła koleżance jaszczurkę za dekolt? Ta, która o trzeciej rano uruchomiła dzwonek na pobudkę?

- Owszem. Mała diablica. - Candy zacisnęła gniewnie zęby. - Roberta jest wnuczką sędziego Harpera Snowa. Jeśli zadraśnię sobie kolano, pewnie jej dziadek wytoczy nam proces... - Na moment Candy zamilkła. - Kiedy ostatni raz ją widziano, kierowała się tam, na wschód.

- Wskazała w lewo umazanym farbą palcem. - O pozostałych dwóch dziewczynkach nikt nic nie wie, ale podejrzewam, że wspólnie wybrały się na zwiedzanie. Kochana Roberta to urodzona przywódczyni.

- Jeśli wędrują w tamtym kierunku, to... to zawędrują do sadu naszego sąsiada.

- Wiem. - Candy westchnęła ciężko. - Za dziesięć minut zaczynam lekcję z rzeźby, w przeciwnym razie ruszyłabym za nimi. Jestem prawie pewna, że polazły do sadu. Podobno Roberta mówiła komuś, że chce nazrywać jabłek. Tylko tego nam trzeba, żeby zaleźć za skórę panu sadownikowi. Ublągałam faceta, żeby pozwolił nam korzystać z jeziora, lecz wcale nie był zachwycony, kiedy się dowiedział, że tuż obok urządzamy obóz dla dzieci.

- Biedaczysko - mruknęła Eden. - Dobra, mam najmniej zajęć, więc poszukam naszych amateerek jabłek.

- Dzięki, kochanie. Liczyłam na ciebie. Jeśli polazły do sadu, a pewnie polazły, to naprawdę możemy mieć kłopoty. Facet nie

zartował, kiedy mówił, że nie życzy sobie, by obcy pałętali się po jego terenie.

- Trzy małe dziewczynki nie narobią wielkich szkód - stwierdziła Eden, opuszczając padok.

Candy biegła obok, usiłując dotrzymać jej kroku.

- Facet nazywa się Chase Elliot. Kojarzysz firmę Jabłka Elliota? Produkuje cydr, mus, soki, dżemy, galaretki, wszystko, do czego można wykorzystać jabłka. Właściciel jasno dał mi do zrozumienia, że nie będzie tolerował w swoim sadzie żadnych obozowiczek.

- Żadnych nie znajdzie, bo pierwsza je dopadnę. - Przeskoczyła przez ogrodzenie.

- Robertę weź na krótką smycz, bo diablina znów ci zwieje! - zawołała Candy, patrząc, jak przyjaciółka znika za kępą drzew.

Wędrując ścieżką prowadzącą od obozu, Eden ucieszyła się, kiedy spostrzegła na ziemi pomięty kolorowy papierek. Wetknęła go do kieszeni. Wnuczka sędziego Snowa znana była z zamiłowania do słodczy.

Na otwartym terenie słońce mocno przygrzewało, ale ścieżka wiła się między drzewami, więc upał zbytnio nie dokuczał. Wokół ganiały wiewiórki. Małe spryciule nie bały się intruzów, wiedziały, że zdołają im umknąć. W pewnym momencie drogę przeciął królik, by zaraz zniknąć w zaroślach. W górze, na gałęzi, dzięcioł stukał w pień. Echo niosło się w obrębie kilkudziesięciu metrów.

Nagle przyszło Eden do głowy, że jest całkiem sama, z dala od cywilizacji. Zwykle wokół niej kręcili się jacyś ludzie, a tu poza ptakami i zwierzętami nie było nikogo. Podniosła z ziemi kolejny paperek. No, prawie nikogo.

Odkrywała nowe zapachy, nowe dźwięki, nowe rośliny. Niektóre kwiaty umiała już rozpoznawać. Jesienią usychały, wiosną znów wyrastały. Nikt ich nie podlewał ani nie nawoził. Wstąpiła w nią nadzieja. Ona też się podniesie. Może właśnie tu znajdzie dom. Jej przyjaciele w Filadelfii uważali, że ma nie po kolei w głowie, ale się nimi nie przejmowała.

Lasek zaczął się przeredzać, słońce operowało coraz silniej. Zmrużywszy oczy, osłoniła je przed rażącym blaskiem. Na wprost ciągnęły się jabłonie.

Nie tylko na wprost. Również na wschód i na zachód. Rzędy drzew owocowych, zarówno młodych, jak i poskręcanych ze starości, pokrywały łagodnie wznoszące się wzgórza. Eden wyobraziła sobie, jak cudownie musi tu pachnieć, kiedy wiosną wszystkie kwitną.

Podeszła do ogrodzenia, które oddzielało posiadłości. Tak, białoróżowe paki, świeże listki, powietrze przesiąknięte intensywną wonią... Teraz liście miały ciemną, soczyście zieloną barwę, a miejsce paków zajęły małe lśniące jabłuszka, które powoli zaczynały dojrzewać.

Zadumała się. Ciekawe, ile razy jadła mus z jabłek Elliota? Uśmiechając się do własnych myśli, wspięła się na ogrodzenie. Dotychczas sad kojarzył się jej z dziesięcioma lub piętnastoma

rzędami drzew owocowych pilnowanych przez staruszkę z laską. Nie sądziła, że mogą się ciągnąć aż po horyzont.

Raptem doleciał ją chichot. Gdy tam spojrzała, zobaczyła, jak z drzewa spada jabłko i toczy się do jej stóp. Podniosła je i rzuciła w bok, po czym wolnym krokiem podeszła do drzewa. Kiedy zadarła głowę, jej oczom ukazały się trzy pary tenisówek częściowo przysłoniętych przez liście.

- Panienki - rzekła chłodnym tonem i natychmiast usłyszała trzy pełne zdziwienia okrzyki - najwyraźniej w drodze nad jezioro skręciłyście w niewłaściwą stronę.

- Dzień dobry, panno Carlbough. - Spomiędzy liści wyłoniła się piegowata buzia Roberta. - Ma pani ochotę na jabłuszko?

Och, ty mała diablico, pomyślała Eden, z trudem powstrzymując uśmiech.

- Proszę natychmiast zejść. - Podeszła bliżej, żeby im pomóc. Oczywiście nie potrzebowały pomocy. Trzy zwinne ciała zsunęły się jedno po drugim na ziemię. Przybrawszy groźną minę, Eden uniosła brwi.

- Na pewno wiecie, że samowolne opuszczenie terenu obozu oznacza złamanie regulaminu?

- Tak, panno Carlbough - przyznała z pokorą w głosie Roberta, ale oczy błyszczały jej figlarnie.

- Ponieważ wiosłowanie was dziś nie interesuje, mam inną propozycję. Pójdziecie do kuchni i pomożecie pani Petrie zmywać naczynia. - Pogratulowała sobie w duchu pomysłu. - A więc marsz do

obożu. Najpierw zgłoszycie się do panny Bartholomew, a potem do kuchni.

Dwie dziewczynki opuściły głowy i wbiły wzrok w ziemię. Trzecia, z niedojedzonym jabłkiem w ręku, uniosła dumnie brodę.

- Uważa pani, że to uczciwe posyłać nas do kuchni? W końcu nasi rodzice płacą niemałe pieniądze za nasz pobyt na obozie.

Eden poczuła, jak kropelki potu rosą jej czoło. Sędzia Snow był bogatym, niezwykle wpływowym człowiekiem. Wiedziano też powszechnie, że wszystko by zrobił dla ukochanej wnuczki. Jeżeli mała diablica mu się poskarży... Eden odetchnęła głęboko i policzyła w myślach do trzech. Nie, nie pozwoli się zastraszyć ani zaszantażować dziecku z buzią lepka od soku jabłkowego.

- Owszem, płacą. Płacą za to, żebyście się dobrze bawiły, a jednocześnie czegoś nauczyły. W tym również o obowiązkach, a przestrzeganie regulaminu do nich właśnie należy. Jeżeli się ze mną nie zgadzacie, zadzwonię do waszych ojców i przedyskutuję z nimi to, co zaszło...

- Och nie, nie trzeba. - Uznawszy swoją porażkę, Roberta uśmiechnęła się czarująco. - Chętnie pomożemy pani Petrie w kuchni. I bardzo przepraszamy za złamanie regulaminu.

Cwaniara, pomyślała Eden, pełna podziwu dla rezolutnej dziewczynki. Oczywiście nie dała niczego po sobie poznać.

- Dobrze. Wracamy.

- Ojej, moja czapka! - zawołała Roberta i pomknęła z powrotem na drzewo, gdyby Eden nie chwyciła jej za łokieć. - Została

na górze. Błagam, panno Carlbough. To czapka mojej ukochanej drużyny baseballowej, są na niej autografy zawodników. Muszę ją odzyskać.

- Ja po nią wrócę, a wy ruszajcie do obozu. Panna Bartholomew bardzo się o was martwi.

- Przepraszamy ją.

- Słusznie - pochwaliła Eden, patrząc, jak dziewczynki przełazą przez ogrodzenie. - Tylko proszę nigdzie nie zbaczać! Inaczej czapka zostaje u mnie - zagroziła. - Potwory - mruknęła pod nosem i wreszcie pozwoliła sobie na uśmiech.

Po chwili obróciła się twarzą do drzewa. Wystarczy się wspiąć. Wcześniej nie wydawało się jej to przesadnie trudnym zadaniem, ale teraz... Podeszła bliżej, uniosła ręce i chwyciła się zwisającej nisko gałęzi. Kiedyś w Szwajcarii uprawiała wspinaczkę skałkową, uznała więc, że wejście na drzewo nie może być trudniejsze.

Podciągnąwszy się, zahaczyła nogę o rozgałęzienie. Kora była nieprzyjemna w dotyku, bardzo szorstka. Koncentrując się na zadaniu, Eden nie zwracała uwagi na zadrapania. Kiedy nogi tkwiły solidnie w rozgałęzieniu, podciągnęła się wyżej. Liście ocierały się o jej twarz.

Czapka wisiała na gałęzi mniej więcej półtora metra wyżej. Eden nieopatrznie zerknęła w dół i serce natychmiast skoczyło jej do gardła.

- Przestań - zganiła się. - Patrz do góry, nie w dół. Nic złego ci się nie stanie.

Przynajmniej miała taką nadzieję.

Ostrożnie podsuwała się coraz wyżej. Odetchnęła z ulgą, gdy w końcu czubkami palców chwyciła za brzeg czapki. Nasadziwszy ją sobie na głowę, odruchowo rozejrzała się dookoła. Piękno krajobrazu ponownie zaparło jej dech.

Hen, w oddali, widziała błękitną taflę jeziora, a za nią jakieś zabudowania, chyba stodołę, i coś, co przypominało szklarnię. Z pół kilometra na prawo, na polnej drodze, wypatrzyła porzuconą ciężarówkę, a tuż obok siebie przelatującego motyla o ogromnych żółtych skrzydłach. Powietrze rozbrzmiewało śpiewem ptaków.

Głęboko odetchnęła, by napawać się zapachem ziemi, liści, kwiatów. Wreszcie, nie mogąc się powstrzymać, zerwała z drzewa ogrzany słońcem owoc.

Przecież Chase Elliot nie zauważył braku jednego jabłka, pomyślała, wbijając zęby w twarde mięsz. Owoce były lekko cierpki, nie całkiem dojrzałe, ale soczyste. Ponownie odgryzła kawałek. Mmm, pyszne. Wyborne. Uśmiechnęła się. Nic dziwnego, zakazany owoc smakuje najlepiej.

- Co, do wszystkich diabłów, robisz na drzewie? - zawołał gromki głos.

Podskoczyła wystraszona i omal nie spadła. Przełknąwszy pośpiesznie kęs, spojrzała w dół.

Pod drzewem, z rękami na biodrach, stał szczupły, wysoki mężczyzna w dżinsowej koszuli. Podwinięte rękawy odsłaniały opalone, muskularne przedramiona. Eden powoli przesunęła wzrok wyżej. Mężczyzna miał wąską, spieczoną słońcem twarz o wyraźnie

zaznaczonych kościach policzkowych. Nos długi, lekko haczykowany, usta pełne, teraz wykrzywione w grymasie. Kruczoczarne potargane włosy opadały na czoło i kołnierzyk koszuli. Zielone oczy zdawały się przenikać człowieka na wylot.

Pięknie, pomyślała Eden, najpierw zakazany owoc, a teraz wąż. Miała ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię. Tego tylko brakowało, żeby zarządca sąsiedniej posesji przyłapał ją na kradzieży jabłek. Otworzyła usta, chcąc się wytłumaczyć, ale zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, mężczyzna ponownie się odezwał:

- Przyznaj się, młoda damo, że mieszkasz za ogrodzeniem, na terenie obozu?

Eden zmarszczyła czoło. Owszem, została bez grosza przy duszy i musiała pracować na swoje utrzymanie, ale to jeszcze nie powód, żeby obcy facet, w dodatku zwykły zarządca, zwracał się do niej tym tonem.

- Zgadza się. Jednakże...

- Czy zdajesz sobie sprawę, że złamałaś prawo, wchodząc na prywatny teren?

Oczy jej pociemniały. Była to jedyna oznaka gniewu, a także zażenowania.

- Oczywiście, ale...

- Te drzewa nie rosną tu po to, żeby małe dziewczynki mogły się na nie wspinać.

- Uważam, że...



- Schodź - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. -  
Zaprowadzę cię do kierowniczkii obozu.

Z coraz większym trudem panowała nad sobą. Korciło ją, by  
cisnąć ogryzkiem w głowę faceta. Jakim prawem jej rozkazuje?

- To nie będzie konieczne - rzekła chłodno.

- Pozwolisz, że ja o tym zdecyduję. A teraz złaź.

Złaź? W porządku, zejdzie. A potem, starannie dobierając słowa,  
pokaże facetowi, gdzie jest jego miejsce. Ogarnięta wściekłością,  
opuszczała się coraz niżej. Nie myślała o odległości dzielącej ją od  
ziemi ani o braku doświadczenia. Dwa razy drasnęła się w kolano,  
lecz prawie tego nie poczuła. Zwrócona plecami do zarządcy,  
wreszcie znalazła się przy ostatnim rozgałęzieniu. Owszem, była na  
cudzej posesji, popełniła drobne przestępstwo, ale...

Och, zmyje temu typkowi głowę! Nie mogła się doczekać, kiedy  
stanie naprzeciw niego i zmierzy go lodowatym wzrokiem. Oczami  
wyobraźni widziała, jak biedak przestępuje nerwowo z nogi na nogę i  
czerwony na twarzy mamrocze przeprosiny.

Nagle stopa jej się poślizgnęła. Eden wyciągnęła gwałtownie rękę,  
usiłując przytrzymać się gałęzi, lecz nic to nie dało. Z okrzykiem  
zdziwienia i rozpaczycy zaczęła spadać. Po chwili wylądowała na czymś  
twardym, ale to nie była ziemia. Opalone, muskularne ramiona, które  
widziała z góry, zacisnęły się wokół jej talii. Siła impetu sprawiła, że  
zwalili się na trawę i potoczyli po pochyłym gruncie. Kiedy się  
zatrzymali, Eden ze zdumieniem uświadomiła sobie, że leży  
przygnieciona długim, twardym ciałem.

Czapka Roberty spadła jej z głowy. Eden zmrużyła oczy, bo słońce świeciło jej prosto w twarz. Nagle poczuła, jak facet wspiera się na łokciu i uważnie w nią wpatruje.

- Ty nie masz dwunastu lat - oznajmił w końcu.

- Z całą pewnością.

Rozbawiony tym odkryciem, uniósł się nieco wyżej, żeby nie gniesć jej swoim ciężarem, ale nie wstał.

- Niezbyt dobrze cię widziałem, kiedy siedziałaś na drzewie. Proszę, proszę, całkiem dojrzałe z ciebie jabłuszko.

Bezceremonialnie odgarnął jej z twarzy parę luźnych kosmyków. Wcześniej kora wydawała jej się szorstka, a teraz te jego palce...

- Co robisz na letnim obozie dla nastolatek? - spytał.

- Prowadzę go - odparła chłodnym tonem. Poniekąd była to prawda. Uznając, że szamotanie się z facetem i próba zrzucenia go z siebie jest poniżej jej godności, Eden posłała mu lodowate spojrzenie.

- Zechciałby pan ze mnie zejść?

- Hm. - Ponieważ bezprawnie wdarła się na jego teren, nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia, ignorując jej prośbę. - Rozmawiałem z kobietą, która też twierdziła, że prowadzi ten obóz. Niejaką panną Bartholomew. Ładną, rudowłosą... Na pewno nie byłaś nią ty.

- Co za przenikliwość. - Oparła ręce na jego ramionach. Godność godnością, pomyślała, ale facet był zdecydowanie za blisko. Usiłowała go odepchnąć, lecz nawet nie drgnął. - Jestem jej współniczką. Eden Carlbough.

- Fiu, fiu... Z filadelfijskiego rodu Carlbough?

Usiłując zachować resztki dumy, Eden zmierzyła go pogardliwym wzrokiem.

- Zgadza się.

- Bardzo mi miło, panno Carlbough. A ja jestem Chase Elliot z rodu tutejszych Elliotów.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Wspaniale, po prostu wspaniale, pomyślała, wpatrując się w twarz, od której dzieliło ją parę centymetrów. Nie zarządca, lecz właściciel we własnej osobie. Psiakrew! Że też musiała być przyłapana na drzewie przez samego Elliota. Zresztą nieważne, że przyłapał ją na drzewie, gorzej, że teraz na niej leży.

- Ma pan piękny sad, panie Elliot.

Pokręcił z uznaniem głową. Równie dobrze mogliby siedzieć przy stoliku w eleganckim salonie. Wreszcie nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

- Cieszę się, że się pani podoba. A tak w ogóle, to co u pani słychać, panno Carlbough? Jak się pani miewa?

Naigrawał się z niej. Przez cały ten czas, kiedy pobrzmiwały echa skandalu, nikt się z niej nie śmiał. Może za plecami, ale nie w twarz. Wargi jej zadrzały. Czym prędzej wzięła się w garść. Nie rozplacze się. Nie da draniowi satysfakcji. Nie pokaże mu, jak bardzo ją zranił.

- Dziękuję, doskonale. Byłabym jednak wdzięczna, gdyby zechciał pan ze mnie zejść.

Co za maniery, pomyślał. W każdym jej słowie widać dobre wychowanie oraz grację. Jego maniery pozostawiały wiele do życzenia, ale przynajmniej był bardziej szczerzy.

- Za chwilę. Rozmowa z panią mnie fascynuje.

- Wygodniej byłoby ją kontynuować na stojąco.

- Och, mnie jest bardzo wygodnie. - Nie było to całkiem zgodne z prawdą, bo miękkie kobiece ciało stwarzało pewne problemy, ale nie zamierzał się nimi przejmować. Podobała mu się ta pozycja. - Więc jak się pani żyje z dala od cywilizacji?

Wciąż się z niej naśmiewał, nawet nie próbował tego ukryć. Powoli narastała w niej wściekłość. Eden odetchnęła głęboko i policzyła w myślach do trzech.

- Panie Elliot...

- Chase, po prostu Chase. Sądzę, że możemy zrezygnować z oficjalnych form.

Ponownie usiłowała go z siebie zepchnąć. Równie dobrze mogłaby próbować przesunąć wielki głaz.

- To jakiś absurd. Musi mi pan pozwolić wstać.

- Kotku, ja naprawdę nic nie muszę - oznajmił z nutą bezczelności w głosie, a po chwili dodał: - Swoją drogą, wiele o tobie słyszałem. - Nie tylko o niej słyszał, ale również widział jej zdjęcia w gazetach. Fotografie jednak nie oddawały jej urody, bo trudno uchwycić na zdjęciu chłodną zmysłowość, która od niej biła. - Nigdy bym nie

przypuszczał, że Eden Carlbough z filadelfijskiego rodu Carlbough spadnie mi w ramiona.

Oddech miała przyspieszony. Dotychczas wszystkie gwałtowniejsze emocje skrywała pod warstwą dobrego wychowania, czuła jednak, że ta warstwa zaczyna pękać.

- Zareczam, że nie miałam takiego zamiaru.

- Wiem, i wcale byś nie spadła, gdybyś nie weszła na drzewo. - Uśmiechnął się zadowolony, że zamiast wysłać pracownika, sam wyruszył na obchód tej części sadu.

To jakiś sen, to się nie dzieje naprawdę. Eden zamknęła oczy, czekając, aż wszystko wróci do normalnego stanu. Przecież to niemożliwe, żeby leżała na ziemi, w dodatku pod obcym facetem.

- Panie Elliot... - Ucieszyła się, że mówi spokojnym, rozsądnym tonem. - Chętnie udzielę panu wszelkich wyjaśnień, jeśli tylko pozwoli mi pan wstać.

- Najpierw wyjaśnienie.

Zdumiona wytrzeszczyła oczy.

- Jest pan najbardziej nieokrzesanym, gburowatym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam.

Wzruszył ramionami.

- Tak się składa, że na mojej ziemi to ja ustalę zasady. A więc słucham...

Najgorsze przekleństwa cisnęły jej się na język. Zasznurowała usta i znów policzyła do trzech, po czym zmrużyła oczy przed blaskiem słońca. Głowa zaczynała pękać jej z bólu.

- Trzy dziewczynki wybrały się na wycieczkę. Przez ogrodzenie weszły na pański teren. Znalazłam je na drzewie. Natychmiast kazałam im zejść i wrócić do obozu, gdzie czeka je kara za złamanie regulaminu.

- Zostaną obtoczone w smole i pierzu?

- To by się panu spodobało, prawda? Nie, stosujemy inne kary. Dziewczynki będą miały całodzienny dyżur w kuchni.

- No dobra. A skąd ty się wzięłaś na drzewie? Spadłaś prosto w moje ramiona. Chociaż nie narzekam. Pachniesz... jak Paryż... - Ku zaskoczeniu Eden, wtulił twarz w jej włosy. - Jak grzeszne noce w Paryżu.

- Przestań! - W jej głosie nie było już cienia spokoju, choćby cienia pokory.

Czuł, jak jej serce łomocze gwałtownie. Uświadomił sobie, że nie tylko ma ochotę poznać jej zapach, ale także smak ust. Kiedy jednak uniósł głowę, napotkał jej szeroko otwarte oczy, w których czaił się strach.

- Wyjaśnienie - rzekł lekkim tonem. - Czekam na dalszy ciąg.

Niemal słyszała, jak krew dudni jej z skroniach. Odruchowo opuściła wzrok i utkwiała spojrzenie w ustach Elliota. Miała wrażenie, że czuje ich smak. Czyżby zwariowała? Westchnęła cicho, po czym wzięła się w garść. W porządku. Facet czeka na wyjaśnienie? To mu wszystko wyjaśni, a potem wróci do obozu.

- Jedna z dziewczynek... - Przed oczami stanęła jej Roberta, mała diablica i prowodyrka. - Jedna z dziewczynek zostawiła na drzewie swoją czapkę.

- Więc postanowiłaś ją ściągnąć. - Pokiwał ze zrozumieniem głową. - To nie tłumaczy, dlaczego zajadałaś się moim jabłkiem.

- Smakowało jak kartofel.

Uśmiechając się szeroko, pogładził ją po policzku.

- Kłamczucha. Na pewno było twarde, kwaśnie, pyszne. W młodości ciągle mnie brzuch bolał od niedojrzałych owoców, ale uważałem, że warto trochę pocierpieć.

Przeszył ją dziwny dreszcz. Czyżby pożądanie? Przestraszyła się.

- A więc, panie Elliot, otrzymał pan wyjaśnienie i przeprosiny.

- Przeprosin nie dostałem.

Nie, psiakrew, za dużo oczekiwał! Nie zamierzała ulegać kolejnym żądaniom. Łypnęła gniewnie. Choć leżała pod nim, miał wrażenie, jakby patrzyła na niego z góry.

- A teraz, z łaski swojej, proszę ze mnie wstać. Jeżeli nie może pan przeboleć straty kilku nędznych, robaczywych jabłek, może pan złożyć doniesienie na policji. Mam po dziurki w nosie pańskiej kretyńskiej arogancji.

Jabłka Elliota cieszyły się sławą najlepszych w całym stanie. Ba, najlepszych w kraju. W tym momencie jednak Chase marzył o tym, by zobaczyć, jak swoimi ślicznymi białymi ząbkami Eden Carlbough przegryza robaka.

- Mojej kretyńskiej arogancji? Ależ ty jej nawet nie zaznałaś. A może powinnaś...

- Jak pan śmie... - zaczęła, ale zanim skończyła, zmiażdżył jej usta pocałunkiem.

Szorstkim, twardym, kwaśnym jak jabłko, które zerwała. Zakazany owoc, przemknęło jej przez myśl. Zaskoczona, nienawykła do takiej bezpośredniości, nie zaprotestowała. Nie krzyknęła, nie oburzyła się. Milczała. Po chwili Elliot zaczął gładzić ją po twarzy, kciukami obrysowywać jej nos, brodę, policzki. Podobnie jak usta, ręce też miał twarde, szorstkie, ekscytujące w dotyku.

Nie żałował swojego uczynku. Chociaż należał do mężczyzn, którzy liczą się z pragnieniami kobiet, teraz nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Boże, jakież ten owoc był słodki, jaki pyszny! Mimo że leżała bez ruchu, czuł smak strachu i podniecenia na jej wargach. Tak, była słodka. Była niewinna. Była bardzo niebezpieczna. Poruszyła się. Natychmiast uniósł głowę.

- Spokojnie - szepnął, opuszką palca wciąż gładząc jej brodę. - Coś mi się zdaje, że wcale nie jesteś tą światową kobietą, za jaką wszyscy cię mają, prawda?

- Puść mnie. - Głos jej drżał, ale przestała się tym przejmować. Podniósłszy się, Chase podciągnął ją na nogi.

- Pomóc ci się otrzepać?

- Jest pan najbardziej wstrętnym człowiekiem, jakiego...

- Spotkałaś? Wierzę. Od lat prowadzisz uprzywilejowane życie, opływasz w luksusy. - Położył ręce na jej ramionach, kiedy chciała



obrócić się tyłem. - Ciekawe, jak długo wytrzymasz w polowych warunkach bez fryzjera, kosmetyczki, służby?

Jest taki sam jak wszyscy inni, pomyślała z goryczą, ukrywając ból.

- Muszę wracać, inaczej spóźnię się na zajęcia z dziećmi. Gdyby był pan łaskaw zabrać ręce...

Zabrał, opuścił je wzdłuż ciała.

- Powiedz dzieciakom, żeby nie wchodziły na drzewa. - Uśmiechnął się. - Upadki bywają groźne.

Ugryzła się z język. Nie warto wdawać się dyskusję. Szybko wdrapała się na ogrodzenie i zeskoczyła na drugą stronę.

Z przyjemnością spoglądał na jej oddalającą się sylwetkę, dopóki nie znikła za kępą topoli. Nagle zauważył leżącą na trawie czapkę. Zadowolony podniósł ją z ziemi i wsunął do kieszeni dżinsów. Przyda się, pomyślał.

Przez resztę dnia wykonywała swoje obowiązki, starając się o niczym nie myśleć. Choćby słowem nie wspomniała Candy o spotkaniu z Chase'em. Nie wspomniała, bo to by się wiązało z koniecznością wrócenia myślami do incydentu w sadzie.

Wstydziała się, że facet przyłapał ją na drzewie. Kiedy indziej o wszystkim opowiedziałaby przyjaciółce, pośmiałyby się i tyle. Ale oprócz wstydu i złości czuła mnóstwo innych emocji, których nie umiała nazwać. Wciąż w niej wibrowały. Wiedziała jedno: musi się od nich uwolnić, zanim nią zawładną.

To bez sensu. Dziś po raz pierwszy w życiu widziała Chase'a Elliota. Nie znała go i wcale nie miała ochoty lepiej poznać. Może nie zdoła wymazać z pamięci tego, co się rano stało, ale dopilnuje, żeby podobna sytuacja nigdy więcej się nie powtórzyła.

W ciągu ostatniego roku nauczyła się kierować własnym życiem. Kilka razy się potknęła, kilka razy upadła, ale wiedziała, że już nigdy nie wypuści steru z rąk. Porażki i rozczarowania jedynie ją wzmocniły. Sprawdziło się przysłowie, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Przykre doświadczenia pozwoliły jej zrozumieć, że Chase Elliot również trzyma ster w rękach. Zachowywał się nieuprzejmie i bezceremonialnie, widziała jednak, że jest człowiekiem silnym i władczym. Zbyt często stykała się z osobnikami o dominującym charakterze. Wszyscy byli jednakowi bez względu na to, czy żyli na łonie natury, czy mieszkali w eleganckich rezydencjach. Po rozpadzie związku z Erikiem miała jak najgorsze zdanie o mężczyznach. Krótkie spotkanie z Chase'em Elliotem nie zmieniło jej opinii o przedstawicielach płci brzydkiej.

Denerwowało ją, że stale musi sobie przypominać, by nie myśleć o właścicielu sadu. Na szczęście praca pomagała. Brakowało jej umiejętności i doświadczenia Candy, ale przynajmniej czuła się potrzebna. Wprawdzie nie miała dużo obowiązków, a te, które jej powierzono, nie należały do przesadnie trudnych, cieszyło ją jednak, że nie jest widzem i w miarę swych sił przykłada się do sukcesu wspólnego przedsięwzięcia.

Pożerała ją ambicja. Żadne zajęcie nie było poniżej jej godności. Jeżeli musiała myć boksy i oporządzać konie, robiła to z takim zapalem, jakby chciała mieć najczystsza stajnię i najbardziej wymuskane ogiery w całej Pensylwanii. Pierwszy pęcherz na dłoni obnosiła z dumą, jakby to był medal za sumienną pracę.

Po dzwonku wzywającym na kolację stołówka błyskawicznie się zapełniła. Dwadzieścia siedem dziewczynek w wieku od dziesięciu do czternastu lat tłoczyło się przy ladzie. Do obowiązków Eden należało pilnowanie porządku. Z kolejki dolatywały ją urywki rozmów, z których większość dotyczyła gwiazd rocka oraz chłopców. Miała nadzieję, że obozowiczki nie zaczną się szturchać i przepychać. Czasem udawało jej się zapanować nad podekscytowanym tłumem, ale nie było to łatwe.

W prospektach reklamujących Obóz Liberty sporo miejsca poświęcono zdrowej kuchni. Dziś na kolację kucharki przyrządziły chrupiącego kurczaka, piure ziemniaczane oraz gotowane na parze brokuły.

- Całkiem przyjemnie minął dzień. - Stanąwszy koło Eden, Candy rozejrzała się po sali.

- Zaraz znów zajdzie słońce. - Eden uświadomiła sobie, że plecy bolą ją znacznie mniej niż w ciągu pierwszych dwóch dni. - Aha, w porannej grupie mam dwie dziewczynki, które wykazują prawdziwy talent do jazdy konnej. Jeśli to ci nie przeszkadza, chciałabym poświęcić im kilka dodatkowych lekcji tygodniowo.

- Dlaczego miałyby przeszkadzać? Sprawdzimy po kolacji plan zajęć. - Candy przez moment patrzyła, jak jedna z wychowawczyń przekonuje podopieczną, by nie rezygnowała z brokułów. - Muszę ci pogratulować. Świetnie sobie poradziłaś z Robertą i jej koleżankami. Dyżur w kuchni to był genialny pomysł.

- Dziękuję. - Do czego to doszło, pomyślała Eden, żeby taka pochwała wbijała mnie w dumę. - Miałam drobne wyrzuty sumienia, tym bardziej że nie porozumiałam się wcześniej z panią Petrie.

- Podobno dziewczynki spisały się na medal.

- Roberta też?

- Zwłaszcza ona. - Candy uśmiechnęła się, zerkając na stolik, przy którym siedziała żadna przygód amatorka zielonych jabłek. - Człowiek nigdy nie wie, czego się po tej diablicy spodziewać... Pamiętasz Marcję Delacroix, która jeździła z nami do Forden?

- Jakżebym mogła zapomnieć? - Ponieważ większość dziewczynek siedziała już przy stolikach, Eden z Candy ustawiły się na końcu kolejki. - To ona wsadziła kierownicze węża do szuflady z bielizną.

- Zgadza się. - Candy ponownie zerknęła na Robertę.

- Wierzysz w reinkarnację?

Roześmiawszy się wesoło, Eden podała kucharce swój talerz.

- Na wszelki wypadek będę ostrożnie wyjmować rzeczy z szuflady. - Postawiła talerz z powrotem na tacy.

- Wiesz, Candy... - urwała.

Miała wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Roberta z figlarnym błyskiem w oku unosi pionowo widelec, na którym tkwi ziemniaczana paćka, celuje, niczym procę odciąga końcówkę widelca, po czym ją puszcza. Eden nawet nie zdążyła krzyknąć. Mokry ziemniaczany pocisk trafił w głowę dziewczynkę siedzącą naprzeciwko. Wybuchło pandemonium.

W powietrzu zaczęły latać brokuły i ziemniaki. Jedne dziewczynki zasłaniały się i piszczały, inne ochoczo przyłączyły się do zabawy. W ciągu kilku sekund wszystko - stoły, krzesła, podłoga, ubrania - było pokryte lepką masą. Candy, niby generał dowodzący walką, stanęła na środku sali i podniosła gwizdek do ust, zanim jednak zdolna dmuchnąć, dostała ziemniaczaną kulka prosto między oczy.

W stołówce zaległa cisza jak makiem zasiał.

Eden zastygła bez ruchu, ściskając przed sobą tacę. Bała się, że jeśli nabierze powietrza w płuca, to nie wytrzyma i parsknie śmiechem. Cudem udało jej się zachować powagę, kiedy zobaczyła, jak przyjaciółka, krzywiąc się z obrzydzeniem, ściera z nosa ziemniaczany kleks.

- Młode damy - oznajmiła Candy głosem mrozącym krew w żyłach - dokończycie kolację w absolutnej ciszy. Nie chcę słyszeć ani jednego słowa. Potem ustawicie się pod ścianą naprzeciwko okna. Kiedy minie pora wydawania posiłku, otrzymacie ścierki, szczotki i wiadra. Zanim stąd wyjdziecie, stołówka ma lśnić czystością.

- Dobrze, panno Bartholomew - mruknięto pod nosem dwadzieścia sześć dziewcząt.

Tylko Roberta, która siedziała prosto, z rękami na stole i miną niewiniątka, odpowiedziała jasnym, wyraźnym głosem.

Jeszcze przez kilka sekund Candy stała na środku sali, groźnym wzrokiem omiatając w ciszy swoje podopieczni po czym wróciła do lady po tacę.

- Śmieję się, śmieję - szepnęła do Eden. - Zobaczysz wyrwę ci język.

- Kto się śmieje? - Eden zakasłała, rozpaczliwie próbując ukryć wesołość. - Przecież nie ja.

- Właśnie że ty. - Candy skierowała się do głównego stołu. - Ale przynajmniej jesteś na tyle inteligentna, że robisz to dyskretnie.

Eden usiadła i rozłożyła serwetkę na kolanach.

- Kochanie, została ci odrobina kartofelków na brwiach. - Podniosła kubek z kawą do ust, chcąc się za nim ukryć. - I na włosach. Ale całkiem ci z tym do twarzy.

Candy popatrzyła na swój stygnący posiłek.

- Może tobie też byłoby do twarzy z kartofelkiem? Spróbujemy?

- Nie żartuj. Zawsze mi powtarzasz, że powinniśmy dawać dziewczynom dobry przykład. - Eden ujęła w palce kurze udko i odgryzła kawałek mięsa. - Nie ma lepszej kucharki od naszej pani Petrie, nie uważasz?

Młodej niewykwalifikowanej sile roboczej sprzątanie podłogi w stołówce zajęło prawie dwie godziny. Kiedy nastąpiła pora gaszenia świateł, dziewczynki były zbyt zmęczone, aby protestować, i

wszystkie grzecznie położyły się do łóżek. Na terenie obozu zapadła głęboka cisza.

## **RODZIAŁ TRZECI**

O ile ranków Eden nie znosiła, to wieczory uwielbiała. Po całodziennym wysiłku fizycznym czuła się wypompowana, a zarazem cudownie wypoczęta. Powoli przyzwyczajała się do śpiewu nocnych ptaków i bzyczenia owadów. Uwielbiała samotne spacerować przed snem pod roziskrzonym gwiazdami niebem. Nie musiała się stroić do żadnego teatru ani na żadne przyjęcie. Im dłużej przebywała z dala od dawnego życia, tym mniej za nim tęskniła.

Chyba wreszcie dorosłam, pomyślała z satysfakcją. Dorosłość oznaczała umiejętność odróżniania rzeczy błahych od ważnych. Ważny był Obóz Liberty, ważna była przyjaźń z Candy. Bardzo ważne były dziewczynki, które miała pod swoją opieką, nawet ta mała diablica Roberta Snow. Eden zadumała się. Gdyby mogła cofnąć czas i odzyskać to, co straciła, czy byłoby tak jak dawniej? Chyba nie.

Zmieniła się. I chociaż wiedziała, że to nie koniec zmian, podobała się jej nowa Eden Carlbough. Może nie miała pieniędzy, ale wreszcie stała się niezależna psychicznie. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo wcześniej polegała na ludziach: na ojcu, na narzeczonym, na pomocy domowej. Nowa Eden potrafiła sama sobie radzić z problemami, i tymi dużymi, i z małymi. Zrezygnowała z usług manikiurzystki. Paznokcie miała krótkie, starannie obcięte,

niepomalowane. Tak jest wygodnie i praktycznie, pomyślała, podnosząc rękę do oczu.

Swoim zwyczajem skrzyła w stronę stajni. W środku było ciemno i chłodno, powietrze wypełniał zapach siana i koni. Sam widok tego miejsca sprawił, że nabrała pewności siebie, wiary w to, że podąża we właściwym kierunku. Stajnia i konie stanowiły jej wkład we wspólne z Candy przedsięwzięcie. Co jak co, ale na jeździectwie się znała.

Zajrzy do każdego z sześciu koni, sprawdzi, czy wszystko jest gotowe do jutrzejszych zajęć i dopiero wtedy uzna, że wypełniła swoje obowiązki. Może Candy potrafi zbudować katedrę z papier mache, natomiast nic nie wie na temat naciągniętych ściągien lub pękniętych kopyt.

Zatrzymała się przy pierwszym boksie i pogłaskała po szyi dereszowatego wałacha, którego ochrzciła imieniem Wódz. W drugiej ręce trzymała papierową torbę z sześcioma połówkami jabłek. To był wieczorny rytuał, do którego zwierzęta szybko się przyzwyczyły. Wódz wysunął łeb nad drzwiami boksu i potarł chrapami o jej dłoń.

- Grzeczny konik - szepnęła, wyciągając z torby owoc. - Dziewczynki jeszcze nie umieją odróżnić wędzidla od strzemienia, ale my je nauczymy, prawda?

Położywszy jabłko na rozwartej dłoni, podała je dereszowi, po czym weszła do boksu, żeby obejrzyć zwierzę. Z powodu wieku i lekko zapadniętego grzbietu stosunkowo niewiele zapłaciła za Wodza. Ale nie szukała koni czystej krwi, bardziej zależało jej na tym, żeby



zwierzęta były łagodne, spokojne. Po chwili zadowolona ruszyła do kolejnego boksu.

W przyszłym roku powiększy stado do dziewięciu sztuk. Uśmiechając się pod nosem, wydzielała połówki jabłek i sprawdzała stan zwierząt. Nie zadawała sobie pytania, czy za rok Obóz Liberty będzie dalej funkcjonował. Będzie, nie ulegało to dla niej wątpliwości.

Oczywiście jej wkład w całe przedsięwzięcie był skromny, ot, trochę pieniędzy i znajomość koni. Wszystkim zajmowała się Candy, która miała znacznie większe doświadczenie z dziećmi, ale Eden, szybko się uczyła. W następnym roku zamierzała być współniczką nie tylko na papierze. Candy będzie z niej miała prawdziwy pożytek.

Snęła coraz bardziej ambitne plany. Za kilka lat główną atrakcją Liberty będą doskonale prowadzone kursy jeździectwa. Nazwisko Carlbough ludzie znów zaczną wymawiać z szacunkiem. Na obozie pojawią się dzieci jej dawnych znajomych z Filadelfii...

Kiedy piąty koń schrupał przeznaczoną dla niego połówkę jabłka, Eden przeszła do ostatniego boksu. Przebywała w nim Brawura, stara klacz o wyjątkowo łagodnym usposobieniu, która cierpliwie znosiła wszelkie błędy popełniane przez niedoświadczonych jeźdźców, pod warunkiem że odnosili się do niej z sympatią. Eden często spędzała u niej godzinę lub dwie, smarując sierść specjalnym mazidłem.

- Trzymaj, maleńka. - Podała klaczy owoc, po czym zaczęła sprawdzać kopyta. - Oj, tu mi się nie podoba. - Z tylnej kieszeni wyciągnęła szczotkę, którą oczyściła lewe kopyto. - Która z nich cię ujeżdżała? Chyba Marcie, prawda? Zdaje się, że czeka mnie wykład

na temat obowiązków i odpowiedzialności. - Wzdychając głośno, uniosła kolejne kopyto. - Nienawidzę kazań, zwłaszcza kiedy sama muszę je wygłaszać. - Klacz prychnęła współczująco, jakby doskonale ją rozumiała. - Ale nie mam wyjścia. Przecież nie mogę zwałać wszystkiego na Candy, prawda? Podejrzewam zresztą, że Marcie nie chciała lekceważyć obowiązków. Ona po prostu nie czuje się zbyt pewnie przy koniach. Musimy jej pokazać, jaka z ciebie wspaniała klaczka. Co? Masz ochotę na masaż? - Schowała szczotkę do kieszeni i przytuliła twarz do końskiej szyi. - Ja też, staruszko, ja też. Położyłabym się, zamknęła oczy i czuła, jak napięcie znika z mojego ciała. - Roześmiawszy się, poklepała konia po zadzie. - No dobra, poczekaj, przyniosę mazidło.

Obróciła się i nagle z sykiem wciągnęła powietrze. Chase Elliot stał oparty o otwarte drzwi boksu, na twarz padał cień. W panującym w boksie półmroku jego oczy przypominały spienioną falę. Gdyby za plecami nie miała klaczy, cofnęłaby się o krok.

Widząc jej wystraszoną minę, uśmiechnął się.

Uniosła dumnie brodę. Zdała sobie sprawę, że w przyćmionym świetle Chase Elliot jeszcze bardziej przykuwa uwagę niż w słońcu. Nie był przystojny. To znaczy był piekielnie przystojny, ale nie w konwencjonalny sposób. Miał w sobie coś szorstkiego i prymitywnego. Jakiś zwierzęcy urok. Biły od niego siła i męskość. Eden przypomniawszy sobie dzisiejszy pocałunek i dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Chętnie wykonam masaż. - Ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Tobie albo klaczy...

- Nie, dziękuję. - Uzmysłowała sobie, że jest bardziej potargana niż podczas pierwszego spotkania, a w dodatku pachnie końmi i stajnią. - Czy mogę panu w czymś pomóc, parne Elliot?

Przyglądając się Eden, Chase pokiwał z uznaniem głową. Mimo że znajdowała się w skromnym końskim boksie, zachowywała się jak prawdziwa dama, która rozmawia z gościem w salonie.

- Całkiem ładne masz tu stadko. Może nie najmłodsze okazy, ale widać, że zadbane.

Powściągnęła falę radości. Bądź co bądź nie interesowała jej opinia Elliota.

- Dziękuję. Podejrzewam jednak, że nie przyszedł pan podziwiać moich koni?

- To prawda. - Wszedł głębiej do boksu. Klacz przesunęła się, robiąc miejsce. - Najwyraźniej znasz się na koniach.

Pogłaskał Brawurę po szyi. Na palcu prawej ręki błysnął prosty złoty sygnet.

- Najwyraźniej. - Eden westchnęła. Nie mogła wyjść, ponieważ Chase Elliot zagrażał jej drogę do drzwi. - Nie odpowiedział pan, w jakim celu tu przyszedł.

Kąciki warg mu zadrżały. Aha, Miss Filadelfia się denerwuje. Starła się ukryć emocje, on jednak wyczuwał jej niepokój. Czyli poranny pocałunek wywarł na niej nie mniejsze wrażenie niż na nim.

- Nie, nie odpowiedziałem.

Zanim zdołała odskoczyć, podniósł do oczu jej rękę. Mimo półmroku na palcu iskrzył się opał otoczony wianuszkami drobnych brylantów.

- Nie na tej ręce nosi się pierścionek zaręczynowy. - Ku jego zaskoczeniu ucieszył go ten fakt. - Słyszałem, że wiosną miałaś poślubić Erica Keetona. Rozumiem, że nie doszło do zaślubin?

Miała ochotę wrzasnąć, zakląć, wyszarpać rękę, ale tego właśnie Chase oczekiwał, więc nie uczyniła nic.

- Nie, nie doszło. Swoją drogą to dziwne, że człowieka, który żyje na prowincji, wśród przyrody, tak bardzo interesuje to, co się dzieje w Filadelfii. Wydawało mi się, że praca w sadzie nie zostawia czasu na takie głupstwa.

- Och, godzinkę czy dwie zawsze zdołam uszczknąć. A o twoje zaręczyny spytałem dlatego, że łączą mnie z Keetonem więzy krwi.

- Naprawdę?

Zdumiały ją jego słowa. Zobaczył, że po raz pierwszy, odkąd wszedł do boks, bacznie mu się przygląda. Patrz, patrz, pomyślał. Nie doszukasz się żadnego podobieństwa.

- Tak, choć muszę przyznać, że nasze pokrewieństwo jest dość odległe. - Ujął jej drugą dłoń. - Moja babka pochodzi z Winthropów i jest kuzynką babki Erica... Porobiło ci się mnóstwo odcisków. Powinnaś uważać na swoje delikatne rączki.

- Z Winthropów? - Coraz bardziej zdumiona Eden nawet nie usłyszała ostatniego zdania.

- W kolejnych pokoleniach krew się trochę rozrzedziła. - Powinna nosić rękawiczki, pomyślał, pocierając kciukiem bąbel. - Mimo to spodziewałem się zaproszenia na ślub. Ciekaw byłem, dlaczego rzuciłaś Keetona.

- Żeby zaspokoić pańską ciekawość, to nie ja go rzuciłam, lecz on mnie. A teraz byłabym wdzięczna, gdyby pan zabrał ręce. Chciałabym dokończyć pracę.

Puścił jej dłonie, ale nie cofnął się i wciąż zagradzał wyjście z boksu.

- Wiedziałem, że Eric nie grzeszy przesadną inteligencją, ale nie sądziłem, że jest głupi.

- Co za uroczy komplement. Przepraszam, trochę tu ciasno...

- To nie komplement. - Odgarnął jej grzywkę z czoła. - To stwierdzenie faktu.

- Proszę przestać mnie dotykać.

- Podobają mi się twoje włosy, Eden. Są takie miękkie i jedwabiste, a zarazem krnąbrne, nieposłuszne.

- Kolejny komplement? - Cofnęła się o krok. Serce waliło jej mocno. Nie chciała być dotykana ani fizycznie, ani emocjonalnie. Przez nikogo. Instykt ostrzegał ją przed Chase'em. - Panie Elliot...

- Chase. Proszę, już przestań z tym panem.

- Dobrze. - Skinęła głową. - A zatem, Chase, chciałabym poznać cel twojej wizyty, bo pobudkę mamy tu o szóstej rano, a przed pójściem spać muszę jeszcze zająć się paroma rzeczami.

- Przyszedłem oddać ci zgubę. - Z tylnej kieszeni wyjął czapkę z logo filadelfijskiej drużyny baseballowej.

- Dziękuję. Czapka, jak już mówiłam, nie należy do mnie, ale chętnie zwrócę ją właścicielce.

- Miałaś ją na sobie, kiedy spadłaś z drzewa. - Ignorując wyciągniętą dłoń, nałożył jej czapkę na głowę.

- Pasuje.

- Tłumaczę ci, że... Przerwał jej tupot bosych stóp.

- Panno Carlbough! Panno Carlbough! - Roberta, która w różowej koszuli nocnej wyglądała jak aniołek, zatrzymała się w drzwiach boksu. Na widok Chase'a rozpromieniła się. - Cześć.

- Cześć.

- Roberto. - Zaciskając gniewnie zęby, Eden postąpiła w stronę swojej podopiecznej. - Co tu robisz? Od godziny powinnaś leżeć w łóżku.

- Wiem. Bardzo panią przepraszam, panno Carlbough. - Dziewczynka uśmiechnęła się słodko. Obraz niewinności, pomyślała Eden. - Ale nie mogłam zasnąć, bo ciągle myślałam o mojej czapce. Obiecała pani, że mi ją zwróci, ale nie zwróciła, a przecież całe popołudnie pomagałam w kuchni. Słowo honoru, pani Petrie może zaświadczyć. Wyszorowałam z tysiąc patelni, obrałam wiadro kartofli, a nawet...

- Roberto! - przywołała ostrym tonem dziewczynkę do porządku.

- Przed chwilą pan Elliot przyniósł twoją zgubę.

Ściągnąwszy czapkę z głowy, Eden podała ją Robercie.

- Powinnaś nie tylko podziękować mu za fatywę, ale również przeprosić za wejście na teren jego sadu.

- Bardzo panu dziękuję. - Roberta obdarzyła Chase'a czarującym uśmiechem. - Te wszystkie drzewa naprawdę są pana?

- Tak. - Pociągnął czapkę za daszek, nasuwając ją dziewczynce głębiej na oczy.

Od niepamiętnych czasów uchodził za czarną owcę w rodzinie i wyczuł w Robercie pokrewną duszę.

- Ale fajnie! No i pańskie jabłka są o niebo lepsze od tych, które kupujemy w sklepie.

- Roberto...

Ciche ostrzeżenie w głosie Eden sprawiło, że dziewczynka wywróciła oczy do nieba.

- Bardzo przepraszam - zwróciła się do Chase'a - że bezprawnie weszłam na teren pańskiej posiadłości. - Powiedziawszy to, zerknęła na swoją opiekunkę, upewniając się, czy o to chodziło.

- Doskonale, Roberto. A teraz marsz do łóżka.

- Dobrze, panno Carlbough. - Po raz ostatni rzuciła okiem na Chase'a. Serce jej załomotało. Ściskając w dłoni czapkę, skierowała się ku wyjściu.

- Roberto... - Odwróciła się na dźwięk niskiego głosu i w nagrodę otrzymała uśmiech. - Do zobaczenia.

- Do zobaczenia. - Zakochana i szczęśliwa panienska ruszyła przed siebie w podskokach.

Słyszając, jak drzwi stajni się zatrzasują, Eden westchnęła cicho.

- To nic nie da - stwierdził Chase.

- Nie rozumiem.

- Nie oszukuj, że ta mała cię złości. Przecież to fantastyczny dzieciak.

- Ciekawe, czy tak samo byś się nią zachwycił, gdybyś widział, co dziś podczas kolacji wyrabiała z piure ziemniaczanym. - Na wspomnienie kartoflanej wojny uśmiechnęła się. - To potwór, pełen wdzięku, ale potwór. Gdybyśmy mieli dwadzieścia siedem takich Robert na obozie, na pewno wyładowałabym w domu wariatów.

- No cóż, bywają ludzie, którzy samą swoją obecnością ożywiają atmosferę.

Pamiętając wygląd stołówki, Eden pokręciła głową.

- Czasem to ożywienie przeradza się w chaos.

- Odrobina chaosu jest potrzebna, bez niej byłoby nudno.

Uświadomiła sobie, że prowadzą normalną rozmowę, w dodatku wcale nie o Robercie. Nagle w stajni zapadła cisza jak makiem zasiał.

- Hm, skoro już to sobie wyjaśniliśmy... - zaczęła.

Podszedł bliżej. Sięgnął po jej rękę. Na jego wargach igrał uśmiech. Eden cofnęła się jeden krok, drugi, wreszcie wpadła na klacz. Wolną rękę oparła na klatce piersiowej Chase'a, jakby odgradzając się od niego.

- Czego chcesz?

Dlaczego szeptała? I dlaczego głos jej tak drżał? Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie. Sam nie był pewien odpowiedzi. Powiódł wzrokiem po jej twarzy, po czym utkwiał oczy w jej oczach.



Nieprawda. Wiedział, czego chce.

- Przejsz się z tobą w blasku księżyca. Słuchać, jak sowy pohukują. Czekać na śpiew słowika.

Ich cienie się stykały, zlewały w jeden. Klacz stała obok, prychając cichutko. Chase wsunął rękę we włosy Eden, jakby tam było jej miejsce.

- Powinnam wracać - szepnęła, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Chodź na spacer.

- Nie. - Bała się. Czowała, że dzieje się z nią coś dziwnego. Chase Elliot dotykał nie tylko jej ręki, nie tylko włosów. Dotykał czegoś, co skrywała przed światem, czegoś, o czym nie miał prawa wiedzieć.

- No dobrze. Kiedy indziej. - Był cierpliwym człowiekiem. Mógł na nią poczekać, tak jak czekał, aż drzewa zakwitną. Delikatnie przesunął palce po jej szyi. Poczuł, jak Eden drży, jak wciąga gwałtownie powietrze. - Na pewno tu wrócę.

- I tak nic z tego nie będzie.

Z uśmiechem podniósł jej rękę do ust.

- Nie szkodzi. I tak wrócę.

Słuchała odgłosu jego kroków, gdy szedł do drzwi, potem cichego skrzypienia, kiedy je otwierał i zamykał za sobą.

Obozowe życie toczyło się według utartego schematu, do którego Eden szybko się przyzwyczaiła. Wczesne pobudki, mnóstwo aktywności fizycznej, zdrowe niewyszukane jedzenie. Wszystko to stanowiło dla niej wyzwanie, a zarazem sprawiało, że przepełniał ją głęboki spokój.

W początkowym okresie często kładła się wieczorem do łóżka przekonana, że rano za nic w świecie nie wstanie. Mięśnie ją bolały od wiosłowania, odjazdy konno, od niekończących się wędrówek, głowa natomiast pękała od ślęczenia nad księgami rachunkowymi. Ale rano słońce wschodziło, a ona otwierała oczy i wyskakiwała z łóżka.

Z każdym dniem coraz łatwiej jej to przychodziło. Była młoda, zdrowa. Dotychczas jej wysiłek fizyczny ograniczał się do gry w tenisa ze dwa razy w miesiącu. Teraz codziennie była w ruchu, a ćwiczenia oraz zajęcia na świeżym na powietrzu pięknie rzeźbiły ciało. Po śmierci ojca bardzo schudła, teraz znów nabierała kształtów, traciła wygląd kruchego elfa.

Ku własnemu zdziwieniu, autentycznie polubiła przebywające na obozie dziewczynki. Przedtem patrzyła na nie jak na jeden żywy organizm, teraz wiedziała, że każda jest inna, ma imię, nazwisko, swoją osobowość. Najbardziej zdumiewało ją, że dziewczynki odwzajemniają jej sympatię.

Od początku była pewna, że pokochają Candy, która była ciepła, zabawna i utalentowana. Wszyscy zawsze ją uwielbiali. Jeśli zaś chodzi o nią... cóż, liczyła na akceptację i szacunek, na nic więcej, aż któregoś dnia dostała bukiet polnych kwiatów od Marcie. Była tak zaskoczona, że tylko wymamrotała „dziękuję”. Innego dnia spędziła z Lindą Hopkins dodatkową godzinę na padoku. Dziewczynka po raz pierwszy spróbowała jazdy galopem. Po zejściu z konia uszczęśliwiona rzuciła się Eden na szyję.

Tak, Obóz Liberty zmienił jej życie, i to bardziej, niż się mogła spodziewać. Wraz z lipcem nastały upały. Dziewczynki ganiały po terenie ubrane w cienkie koszulki i szorty, a dla ochłody wskakiwały do jeziora. W nocy w domkach zostawiano otwarte drzwi i okna. Roberta, bo któżby inny, znalazła wygrzewającego się w słońcu węża i napędziła strachu współlokatorom. Wokół kwiatów bzyczały pszczoły, a także żądliły obozowiczki.

Mijały dni, jeden niewiele różnił się od drugiego, ale nikt nie narzekał na nudę. Jeśli chodzi o Eden, lato mogłoby trwać w nieskończoność. Chase Elliot, mimo obietnicy czy raczej groźby, że wróci, nie pojawiał się, Eden zaś bardzo uważała, aby nie wchodzić na jego teren. Kilka razy kusilo ją, żeby przejść się w stronę sadu, ale nie odważyła się.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego myśląc o Elliocie, czuje się spięta. Tłumaczyła samej sobie, że facet jest irytujący i powinna o nim jak najszybciej zapomnieć. Wszystko na nic. Codziennie po zachodzie słońca, kiedy zaglądała do koni, przyłapywała się na tym, że nasłuchuje jego kroków.

Któregoś wieczoru wyciągnęła się w ubraniu na łóżku. Dziewczynki, otrzymawszy obietnicę, że nazajutrz będzie ognisko, Dołożyły się wcześniej spać. Eden puściła wodze fantazji. Żar, buchające płomienie, pieczenie kiełbasek... Podobnie jak uczestniczki obozu nie mogła się doczekać jutra. Leżała z rękami pod głową, wpatrując się w biały sufit. Candy tymczasem wydeptywała ścieżkę w podłodze.

- Moim zdaniem powinnyśmy ją urządzić - rzekła.

-Hm?

- Zabawę. - Przystanęła w nogach łóżka. - Wspominałam o niej. Pamiętasz?

- Tak. - Eden skoncentrowała się na sprawach bieżących. - I co z tą zabawą?

- Powinnyśmy ją urządzić. Jeśli dziewczynkom się spodoba, to powinnyśmy ją organizować każdego roku. - Wprost kipiąca entuzjazmem Candy usiadła na łóżku przyjaciółki. - Trzydzieści kilometrów stąd znajduje się obóz dla chłopców, więc możemy ich zaprosić. Na pewno chętnie przyjadą.

- O, nie wątpię. - Eden zamyśliła się. Zabawa oznaczała przekąski i napoje dla co najmniej stu osób, muzykę, dekoracje. W księgach rachunkowych pojawi się debet. Z drugiej strony wyobraziła sobie radość dziewczynek. Psiakość, jakoś muszą się znaleźć pieniądze. - W stołówce jest dość miejsca, wystarczy zsunąć stoły.

- No właśnie. A jeśli chodzi o muzykę, to żaden problem. Większość dziewcząt przywiozła z sobą jakiś sprzęt grający. Chłopcy też na pewno zabrali z domu płyty. - Candy zaczęła sporządzać notatki. - Dekoracje mogłybyśmy same wykonać...

- Poczęstunek musiałby być skromny - wtrąciła pośpiesznie Eden.  
- Ciastka, poncz, tego typu rzeczy.

- Najlepszy termin to ostatni tydzień, prawda? Takie uroczyste pożegnanie.

Ostatni tydzień. Jakie to dziwne, pomyślała Eden. W pierwszym tygodniu padała na nos ze zmęczenia, a teraz czuła żal. Wcale nie chciała wracać do normalnego życia, ale lato nie będzie wiecznie trwało. We wrześniu czekało ją nowe wyzwanie: znalezienie pracy. Candy była nauczycielką, wróci do uczenia dzieci, ona zaś zacznie przeglądać ogłoszenia w gazetach, składać podania, umawiać się na rozmowy...

- Eden? Co o tym myślisz?

- O czym?

- O zorganizowaniu zabawy na zakończenie obozu.

- Może warto najpierw porozumieć się z opiekunami obozu chłopięcego.

- Skarbie, co ci jest? - Candy ujęła przyjaciółkę za rękę. - Boisz się powrotu do domu?

- Po prostu czuję lekki niepokój.

- Naprawdę nie musisz się martwić o pracę. Moja pensja wystarczy nam na czynsz, a babcia zostawiła mi w spadku trochę pieniędzy, których jeszcze nie wydałam, więc...

- Kocham cię, Candy. Nie można sobie wymarzyć lepszej przyjaciółki.

- Ja też cię kocham, złotko.

- I właśnie dlatego nie zamierzam siedzieć beczynn timer i patrzeć, jak ty harujesz. Nie dość, że zaoferowałaś mi dach nad głową, to jeszcze mam cię objadać?

- Przecież wiesz, że wolę mieszkać z tobą niż sama. To ty wyświadczasz mi przysługę, a nie ja tobie. Poza tym przez kilka ostatnich miesięcy prowadziłaś kuchnię...

- Większość posiłków była ledwie strawna.

- To prawda. - Candy roześmiała się. - Ale przynajmniej nie musiałam gotować. - Na moment zamilkła. - Po prostu się nie śpiesz. Zastanów się na spokojnie, co cię interesuje i co chciałabyś robić.

- Chciałabym pracować. - Eden ponownie wyciągnęła się na łóżku. - Serio. Chcę pracować. Być aktywna. Zarabiać na życie. Marzy mi się praca w stadninie. Może w tej, w której dawniej trzymałam swojego konia. A jeśli to nie wypali... - Wzruszyła ramionami. - Wtedy rozejrzę się za czymś innym.

- W porządku. - Candy odłożyła na bok notatki.

- A w przyszłym roku będziemy miały liczniejszy obóz, większy personel i może nawet uda nam się zarobić parę groszy.

- W przyszłym roku będę wiedziała, jak się robi latarnię sztormową z puszki po tuńczyku.

- I poduszkę z dwóch ręczników. I uchwyty do garnków.

- Och, z tym to może się jeszcze wstrzymaj.

- Wstrzymaj? Nie mam zamiaru. A na razie skontaktuję się z kierownictwem obozu... Sokole Gniazdo?

- Orli Głaz - poprawiła ją ze śmiechem Candy. - Ta zabawa to naprawdę dobry pomysł. Nam też należy się rozrywka, tym bardziej że w obozie dla chłopców pracuje męski personel. - Przeciągnęła się

leniwie. - Wiesz, ile czasu minęło, odkąd zamieniłam słowo z facetem?

- Tydzień temu rozmawiałaś z elektrykiem.

- Gość liczy co najmniej sto lat, a ja mam na myśli kogoś, kto jeszcze nie wyłysiał i nie stracił wszystkich zębów. - Popatrzyła spod oka na Eden. - Przynajmniej ty trzymałaś się w stajni za rękę z naszym przystojnym sąsiadem.

- Wcale nie trzymałam się za rękę. Mówiłam ci, że...

- Dobra, dobra. Nasz mały szpieg przedstawił mi całkiem inną wersję wydarzeń. Swoją drogą, odnoszę wrażenie, że Roberta zakochała się od pierwszego wejrzenia.

- Biedne dziecko. - Eden potarła odciski na dłoni. - Ale jakoś przeboleje rozstanie.

-A ty?

- Ja też.

- Przyznaj się, naprawdę serce nie zabiło ci szybciej? - Candy pochyliła się do przodu. - Bo ja przyjrzałam się dobrze facetowi, kiedy prowadziłam z nim negocjacje w sprawie jeziora, i uważam, że nie ma kobiety, która na widok jego cudnych zielonych oczu nie byłaby bliska omdlenia.

- Nigdy nie mdleję.

Candy pokręciła ze śmiechem głową

- Nie zapominaj, że rozmawiasz z najbliższą przyjaciółką. Nie sądzisz, że musiałaś wpaść facetowi w oko, skoro wytropił cię w stajni?

- Niekoniecznie. Może po prostu chciał odnieść czapkę Roberty.  
- A może słonie fruwać. Powiedz, ani razu cię nie kusilo, żeby wybrać się samotnie na spacer po sadzie?

- Nie - skłamała Eden, bo kusilo codziennie. - Widziałaś jedną jabłoń, widziałaś wszystkie.

- A hodowca tychże jabłoni? Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, osiemdziesiąt kilo wagi, umięśnione ciało... Drugiego tak przystojnego gościa po tej stronie Missisipi nie znajdziesz. - Na twarzy Candy odmalował się wyraz zatroskania. Przez ostatni rok widziała, jak przyjaciółka cierpi, i nie była w stanie jej pomóc. - Ciesz się życiem, kochanie. Zaslugujesz na chwilę wytchnienia.

- Nie jestem pewna, czy Chase Elliot potrafilby ją zapewnić. - Kojarzył się jej z niebezpieczeństwem, z ryzykiem, z seksem, z pokusą.

Wstała i podeszła do okna. Ómy trzepotały skrzydłami o siatkę, usiłując dostać się do środka.

- Boisz się facetów - stwierdziła Candy.

- Może.

- Kochanie, nie porównuj innych do Erica.

- Nie porównuję. I wcale za nim nie wzdycham.

Candy wzruszyła ramionami. Nie przepadała za tym oślizgłym typem.

- To dlatego, że go nigdy nie kochałaś.

- Zamierzałam za niego wyjść.



- Bo myślałaś, że powinnaś. Skarbie, znam cię lepiej niż ktokolwiek. Z Erikiem wszystko było takie proste, takie przewidywalne.

Eden uniosła z rozbawieniem brwi.

- To źle?

- Czy będąc z nim, kręciło ci się w głowie? Czy miałaś kolana jak z waty? Czy serce ci łomotało jak szalone? Podejrzewam, że nie. - Mówiła z pozycji kobiety doświadczonej, która była zakochana z dziesięć razy, zanim skończyła dwadzieścia lat. - Wyszłabyś za niego za mąż i może nawet byś nie narzekała. Mieliście podobne gusty, podobne zainteresowania. Wasze rodziny się lubiły.

- Boże, to brzmi tak chłodno.

- Prawda? Ale w głębi duszy ty jesteś inna. Nie odpowiadałoby ci takie życie. - Na moment urwała. Czyżby uraziła przyjaciółkę? - Dorastałaś w określonych warunkach, potem zawalił się twój świat. Wyobrażam sobie, jakim to musiało być traumatycznym przeżyciem. Pozbierałaś się, lecz nie do końca potrafisz uwolnić się od przeszłości.

- Próbuję.

- Wiem. Przyjazd na ten obóz to dobry początek, ale powinnaś pomyśleć o sobie, rozejrzeć się za...

- Za mężczyzną?

- Za kimś, z kim mogłabyś miło spędzać czas. Jesteś zbyt inteligentna, by sądzić, że bez faceta kobieta sobie nie poradzi, ale tylko dlatego, że jeden zachował się jak dupek, nie znaczy, że wszyscy są tacy. - Candy zdrapała z paznokcia odrobinę niebieskiej

farby. - Należę do tych ludzi, których samotność nie bawi. Uważam, że każdy potrzebuje bliskości, bratniej duszy.

- Pewnie masz rację, ale dla mnie jest jeszcze za wcześnie. Na razie próbuję pozbierać się do kupy. Nie chcę żadnych komplikacji w swoim życiu, zwłaszcza takich, które mają metr osiemdziesiąt pięć wzrostu.

- Z nas dwóch to ty zawsze byłaś romantyczką. Pamiętasz wiersze, które pisałaś?

- Byłam wtedy podlotkiem. - Ponownie wzruszyła ramionami. - Dorosłam.

- Dorosłość nie oznacza, że trzeba przestać marzyć. - Candy podniosła się z łóżka. - Ten obóz jest najlepszym przykładem, że marzenia się spełniają. Nie wzbraniaj się przed miłością.

- Nie wzbraniam się. - Cmoknęła przyjaciółkę w policzek. - No dobra, czyli organizujemy pożegnalną zabawę i staramy się oczarować personel z obozu dla chłopców.

- Mogłybyśmy zaprosić również paru sąsiadów.

- Dać takiej palec, to od razu chce rękę. - Eden ze śmiechem ruszyła do drzwi. - Przejdę się, potem zajrzę do koni.

W obozie panował spokój, ale dookoła rozbrzmiewały różne dźwięki. Przez kilka pierwszych nocy Eden, przyzwyczajona do zgiełku miasta, nie mogła przywyknąć do tutejszej ciszy, lecz z czasem nauczyła się słyszeć muzykę nocy. Chór świerszczy, pohukiwanie sowy, dochodzące z pobliskiej farmy muczenie krów,

szelest drobnej zwierzyny przemykającej wśród krzaków i drzew - wszystko to składało się na niezwykłą symfonię.

Zbliżając się do jeziora, słyszała głośnie kumkanie żab. Szła wolno, rozmyślając o tym, co Candy mówiła. Czy naprawdę była kiedyś romantyczką? Zerwała polny kwiat, obracając w palcach łodyżkę, patrzyła na wirujący pąk. Owszem, pisała wiersze, potwornie sentymentalne, głównie o miłości. O miłości czystej, dozgonnej, wyidealizowanej. Ale to było dawno temu.

Nagle uświadomiła sobie, że odkąd poznała Erica, nie napisała ani jednego wiersza. Z romantycznej dziewczynki przeobraziła się w poważną, rozsądnie myślącą kobietę. Teraz obie znikły, i romantyczna dziewczynka, i rozsądna kobieta. Bardzo dobrze, pomyślała. Rzuciwszy kwiat do wody, patrzyła, jak unosi się na połyskującej w blasku księżyca srebrzystej tafli.

Candy ma rację. Z Erikiem nie chodziło o żadną wielką miłość lub namiętność, lecz o konwenanse, tradycję, oczekiwania. Kiedy ją zostawił, zranił jej dumę, nie serce. Eric... podarował jej pierścionek z brylantem, przysyłał róże, prawił komplementy, ale to nie była miłość. Ani on nie kochał jej, ani ona jego.

Romantyczna miłość... Na czym polega? Czym się objawia? Czy to wspólne słuchanie Chopina? Kolacja przy świeczkach? Wyprawa do wesołego miasteczka i przejażdżka na diabelskim młynie? Tak, diabelski młyn by się jej spodobał. Śmiejąc się cicho, objęła się w pasie i uniósłszy głowę, popatrzyła na gwiazdy.

- Powinnaś robić to częściej.

Obróciła się, przyciskając rękę do gardła. Chase stał parę metrów dalej, na skraju lasu. Przemknęło jej przez myśl, że spotykają się po raz trzeci i po raz trzeci on pojawia się zniemacka, a ona podskakuje wystraszona.

- Lubisz się skradać i straszyć ludzi czy niechcący ci to wychodzi?

- Nigdy dotąd mi się to nie zdarzało.

Swoją drogą, to nie on zaszedł jej drogę, lecz ona jemu. Po zmroku wybrał się na spacer; krążył bez celu, aż w końcu doszedł nad brzeg jeziora. Tu przystanął, spoglądając na wodę, rozmyślał o Eden.

- Opałaś się.

Od ich ostatniego spotkania włosy wyraźnie jej pojaśniały, a skóra przybrała bardziej złocisty odcień. Miał ochotę wtulić w nie twarz, sprawdzić, czy są tak miękkie i pachnące jak dawniej.

- Większość czasu spędzam na dworze. - Korciło ją, żeby rzucić się do ucieczki. Dziwne, pomyślała. Bo to spotkanie, w świetle księżyca, na skraju wody, miało w sobie coś mistycznego.

- Powinnaś nosić czapkę albo kapelusz. - Nie potrafił się skupić, łomot serca go dekoncentrował. Wyglądała jak piękna, skąpana w srebrzystym blasku zjawia. Szczupła, w bieli, z włosami opadającymi na ramiona. - Ciekaw byłem, czy czasem tu przychodzisz.

Wyłonił się z cienia. Monotonne cykanie świerszczy rozbrzmiewało coraz głośniejsze.

- Uznałam, że nad wodą będzie chłodniej.

Podszedł bliżej.

- Lubię gorące noce.

- W domkach nie ma czym oddychać. - Zerknąwszy za siebie, zobaczyła, że od obozu dzieli ją spory kawałek drogi. - Przepraszam, nawet nie zauważyłam, kiedy weszłam na teren twojej posiadłości.

- Nie szkodzi. To prawda, nie lubię, jak obcy kręcą się po sadzie, ale tu mi nie przeszkadza. - Z bliska mniej przypominała zjawę, a bardziej kobietę. - Słyszałem twój śmiech. O czym myślałaś?

W gardle jej zaschło. Cofnęła się, ale nie miała wrażenia, aby odległość między nią a Chase'em się zwiększyła.

- O diabelskim młynie.

- Hm, wolisz się wznosić... - ulegając pokusie, przysunął rękę do jej włosów - czy opadać?

Jego dotyk podziałał na nią wprost niewiarygodnie.

- Muszę wracać do obozu.

- Przejdźmy się.

Przypomniała sobie jego słowa o tym, że chciałby z nią pospacerować w świetle księżyca.

- Nie mogę. Jest późno.

- Wpół do dziesiątej to tak późno? - Ująwszy jej dłoń, zaczął ją delikatnie gładzić i wyczuł palcami długi ciąg odcisków. - Ciężko pracujesz.

- Niektórzy pracą zarabiają na życie. - To wprost niepojęte, ale jego lekki, niewinny dotyk przyprawiał ją o dreszcze.

- Nie złość się. - Wciąż bawił się jej dłonią. - Gdybyś wkładała rękawiczki, wtedy po powrocie do Filadelfii...

- Na razie jestem tutaj, a tu częściej wiosłuję niż nalewam herbatę do porcelanowych filiżanek.

- Wkrótce znów przeobrazisz się w damę. - Wyobraził ją sobie, jak w wytwornym salonie, ubrana w różowe jedwabie, podnosi czajniczek. - Zobacz, księżyc odbija się w wodzie.

Zafascynowana obróciła głowę. Srebrzyste promienie migotały na ciemnej tafli. Przypomniała sobie legendę o trzech prządkach, które nawijały księżycowe nici na wrzeciona.

- Jest piękny. Niemal na wyciągnięcie ręki.

- Niektóre rzeczy są bliżej, niż nam się wydaje, inne znacznie dalej. Nie puszczając jej dłoni, wolnym krokiem ruszył przed siebie. Nie zaprotestowała, że musi wracać.

- Od zawsze tu mieszkasz? - spytała.

- Większość życia. - Zerknął na Eden. - W domu, który liczy ponad sto lat. Myślę, że by ci się spodobał.

Przypomniała sobie własny dom, w którym mieszkało tyle pokoleń rodu Carlbough, a który dziś zajmowali obcy ludzie.

- Uwielbiam stare domy.

- Jak tam obozowe życie?

- W porządku. - Starła się nie myśleć o rachunkach. - Chociaż dziewczynki dają nam czasem niezłe popalić. - Roześmiała się. - Nie sądziłam, że można mieć tyle energii.

- A jak się miewa moja ulubienica?

- Roberta? Jest niereformowalna.

- To dobrze.

Eden ponownie wybuchnęła śmiechem.

- Z pracowni sztuki zwędziła kilka puszek farby. Biedna Marcie!  
Kiedy się obudziła, wyglądała jak Indianin w barwach wojennych.

- Pomysłowa mała bestia.

- O tak. Niedawno stwierdziła, że przewodniczącym Sądu Najwyższego nigdy nie była kobieta i ona zamierza to zmienić.

Chase pokiwał głową. Wyobraźnia i ambicja... te cechy najbardziej podziwiał.

- Podejrzewam, że jej się uda.

- Wiem. Trochę mnie to przeraża.

- Może usiądziemy? Lepiej będzie widać gwiazdy.

Gwiazdy? Eden ocknęła się. Przez moment nie pamiętała, kto ją trzyma za rękę i dlaczego boi się być z nim sam na sam.

- Wolałabym... - Zanim dokończyła, Chase pociągnął ją na miękką trawę. - Po co w ogóle pytasz, skoro i tak robisz, co chcesz?

- Kwestia dobrego wychowania - odparł, obejmując ją ramieniem. Zesztywniała, czym zupełnie się nie przejął.

- Spójrz do góry. Jak często w mieście patrzysz w niebo? Nie potrafiąc oprzeć się pokusie, zadarła głowę i zobaczyła bezkresną, aksamitną czerń upstrzoną tysiącami migoczących światełek. Wzruszenie odebrało jej mowę.

- To jest inne niebo niż w mieście - szepnęła po chwili.

- Niebo, kotku, się nie zmienia, wszędzie jest jednakowe, tylko ludzie są inni. - Ułożył się na wznak. - Widzisz Kasjopeję?

- Gdzie? - Wyteżyła wzrok, ale gwiazdy, na które patrzyła, nie układały się w żaden konkretny wzór.

- Połóż się. - Przyciągnął ją do siebie. Zanim zdołała zaprotestować, skierował palec ku górze. - Tam, widzisz? O tej porze roku ma kształt litery W.

- Ojej, faktycznie! - zawołała uradowana. - Nigdy nie potrafię znaleźć żadnego gwiazdozbioru.

- Trzeba umieć patrzeć. A tam jest Pegaz. - Wskazał inny punkt na niebie. - Ma sto sześćdziesiąt sześć gwiazd, które widać gołym okiem.

Zmrużywszy oczy, Eden w skupieniu wpatrywała się w jasne kropeczki.

- Tak, widzę! - krzyknęła z entuzjazmem. - Swojego pierwszego kuca ochrzciłam Pegaz. Wyobrażałam sobie, że wyrastają mu skrzydła i wznosimy się w powietrze. Pokaż mi jeszcze coś.

Wpatrywał się w jej twarz, w oczy, które lśniły równie intensywnie jak gwiazdy na niebie, w usta rozchylone w uśmiechu.

- Orion - szepnął.

- Gdzie?

- Stoi, w jednej ręce trzymając tarczę, w drugiej miecz. Na jego ramieniu połyskuje czerwona gwiazda tysiąckroć jaśniejsza od Słońca.

- Nie widzę. Gdzie... - Obróciła głowę i napotkała jego oczy.

Zapomniała o księżycu, o gwiazdach, o słodko pachnącej trawie. Zacisnęła dłoń na nadgarstku Chase'a. Po chwili dwa tętna były jednym rytmem.



Wstrzymała oddech, czekając na pocałunek. Usta Chase'a musnęły jej skroń. Poczuła, jak po całym jej ciele rozchodzi się ciepło. Nieopodal sowa pohukiwała, rozmawiając z gwiazdami. Lub z kochankiem.

- Chase, co my robimy?

- Spędzamy miło czas. - Niespiesznie obsypywał jej twarz drobnymi pocałunkami.

Miło? Przecież płonęła. Jeszcze nigdy się tak nie czuła, słaba, a zarazem silna, spragniona dotyku, a zarazem targana wątpliwościami. Jęcząc cichutko, objęła Chase'a za szyję i przytuliwszy się mocno, przywarła ustami do jego ust. Po raz pierwszy w życiu doświadczała tak potężnej żądz.

Jej namiętność zaskoczyła go. Nastawiał się na to, że będzie uwodził ją delikatnie, niespiesznie, by jej nie wystraszyć. Ale rytmiczne ruchy jej ciała, gorące usta, dłonie, którymi masowała mu plecy, sprawiły, że zapomniał o wcześniejszych postanowieniach. Liczyła się tylko ta chwila i ta cudowna kobieta, którą trzymał w ramionach.

Pachniał ziemią i trawą, jego oddech parzył. Powtarzając szeptem jego imię, Eden wsunęła palce w jego włosy. Jęknął. Pragnął jej dotykać, całej, wszędzie. Pragnął w nią wejść, kochać się tu i teraz. Nagle jej dłoń spoczęła na jego twarzy. Przykrywając ją własną ręką, wyczuł pierścionek na jej palcu.

Tak wiele o niej nie wiedział. Byli dwojgiem obcych ludzi. Musi poznać ją lepiej. Sama namiętność nie wystarczy. Kim jest Eden

Carlrough? Uniósłszy się na łokciu, popatrzył jej głęboko w oczy. Kim, do diabła, jesteś? Dlaczego doprowadzasz mnie do szaleństwa?

Odsunął się.

- Jesteś pełna niespodzianek, panno Eden Carlrough z filadelfijskiego rodu Carlrough.

Przez moment patrzyła na niego skołowana. Skończyła się cudowna, zwariowana przejażdżka na diabelskim młynie.

- Chcę wstać.

- Nie potrafię cię rozgryźć, Eden.

- Nikt ci nie każe. - Miała ochotę zwinąć się w kłębek i wybuchnąć płaczem, ale nie bardzo wiedziała, z jakiego powodu. Na szczęście oprócz smutku czuła również gniew.

- Zejdź ze mnie. Chcę wstać - powtórzyła.

Dźwignąwszy się na nogi, wyciągnął do niej rękę. Zignorowała ją.

- Przekonałem się, że krzyk bardzo pomaga, jak człowiek jest zły.

Posłała mu wściekłe spojrzenie. Nie będzie jej upokarzał ten drań!

- Może tobie pomaga. Dobranoc. - Obróciła się na pięcie.

- Psiakrew! - Chwycił ją za łokieć. - Nie jestem głupi. Czuję, że zaiskrzyło między nami, ale chciałbym wiedzieć, w co się pakuję.

- W nic. Po prostu miło spędzaliśmy czas. Sam tak powiedziałaś. - Miło spędzaliśmy czas, powtórzyła w duchu. To wszystko. Nic więcej się za tym nie kryje. - A teraz skończyliśmy, więc wracam do obozu.

- Wcale nie skończyliśmy. I to mnie martwi.

- Przykro mi, Chase. To już twój problem.

- Tak, to mój problem... - Nie mieściło mu się w głowie, że tak szybko można przejść od sympatii do pożądania. - Dlatego chciałbym wiedzieć, dlaczego Eden Carlbough prowadzi obóz dla dziewczynek, a nie pływa jachtem po wyspach greckich? Dlaczego sprząta stajnię, zamiast, jak przystało na żonę Erica Keetona, dobierać zastawę stołową i planować eleganckie przyjęcia?

- Uważam, że to cię nie powinno interesować - oznajmiła podniesionym głosem. W przeciwieństwie do dawnej Eden, nowa z trudem kontrolowała emocje. - Ale skoro jesteś taki ciekaw, zadzwoń do któregoś ze swoich kuzynów. Na pewno chętnie udzieli ci wszelkich informacji.

- Wolę spytać ciebie.

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. - Wyszarpnęła łokieć. Dygotała z wściekłości. - Nie jestem ci nic winna.

- Może nie. Po prostu lubię wiedzieć, z kim się Kocham.

- Nie będziemy się kochać. Masz to jak w banku.

- Mylisz się, kotku. Dokończymy to, co zaczęliśmy. - Ponownie ujął ją za łokieć. - Też masz to jak w banku.

- Wierz mi, nie będzie żadnego dalszego ciągu.

Ku jej zdumieniu, uśmiechnął się szeroko. Rozluźniwszy uścisk, pogładził ją po ramieniu. Nie zdołała powstrzymać drżenia.

- Dobrze wiesz, że będzie. - Przytknął palec do warg Eden, jakby chciał pobudzić jej pamięć. - Myśl o mnie.

Po chwili znikł pośród drzew.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

To był wymarzony wieczór na ognisko. Czasem mała strzepiasta chmurka przysłaniała księżyc, ale szybko odpływała dalej. Upał zelżał po zachodzie słońca, powietrze było świeże, wiał lekki, przyjemny wiaterek.

Paręset metrów na wschód od głównego obozowiska stała podobna do indiańskiego tipi dwumetrowa konstrukcja zbudowana z patyków i gałęzi, które dziewczynki zebrały w ciągu dnia. Szeroka u podstawy, zwężała się ku górze. Na jednym końcu stołu piknikowego leżały hot dogi i pianka żelowa, na drugim - niczym szable - drewniane szpikulce. Na wszelki wypadek przyciągnięto szlauch.

Dziewczynki krążyły niecierpliwie wkoło. Wreszcie, gdy Candy podniosła długą zapałkę, rozległy się oklaski.

- Moje kochane, nadziewajcie hot dogi na badyle. Za moment w Liberty rozpocznie się pierwsze doroczne ognisko.

Potarła zapałkę i zbliżyła płomyk do chrustu. Liście i gałązki zajęły się ogniem. Po chwili płomień powędrował ku górze.

- Fantastycznie! - zawołała zachwycona Eden. Zapach dymu kojarzył się jej z jesienią, która nieuchronnie się zbliżała. - Bałam się, że możemy mieć kłopoty z rozpaleniem.

- Przecież jestem ekspertką - oburzyła się Candy, nadziewając kiełbasę na patyk. - Jedyne, czego się bałam, to deszczu. Na szczęście nie będzie padać. Tylko spójrz na te gwiazdy.

Eden zadarła głowę. Nawet specjalnie nie szukając, odnalazła Pegaza. Podobnie jak wczorajszego wieczoru, mknął po nocnym

niebie. Jeden dzień, jedna noc, a tyle się wydarzyło. Czując na twarzy chłodny wietrzyk, a na rękach żar ogniska, zastanawiała się, czy ta chwila namiętności z Chase'em przypadkiem się jej nie przyśniła.

Nie, to nie był sen. Wspomnienie było zbyt świeże, zbyt intensywne. Naprawdę wybrała się po ciemku na spacer, naprawdę nad brzegiem jeziora spotkała Chase'a, naprawdę leżeli na trawie, pieścąc się i całując. Czym prędzej skierowała wzrok na kilka pojedynczych punkcików światła, które nie tworzyły żadnej konstelacji.

Nie pomogło. Wspomnienia nie znikły. Trudno. Wczorajszy incydent więcej się nie powtórzy. Nagle jednak ogarnęły ją wątpliwości. Czy na pewno?

- Powiedz, dlaczego tu wszystko wydaje się inne?

- Bo jest inne. - Candy odetchnęła głęboko, wciągając w nozdrza zapach dymu, palących się liści, pieczonego mięsa. - Nie ma pluszowych kanap, wytwornych salonów, nudnych przyjęć, cotygodniowych recitali fortepianowych. Zjesz hot doga?

Oblizując się ze smakiem, Eden przyjęła kawałek przyczernionej kiełbaski.

- Masz takie proste, trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość. - Wetknęła ją w bułkę i poliała keczupem. - Zazdroszczę ci.

- Dam ci dobrą radę. Przestań się zadreć. Naprawdę nie brukasz nazwiska Carlbough, kiedy stoisz przy ognisku, zajadając się hot dogiem. - Poklepała przyjaciółkę po ramieniu. - Powinnaś skosztować piankę - dodała, ruszając na poszukiwanie szpikulca.

Czy o to chodzi? - zadumała się Eden, przeżuując jedzenie. Do pewnego stopnia Candy miała rację. Bądź co bądź to ja sprzedałam dom, który należał do rodziny od czterech pokoleń. To ja wystawiłam na aukcji srebra i porcelanę, obrazy i biżuterię. To ja pozbyłam się rodowych skarbów i pamiątek po to, by pospłacać długi i rozpocząć nowe życie.

Nie miała wyjścia. Po prostu życie ją do tego zmusiło. Rozsądek podpowiadał, że słusznie postąpiła, ale żal pozostał. Żal, poczucie straty oraz wyrzuty sumienia.

Wzdychając ciężko, cofnęła się od ognia. Widok, który miała przed oczami, przypominał jej własne dzieciństwo. Szary dym wznoszący się ku niebu, buzujące płomienie, zapach pieczonego mięsa... tak samo było przed laty, kiedy wraz z Candy spędzały letnie miesiące na Obozie Forden. Przez moment chciała znów być dzieckiem. Życie było wtedy takie proste, a problemami zajmowali się rodzice.

- Panno Carlbough?

Dziewczęcy głos wyrwał ją z zadumy. Odwróciła wzrok i zobaczyła obozową rozrabiaczkę.

- Cześć, Roberto. Dobrze się bawisz?

- Super! - zawołała dziewczynka z brodą umazaną keczupem. - Lubi pani ogniska?

- Oczywiście. - Z uśmiechem popatrzyła na strzelające w górę płomienie. - Bardzo.

- Wygląda pani jakoś tak smutno, dlatego upiekłam dla pani piankę.

Dziewczynka podała jej patyk, na którego końcu tkwiła czarna pomarszczona masa. Eden poczuła ucisk w gardle, identyczny jak wtedy, gdy od innej podopiecznej dostała bukiet polnych kwiatów.

- Dziękuję, kochanie, ale nie jestem smutna, tylko zamyślona. - Ostrożnie zsunęła z patyka roztopioną piankę. Połowę udało jej się donieść do ust, druga spadła na ziemię.

- Szybko się topią - stwierdziła Roberta. - Zrobię pani następną.

- Och, nie fatyguj się - zaprotestowała Eden, przełykając ciepłą słodką maź.

- To żadna fatyga. - Dziewczynka uśmiechnęła się promiennie. Ten szczery, radosny uśmiech sprawił, że Eden zapomniała o wszystkich jej grzeszkach. - Wie pani, myślałam, że będę się strasznie nudzić na tym obozie, ale wcale nie jest nudno. Zwłaszcza uwielbiam jazdę konną... - Zamilkła, spuściła wzrok, jakby zbierała się na odwagę. - Nie radzę sobie tak dobrze jak Linda, ale zastanawiałam się, czy... czy mogłabym częściej wpadać do stajni... ?

- No pewnie. - Eden potarła palcem o kciuk, bezskutecznie usiłując pozbyć się resztek lepkiej mazi. - I wcale nie musisz mnie przekupywać pianką.

- Naprawdę bym mogła?

- Naprawdę. - Pogłaskała dziewczynkę po głowie. - Razem z panną Bartholomew wpiszę dodatkową jazdę do twojego programu zajęć.

- Fajnie! Dziękuję, panno Carlbough.

- Musimy popracować nad twoją postawą.

Roberta skrzywiła się.

- No dobrze, chociaż wolałabym ścigać się dookoła beczek. Jak na rodeo. Widziałam takie zawody w telewizji.

- Co do wyścigów, to nie wiem, ale może przed końcem obozu nauczysz się skakać przez drobne przeszkody.

- O Jezu! Serio?

- Serio. Ale pamiętaj, postawa jest najważniejsza.

- Dobrze, popracuję nad nią. Może nawet będę lepsza od Lindy! - Roberta odtańczyła taniec radości. - Dziękuję, panno Carlbough.

Popędziła jak na skrzydłach, by podzielić się dobrą nowiną. Eden odprowadziła ją wzrokiem. Patrząc na grupkę dziewcząt, nagle uświadomiła sobie, że już nie rozmyśla o przeszłości i wcale do niej nie tęskni. Uśmiechając się błogo, zlizwała z palców słodką papkę.

- Nie potrzebujesz pomocy?

Z palcami w ustach obróciła się. Powinna była wiedzieć, że Chase przyjdzie na ognisko. W głębi duszy chyba nawet na to liczyła. Czym prędzej schowała za siebie lepką rękę.

Zastanawiał się, czy wie, jak ślicznie wygląda w blasku złocistych płomieni. Teraz stała lekko nachmurzona, ale wcześniej zauważył błysk radości w jej oczach, gdy tylko go usłyszała. Ciekawe, czy gdyby ją pocałował, poczułby słodycz pianki na jej ustach? Czy znów by między nimi zaiskrzyło? Walcząc z pokusą, zahaczył kciuki o szlufki i utkwiał spojrzenie w strzelających językach ognia.



- Idealny wieczór na ognisko.

- Candy twierdzi, że to jej zasługa. Ponoć ma chody na górze i zamówiła taką pogodę. - Eden odprężyła się. Wśród ludzi czuła się bezpieczna. - Nie spodziewaliśmy się gości.

- Zauważyłem dym.

Zerknęła do góry. Nawet nie przypuszczała, że dym tak wysoko ulatuje.

- Mam nadzieję, że się nie wystraszyłeś. Oczywiście uprzedziłyśmy o naszych planach straż pożarną.

Obok przebiegły trzy obozowiczki. Chase posłał im przyjazne spojrzenie, na co dziewczynki zapiszczały z uciechy.

- Ciekawe, ile trwało, zanim opanowałeś go do perfekcji? - zadumała się Eden.

- Co?

- Swój zniewalający urok.

- Urodziłem się z nim.

Wybuchnęła śmiechem.

- Ciepło tu - powiedziała po chwili, odsuwając się od żaru.

- Co roku, na Halloween, moi rodzice urządzali w ogrodzie wielkie przyjęcie - powiedział Chase. - Rozpalali ognisko, dookoła stawiali wydrążone dynie ze świecami... Któregoś razu ojciec przebrał się za Jeźdźca bez Głowy. Ależ dzieciaki miały radochę! - Na moment zamilkł. - Piekliśmy jabłka i wymyślaliśmy przerażające historie o duchach. Pamiętam, że potwornie się baliśmy. Kiedy dziś o tym

myślę, wydaje mi się, że cała ta zabawa największą frajdę sprawiała mojemu ojcu.

Oczami wyobraźni zobaczyła obrazek, jaki Chase namalował, i ponownie się roześmiała. Ona inaczej obchodziła święto Halloween. Szła na bal przebrana za księżniczkę lub balerinę. Oczywiście lubiła te bale kostiumowe, ale wiele by dała, żeby choć raz zobaczyć wielkie ognisko i Jeźdźca bez Głowy.

- Kiedy planowałyśmy dzisiejszą uroczystość, byłam nie mniej przejęta od dziewczynek - przyznała cicho. - To śmieszne, prawda?

- Śmieszne? Nie, sympatyczne. - Położył dłoń na jej policzku i obrócił Eden twarzą do siebie. Skórę miała ciepłą, jedwabistą. - Myślałaś o mnie?

Zakręciło się jej w głowie. Miała wrażenie, że tonie, że wsysają potężny wir.

- Byłam zajęta.

Cofnij się, odsuń się o niego, nakazała sobie, lecz nogi nie posłuchały rozkazu. Z oddali dolatywały dźwięki gitary i śpiew. Chyba znała muzykę i słowa, ale nie potrafiła wydobyć ich z zakamarków pamięci. Jediną namacalną prawdą była dłoń Chase'a na jej policzku.

- To... to miło, że... że do nas wpadłeś - wydukała.

- Mówisz jak gospodyni, która żegna gościa. - Przesunął rękę z policzka za ucho Eden.

- Zapewne masz ciekawsze rzeczy do roboty niż... - Zadrzała. - Przestań.

Ogień oświetlał jej twarz, odbijał się w oczach. Chase tkwił nieruchomo, nie mógł oderwać od niej spojrzenia. Myślał o Eden nieustannie. Od rana do wieczora. Teraz również o niej myślał. O tym, jak by to było kochać się z nią w ciepłe ogniska, pod gołym niebem.

- Nie spacerowałaś więcej nad jeziorem, prawda?

- Mówiłam już, że byłam zajęta - odparła cicho. Dlaczego szeptała? Dlaczego nie potrafiła powiedzieć tego chłodnym, zdecydowanym tonem? - W końcu nie jestem na urlopie. Mam zobowiązania wobec dziewczynek, wobec Candy, no i wobec...

- Siebie? - Ileż by dał, aby znów mogli leżeć razem na trawie, wpatrując się w gwiazdy. Pragnął ponownie zakosztować tej cudownej mieszanki żaru i niewinności. - Jak długo chcesz mnie unikać?

- Bardzo długo... - Westchnęła z ulgą na widok zmierzającej w ich stronę Roberty.

- Cześć. - Dziewczynka uśmiechnęła się od ucha do ucha, a serce zabiło jej szybciej.

- Cześć, Roberto. - Chase nie cofnął ręki z włosów Eden. - Widzę, że pilnujesz swojej czapki.

Roberta, zachwycona tym, że tak wspaniały mężczyzna zapamiętał jej imię, uniosła daszek.

- Panna Carlbough zagroziła, że jeśli znów zakradnę się do pańskiego sadu, to mi ją zabierze. Ale gdyby pan nas zaprosił na zwiedzanie... toby miało walor edukacyjny.

- Roberto! - Eden zmarszczyła gniewnie czoło.

- No co? Panna Bartholomew kazała nam wymyślać, co ciekawego chciałobyśmy robić - oznajmiła z niewinną miną dziewczynka. - Uważam, że wizyta w sadzie byłaby bardzo ciekawa.

- Też tak myślę - poparł ją Chase. - Coś wykombinujemy.

- Fajnie. - Usatysfakcjonowana obietnicą, wyciągnęła przed siebie patyk ze spaloną kiełbaską - Upiekłam panu hot doga.

- Wygląda pysznie. Dziękuję. - Chase skosztował kawałek. Nie dał po sobie poznać, że w środku mięso jest chłodne.

- Przyniosłam też kilka pianek, wystarczy je podpiec. - Wręczyła dary. - Jeśli chcecie być sami, to w stajni nikogo nie ma. - Cóż, była bystrą dziewczynką i niewiele uchodziło jej uwadze.

- Roberto! - oburzyła się Eden.

Mała diablica nie przejęła się naganą w głosie swojej opiekunki.

- Moi rodzice lubią czasem pobyc tylko we dwoje. No to już pójdę.

- Do zobaczenia - rzucił za nią Chase, po czym obrócił się do Eden, która natychmiast wyciągnęła szpikulec z pianką w stronę ognia. - To co, nie kusi cię stajnia?

- Twoim zdaniem byłoby zabawne, gdyby Roberta powiedziała rodzicom, że jej opiekunka spotykała się z stajni z mężczyzną? Nie sądzisz, że ucierpiałyby na tym reputacja obozu?

- Masz rację. Chodźmy do mnie.

- Do widzenia, Chase.

- Jeszcze nie skończyłem kiełbaski. Zapraszam cię na kolację.

- Dziękuję. Już jadłam.

- Jutro. Pogadamy...

- Nie będziemy gadać ani dziś, ani jutro. - Zirytowana obróciła się do niego twarzą. I z tej irytacji nie zorientowała się, że popełniła błąd.

- W porządku. Możemy nie gadać. - Żeby udowodnić, jaki jest zgodny, pochylił się i zamknął jej usta pocałunkiem.

Wcale jej nie przytrzymał, ale minęło kilka sekund, zanim zrozumiała, że przecież może się cofnąć.

- Nie masz za grosz przyzwoitości? - spytała ochryple.

- Nawet za pół grosza. - Patrząc w oczy Eden, wielkie i błękitne jak tafla jeziora w piękny, słoneczny dzień, powziął decyzję, że nie przyjmie żadnej odmowy do wiadomości. - Zbiórka jutro o dziewiątej rano przed bramą.

- Zbiórka?

- Oprowadzę dziewczynki po sadzie. Wycieczka będzie miała... jak to było? Aha, walor edukacyjny.

Czuła, że Chase przypiera ją do muru.

- To nie jest dobry pomysł. Nie chcę przeszkadzać ci w pracy.

- Nie będziesz przeszkadzać. Pójdę zawiadomić twoją współpracowniczkę o waszych jutrzejszych planach.

Eden odetchnęła głęboko.

- Taki jesteś cwany?

- Przezorny, kotku, przezorny. Twoja pianka się pali.

Kiedy usiłowała zdmuchnąć z pianki ogień, Chase wsunął ręce do kieszeni i wolnym krokiem oddalił się na poszukiwanie Candy Bartholomew.

Miała nadzieję, że od rana będzie lało jak z cebra, ale spotkał ją srogi zawód, bo na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Miała też nadzieję, że Candy uzna pomysł wycieczki za poroniony, ona jednak ucieszyła się z możliwości pokazania dziewczynkom jednego z największych i najbardziej znanych sadów w całym kraju. Oczywiście obozowiczki również były zachwycone zmianą w ustalonym harmonogramie zajęć. Kiedy więc cała grupa maszerowała rażno w stronę farmy Elliota, jedna Eden powłóczyła nogami.

- Nie miej takiej miny, jakbyś szła na ścięcie. - Candy zerwała kwiatek rosnący na skraju drogi i wetknęła go sobie za ucho. - Dla dziewczynek to wspaniała okazja, żeby nauczyć się czegoś nowego.

- Wiem. Dlatego idę z wami.

- Idziesz naburmuszona.

- Nie jestem naburmuszona. Po prostu nie lubię, jak ktoś mną manipuluje.

- Wiesz co? - Candy wetknęła kolejny kwiatek we włosy. - Na twoim miejscu starałabym się tak wszystko rozegrać, by facet uwierzył, że pomysł wyszedł ode mnie. Wyobrażasz sobie, jaki byłby zaskoczony, gdybyś pojawiła się uśmiechnięta i kipiąca entuzjazmem?

- Hm... - Eden zamyśliła się, a po chwili uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Może masz rację.

- Czasem warto schować dumę do kieszeni i polegać na sprycie.

- Nie musiałabym polegać ani na jednym, ani na drugim, gdybyś pozwoliła mi zostać w obozie.

- Kochanie, gdziekolwiek się ukryjesz, pan sadownik i tak cię znajdzie, przerzuci sobie przez ramię i przytacha na miejsce. - Candy westchnęła głośno. - Swoją drogą, to byłby niezły widok.

Ponieważ tego typu zachowanie pasowało do Chase'a, Eden ponownie się zasepiła.

- Ty, moja najlepsza przyjaciółka... Myślałam, że chociaż na tobie mogę polegać.

- Ależ możesz, kochanie, możesz. - Objęła Eden za ramię. - Z drugiej strony nie bardzo rozumiem, do czego ci jestem potrzebna. Ja bym chciała, żeby przystojny mężczyzna obsypywał mnie pocałunkami.

- No właśnie! - Gdy kilka idących przodem dziewczynek obejrzało się, Eden zreflektowała się, że krzyczy, i ściszyła głos. - Nie miał prawa wycinać mi takiego numeru na oczach wszystkich.

- No faktycznie, przyjemniej się całować bez świadków.

- Mów tak, mów, ale nie zdziw się, jak znajdziesz węża w bieliźniarce.

- Spytaj Chase'a, czy ma brata albo kuzyna. Od biedy może być wuj... O, jesteśmy na miejscu. Pamiętaj, uśmiechaj się i bądź czarująca.

- Zapłacisz mi za to - mruknęła pod nosem Eden. - Nie wiem jak, nie wiem kiedy, ale zapłacisz.

Doszły do rozwidlenia. Po lewej stały dwa kamienne słupy, nad którymi ciągnął się wykuty w żelazie napis „ELLIOT”. Od słupów

odchodził stary, solidny mur wysoki na dwa metry, szeroki na pół. Najwyraźniej przodkowie Chase'a też cenili sobie prywatność.

Na teren farmy prowadziła dobrze utrzymana droga, która znikła za wzgórzem. Wzdłuż pobocza rosły jeszcze solidniejsze i z pewnością starsze od muru dęby.

Eden fascynowała wprost bijąca po oczach odwieczna ciągłość. Drzewa, droga, mur istniały tu od pokoleń. Nic dziwnego, że Chase był dumny z dokonań przodków. Ona kiedyś też była dumna ze swojego dziedzictwa.

Przynajmniej to jedno nas łączy, pomyślała. Ale kiedy Chase wyłonił się zza muru, natychmiast starała się o tym zapomnieć. Szczupły, umięśniony, w dżinsach i bawełnianej koszulce prezentował się doskonale. Leciutka warstwa potu na przedramionach i czole świadczyła o tym, że od rana pracował. Wbrew sobie Eden skierowała wzrok na dłonie Chase'a, twarde i szorstkie, a zarazem delikatne i czułe.

- Dzień dobry, moje panie. - Otworzył szeroko bramę.

- O kurczę, ale ciacho! - szepnęła pod nosem jedna z opiekunek.

Pamiętając radę Candy, Eden wyprostowała ramiona i przybrała pogodny wyraz twarzy.

- Dziewczynki - zwróciła się do obozowiczek. - To jest pan Elliot, właściciel sadu, który oprowadzi nas po swoim królestwie.

Zanim skończyła mówić, do Chase'a podbiegł pies o lśniącej w słońcu sierści koloru dojrzałej brzoskwini. Oparłszy się o nogę swojego pana, wielkimi smutnymi oczami wpatrywał się w grupę



podekscytowanych dziewcząt. Eden przemknęło przez myśl, że drobniejszy mężczyzna pewnie by się przewrócił pod naporem tak potężnej bestii. Psisko mierzyło co najmniej metr w kłębie. Bardziej przypominało młodego lwa niż domowego pupila.

- To mój kumpel Squat. - Chase nawet nie musiał się schylać, żeby pogłaskać psa po głowie. - Możecie mi wierzyć lub nie, ale był najmniejszy z całego miotu. Wciąż jest bardzo nieśmiały.

Candy odetchnęła z ulgą, widząc, jak zwierzę potężnym ogonem zamiata ziemię.

- Nie gryzie, prawda?

- Squat? Skądże. Uwielbia kobiety. - Chase powiódł spojrzeniem po dziewczynkach. - Zwłaszcza takie ładne. Chciałby nam dziś towarzyszyć podczas zwiedzania sadu.

- Fajne psisko - stwierdziła Roberta i podszedłszy bliżej, pogłaskała go po łbie. - No chodź, piesku.

Squat posłusznie wstał i ruszył przodem.

Eden ze zdziwieniem odkryła, że prowadzenie sadu nie ogranicza się do zbioru owoców, które następnie sprzedaje się na targu. Różne jabłka dojrzewały w różnych miesiącach. Sezon, jak wyjaśnił Chase, trwa wiele miesięcy, od wczesnego lata do późnej jesieni.

Nic się nie marnowało. Jabłka wykorzystywano do jedzenia na surowo, do wypieku ciast. Skórki i ogryzki do produkcji cydru. Suszone skórki eksportowano do Europy, gdzie wykorzystywano je do produkcji niektórych szampanów. Zapach dojrzewających owoców wypełniał powietrze. Ślinka sama ciekła do ust.

Drzewo życia, pomyślała Eden Zakazany owoc. Szła otoczona dziewczynkami, powtarzając w duchu, że wycieczka ma walor edukacyjny.

- Szybko dojrzewające drzewa, - tłumaczył Chase, sadi się pomiędzy drzewami wolno dojrzewającymi. Potem się je ścina. Wszystko jest dokładnie zaplanowane, nie ma miejsca na improwizację.

W pewnym momencie przystanęli, obserwując ludzi pracujących przy zbiorach.

- Te jabłka wcale nie wyglądają na dojrzałe - zdziwiła się Roberta.  
- Osiągnęły maksymalny rozmiar. - Chase położył rękę na ramieniu dziewczynki. - Dalsze zmiany odbywają się już poza drzewem. Owoc jest twardy, ale pestki ma brązowe. Zobacz. - Wydobył z kieszeni scyzoryk i wprawnym ruchem przeciął owoc na pół. - Jabłka, które zbieramy teraz, są znacznie lepsze od tych, które dłużej wiszą.

Trafnie odczytując wyraz twarzy Roberty, rzucił jej połówkę. Drugą dostał Squat.

- Może chcecie zerwać kilka dla siebie? - zwrócił się do obozowiczek i widząc ich reakcję, sięgnął do góry, żeby zademonstrować, jak to się prawidłowo robi. - Trzymając jabłko, lekko obróćcie je w dłoni, żeby zerwać owoc, ale nie uszkodzić łodygi.

Zanim Eden zdołała je powstrzymać, dziewczynki się rozbiegły i została z Chase'em sam na sam. Może sprawił to sposób, w jaki uniósł

kąciki ust, lub to, jak powiódł po niej wzrokiem, w każdym razie poczuła w głowie totalną pustkę.

- Prowadzisz fantastyczny biznes.

Co za bezmyślne stwierdzenie! Powinna była ugryźć się w język.

- Lubię to, co robię.

- A czy... - Żadne inteligentne pytanie nie chciało jej przyjść do głowy. - Pewnie natychmiast po zebraniu wysyłasz owoce do producentów? Żeby się nie zepsuły...

W tym momencie owoce były ostatnią rzeczą, o której chciał z nią rozmawiać.

- Nie, przechowuję je na miejscu w temperaturze zero stopni...  
Podoba mi się twoje uczesanie. Człowiek ma ochotę pociągnąć za wstążkę i patrzeć, jak włosy opadają ci na ramiona.

Serce zabiło jej szybciej. Zignorowała je.

- Pewnie przeprowadzasz różne próby na jakość...

- Owszem. Zależy mi na chrupkości. - Kierując spojrzenie na wargi Eden, obrócił owoc w rękę. - Na smaku. Muszą być jędrne. -  
Wolną ręką pogładził ją po szyi. - Soczyste...

Oddychała z coraz większym trudem.

- Lepiej, żebyśmy nie zbaczali z tematu.

- Z jakiego tematu? - Obrysował kciukiem zarys jej brody.

- Jabłek.

- Chciałbym się z tobą kochać w sadzie, Eden. W promieniach słońca, na miękkiej zielonej trawie.

Niemal potrafiła wyobrazić sobie, jak leżą przytuleni, pieszcząc się i całując. Przestraszyła się.

- Przepraszam, ale muszę...

- Eden. - Chwycił ją za łokieć. Wiedział, że zbyt mocno na nią napiera, ale nie mógł się pohamować. - Pragnę cię do szaleństwa.

Chociaż powiedział to cicho, podskoczyła, zupełnie jakby wykrzyczał te słowa nad jej uchem.

- Dobrze wiesz, że nie powinieneś mówić takich rzeczy. Gdyby któraś z dziewczynek...

- Daj się zaprosić na kolację.

- Nie, Chase. - Przynajmniej w tej kwestii będzie stanowcza. Nie ulegnie. I nie pozwoli sobą manipulować. - Mam pracę, która trwa dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet gdybym chciała zjeść z tobą kolację, a nie chcę, byłoby to niemożliwe.

Przez moment milczał. Powód, który podała - że powinna trwać na posterunku dzień i noc - brzmiał logicznie. Z drugiej strony wykręty zwykle brzmiały wiarygodnie.

- Boisz się być ze mną sam na sam?

Jasne, że tak, nie zamierzała jednak przyznawać mu racji.

- Pochlebiasz sobie.

- Wątpię, aby twoja dwugodzinna nieobecność zburzyła obozowy ład.

- Co ty możesz wiedzieć o obozowym życiu?

- Wiem, że twoja współpracowniczka wraz z innymi pracownikami zapewni dziewczynkom dostateczną opiekę. Wiem też, że ostatnią lekcję jazdy prowadzisz o szesnastej.

- Skąd...

- Spytałem Robertę. Powiedziała mi, że kolację jecie o osiemnastej. Potem od dziewiętnastej do dwudziestej pierwszej dziewczynki mają zajęcia fakultatywne lub czas wolny. Gaszenie świateł następuje o dwudziestej drugiej. Zwykle po kolacji spędzasz czas w stajni. Czasem, kiedy wydaje ci się, że wszyscy już śpią, dosiadasz konia i galopujesz przed siebie.

Nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Była przekonana, że nocne przejażdżki są jej słodką tajemnicą,

- Eden, dlaczego jeździsz sama po nocy?

- Bo lubię.

- Może kolacja ze mną też ci sprawi przyjemność? Przekonajmy się dzisiejszego wieczoru.

Starła się pamiętać, że nieopodal dziewczynki zrywają z drzew owoce oraz że wybuch złości bywa najbardziej krępujący dla osoby, która traci nad sobą panowanie.

- Jak widzę, nie potrafisz zrozumieć uprzejmie wyrażonej odmowy. Może więc inaczej ją sformułuję. Ostatnią rzeczą, na jaką miałabym ochotę dziś lub kiedykolwiek indziej, jest wybranie się z tobą na kolację.

Wzruszywszy ramionami, Chase podszedł krok bliżej.

- No dobra. Możemy wszystko załatwić teraz...

- Nie odważysz się... - Nie dokończyła. Wiedziała, że jak Chase się uprze, nic go nie powstrzyma. Zerknąwszy w bok, zobaczyła, że Roberta z Marcie stoją oparte o drzewo, każda z jabłkiem w ręku, i z zaciekawieniem oglądają spektakl. - W porządku. Przestań. - A przecież obiecała sobie, że nie pozwoli, by nią manipulowano. - Nie pojmuję, dlaczego upierasz się jeść kolację w towarzystwie kogoś, kto uważa cię za osobę wybitnie irytującą.

- Też nie pojmuję. Omówimy to wieczorem. Do zobaczenia o wpół do ósmej. - Wręczywszy Eden owoc, wolnym krokiem ruszył w stronę Roberty.

Patrząc za jego oddalającą się sylwetką, Eden wyobraziła sobie tarczę, której środek wypada na miejscu głowy Chase'a. Westchnęła zdegustowana i zamiast wykonać celny rzut, wbiła zęby w soczysty miąższ.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Przeciagnęła szczotkę przez włosy. Mimo że dość brutalnie się z nimi obchodziła, wiły się wdzięcznie wokół twarzy i delikatnymi falami opadały na ramiona. Dawniej, idąc na randkę, starała się je ładnie upiąć, lecz teraz zostawiła rozpuszczone. Przypuszczała jednak, że człowiek pokroju Chase'a Elliota nie zwraca uwagi na tego typu subtelne niuanse.

Z biżuterii zrezygnowała, to znaczy jeśli nie liczyć małych kolczyków, które często nosiła na terenie obozu. Stroić się też nie zamierzała. Włożyła skromną białą bluzkę z kołnierzykiem i

koronkowym mankietem oraz białą spódnicę. Sądziła, że wygląda chłodno i niedostępnie, niczym królowa śniegu. W rzeczywistości wyglądała krucho i niewinnie.

Chcąc pokazać Chase'owi, że spotyka się z nim wbrew swojej woli, postanowiła zrezygnować również z makijażu. W ostatniej chwili sięgnęła jednak po róż. Ot, kobieca próżność, pomyślała. Następnie bezbarwnym błyszczkiem pociągnęła usta. Na pewno nie spędzałaby dużo czasu przed lustrem, ale wizerunek Baby-Jagi jej samej popsulby humor. Nagle przyłapała się na tym, że wyciąga rękę po perfumy. O nie, tego już za dużo. Będzie pachniała mydłem i wodą. Odwróciła się od lustra w chwili, gdy do domu weszła Candy.

- O kurczę! - Przyjaciółka stanęła w drzwiach i zmierzyła ją od stóp do głów. - Wyglądasz fantastycznie.

- Naprawdę? - Marszcząc czoło, Eden ponownie zerknęła do lustra. - Raczej chciałam wyglądać skromnie i niedostępnie.

- Nie masz na to szansy, złotko, nawet gdybyś włożyła włosiennicę.

- Cholera! - Pociągnęła za koronkę przy mankietach. - Może jakbym zerwała to świństwo...

- Ani mi się waż! - Candy chwyciła ją za rękę, usiłując zapobiec zniszczeniu bluzki. - Zresztą to nie ubranie jest ważne, lecz nastawienie psychiczne.

- Słusznie. - Wzruszywszy ramionami, Eden rozejrzała się po pokoju. - Na pewno sobie poradzisz? Bo jeszcze mogę wszystko odwołać...

- Nie martw się o mnie. - Wyciągnęła się na łóżku i zaczęła obierać banana. - Wpadłam, żeby ci życzyć udanego wieczoru. I żeby się posilić. - Odgryzła kawałek miękkiego owocu. - Zaraz wracam do stołówki. Przed pożegnalnym balem musimy sprawdzić kolekcję płyt, no i dziewczynki chcą poćwiczyć tańce.

- Sama ich nie upilnujesz...

Candy pomachała połówką banana.

- Przez kilka godzin wszystkie będziemy pod jednym dachem. Przestań się zadręczać. Po prostu baw się dobrze i już... Swoją drogą, dokąd cię zabiera?

- Nie mam pojęcia. - Eden wsunęła do torebki paczkę chusteczek. - I prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodzi.

- Och, daj spokój! Po sześciu tygodniach zdrowych, aczkolwiek piekielnie nudnych posiłków nie leci ci ślinka na myśl o ostrygach lub ślimakach?

- Nie. - Zaczęła się bawić torebką. Otwierała ją, zamykała, to znów otwierała. - Zgodziłam się na tę kolację tylko dlatego, że nie chciałam urządzać sceny.

Candy wsunęła do ust ostatni kawałek banana.

- Trzeba przyznać, że facet umie postawić na swoim. - Na dźwięk podjeżdżającego samochodu podniosła się na łokciu. Zauważyła, że Eden przygryza nerwowo wargę. Nie komentując tego, pomachała skórką od banana w kierunku drzwi. - Baw się dobrze.

Eden przystanąła z ręką na klamce.

- Po czyjej jesteś stronie?



- Po twojej, złotko. Zawsze po twojej.

- Wrócę wcześniej.

Candy przezornie ugryzła się w język, a kiedy drzwi się zamknęły, uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Jej wysiłki, żeby nie wzbudzać swoim wyglądem zainteresowania, spełzły na niczym. Chase'owi dosłownie zaparło dech. Promienie słońca - do zachodu brakowało godziny - migotały złociście w jej włosach. Biała spódnica podkreślała urodę długich, opalonych nóg. Dumnie uniesiona broda sprawiała, że szyja wydawała się jeszcze dłuższa.

Poczuł, jak rozsadza go żądza.

Eden zbliżała się do samochodu. Sądziła, że w eleganckim ubraniu Chase będzie się prezentował... hm, mniej groźnie. Znow go nie doceniła. Sportowa marynarka zdawała się wręcz uwypuklać mięśnie ramion. Rozpięta pod szyją koszula była idealnie dopasowana kolorem do jego oczu.

Gdy uśmiechnął się, odruchowo odwzajemniła uśmiech.

- Taką sobie ciebie wyobraziłem. - Prawdę rzekłszy, nie był pewien, czy się z nim spotka ani jak sam postąpi, jeżeli Eden zamknie się w domku i odmówi wyjścia. - Cieszę się, że mnie nie zawiodłaś.

Czuła, jak jej opór słabnie. Czym prędzej wzięła się w garść.

- Lepiej nie... - Urwała, kiedy wręczył jej bukietik świeżo zerwanych zawilców.

Nie chciała, żeby Chase był miły. Nie chciała ulegać jego wdziękowi. Wtuliła twarz w kwiaty. Obserwując ją, Chase

uświadomił sobie, że na zawsze zapamięta ten widok, gdy Eden z wyrazem zmieszania i radości na twarzy spoglądała na niego znad barwnych płatków.

- Dziękuję - szepnęła.

- Proszę.

Podniósł jej dłoń do ust. Powinna była ją wyszarpnąć. Tak, należało to zrobić, ale w tym prostym gościu było jakieś piękno, jakaś prawda. Stała wzruszona, bez ruchu, jakby spełniło się jej dawne, nie do końca uświadomione marzenie. Po chwili podeszła krok bliżej... i nagle czar prysł. Doleciał ją chichot.

- Dziewczynki... - Czym prędzej zabrała rękę.

Rozejrzawszy się wkoło, kątem oka zobaczyła znikającą za ścianą domu czapkę z daszkiem.

- A więc żeby ich nie rozczarować... - Chase ponownie ujął jej rękę, obrócił ją i we wgłębieniu dłoni złożył pocałunek.

- Jesteś okropny.

- Wiem. - Powściągnął impuls, by zgarnąć Eden w ramiona.

- Wstawię kwiaty do wody...

- Ja to zrobię. - Candy odkleiła się od framugi drzwi i zadowolona z siebie wyszła na zewnątrz. Gniewne spojrzenie przyjaciółki nie wywarło na niej najmniejszego wrażenia. - Bawcie się dobrze.

- Zamierzamy - odparł Chase, prowadząc Eden do samochodu.

Tłumaczyła sobie, że słońce ją oślepiło, inaczej z pewnością zauważyłaby białe sportowe lamborghini zaparkowane trzy metry dalej. Usiadła na miejscu pasażera. Wbrew temu, co Chase mówił, nie

zamierzała się dobrze bawić. Ledwie silnik zamruczał, rozległ się chór pożegnań. Chyba wszystkie uczestniczki obozu i wszystkie opiekunki przybiegły pomachać im na do widzenia. Eden zakasłała, usiłując stłumić śmiech.

- Myślałby kto, że nasza randka to największe wydarzenie w życiu obozu.

- Kto wie, może również w naszym? - Wysunąwszy rękę przez okno, pomachał w odpowiedzi.

Zmrużywszy oczy, Eden przyjrzała się Chase'owi. Na jego wargach igrał chytry uśmieszek. Nie! - postanowiła. Na pewno nie da sobą więcej manipulować. Robiąc dobrą minę do złej gry, oparła się wygodnie o siedzenie. W końcu jeden wieczór wytrzyma.

- Od wielu tygodni wszystkie posiłki dostaję na plastikowej tacy...

- Dziś takowej nie uświadczysz.

- To miło. - Roześmiała się, ale przecież ten śmiech o niczym nie świadczył, prawda? - I z łaski swojej przypilnuj, żebym nie zwinęła żadnych sztuców.

Przez opuszczone szyby do środka wpadał ciepły wiaterek. Eden wystawiła twarz na miłe podmuchy.

- Przyjemnie się siedzi w takim aucie, zwłaszcza że spodziewałam się furgonetki.

- W wiochach też lubią dobre samochody.

- Nie chciałam... Nie to miałam na myśli. - Zamierzała go przeprosić za niefortunną wypowiedź, ale zobaczyła ironiczny uśmieszek na twarzy Chase'a. - Ale tobie to nie robi różnicy, prawda?

- Wiem, kim jestem, czego chcę i na co mnie stać. - Zwolnił na zakręcie. - A opinie niektórych bardzo sobie cenię. - Na moment zamilkł. - Tak czy inaczej, wolę górskie drogi od miejskich korków. A ty, Eden?

- Jeszcze nie wiem - odparła, ze zdziwieniem uświadamiając sobie, że to prawda.

W ciągu kilku tygodni zmieniły się jej priorytety. Dumając nad tym, dosłownie w ostatniej chwili zobaczyła napis „ELLIOT” łączący dwa słupy, do których Chase się zbliżał.

- Dokąd jedziemy?

- Na kolację.

- Będziemy jeść w sadzie?

- W domu. - Zredukowawszy biegi, skręcił w żwirowy podjazd.

Starła się zignorować uczucie niepokoju, które ją nagle ogarnęło. Sądziła, że spędzi wieczór w bezpiecznym miejscu, czyli w zatłoczonej restauracji. No trudno. Od dziecka potrafiła sobie radzić w różnych sytuacjach towarzyskich. Tak ją wychowano. Mimo to uczucie niepokoju nie znikło.

Podejrzewała, że kolacji z Chase'em nie da się porównać z niczym, czego dotąd doświadczyła. Chciała wyrazić niezadowolenie, ale zanim cokolwiek zdołała powiedzieć, samochód dotarł na szczyt wzgórza i jej oczom ukazał się dom.

Zbudowany był z kamienia. Nie zastanawiała się, skąd pochodzi budulec, po prostu patrzyła z zachwytem. Na pierwszy rzut oka mury wydawały się szare, dopiero po chwili z szarości zaczynał przebijać

kolor bursztynu, rdzy, zieleni, umbry. A ponieważ słońce jeszcze nie zaszło, pomiędzy zielenią a umbrą migotały kawałeczki miki i kwarcu. Eden poczuła zapach lawendy, zanim zobaczyła ogródek skalny.

Dwa piętra. Na pierwszym duży balkon pełen geranium i barwnych aksamitek. Szerokie kamienne schody, na środku już nieco starte, prowadziły do szklanych dwuskrzydłowych drzwi. Przy wejściu stała beczka z sekwoi. Posadzone w niej bratki kołysały się na wietrze.

Przetała ze zdumienia oczy. Takiego widoku się nie spodziewała, z drugiej strony piękny, stary dom wydał się jej dziwnie znajomy.

Cisza w samochodzie zaskoczyła Chase'a. Eden milczała, kiedy podjeżdżał pod rezydencję. Milczała, kiedy zgasił silnik. Milczała, kiedy wysiadł i obszedłszy maskę, otworzył drzwi. Ogromnie ciekaw był jej reakcji. Nawet nie przypuszczał, że jej zdanie będzie miało dla niego tak duże znaczenie. Czuł narastające napięcie.

Odruchowo podała mu rękę. Przez moment stała skupiona, nie spuszczać wzroku ze starych murów.

- Och, Chase, jakież on jest piękny. - Wolną rękę uniosła do oczu, chroniąc je przed blaskiem słońca. - Nic dziwnego, że kochasz ten dom.

- Zbudował go mój pradziadek. - Napięcie znikło niespostrzeżenie. - Sam jeździł do kamieniołomu. Chciał stworzyć coś, co przetrwa wieki.

Przypomniawszy sobie miejską rezydencję, w której rodzina Carlbough żyła od pokoleń, Eden poczuła w oczach znajome pieczenie. Jej dom już nie istniał. Musiała go sprzedać. Zwykle duma nie pozwalała jej opowiadać innym o swoich kłopotach, teraz jednak czuła potrzebę zwierzenia się Chase'owi. Była pewna, że ją zrozumie.

- Hej, co ci jest? - spytał, dojrzawszy jej szklisty wzrok.

- Nic. - Uznała, że jednak nie będzie go wciągać w swoje sprawy. Czasem lepiej nie rozdrapywać ran. - Rozmyślałam o tym, jak ważną rzeczą jest podtrzymywanie tradycji.

- Brakuje ci ojca, prawda?

- Tak. - Moment słabości minął; oczy miała już suche.

- Wiesz co? Wejdzmy. Marzę o tym, żeby zobaczyć hol, salon...

Zawahał się. Widział, że coś ją trapi. Zamierzała zdradzić mu jakąś tajemnicę, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. No trudno. Poczekaj. Nie chciał na nią naciskać. Był cierpliwym człowiekiem, chociaż powoli jego cierpliwość się wyczerpywała.

Wciąż trzymając ją za rękę, skierował się schodami do drzwi. Tuż za nimi leżała góra futra w kolorze brzoskwini. Nawet kiedy Chase pchnął drzwi na oścież, Squat nie drgnął, tylko chrapał w najlepsze.

- To się nazywa pies obronny - powiedziała Eden. - Myślisz, że można tak groźnego brytana zostawiać luzem, bez uwięzi?

- Myślę, że złodziej nie miałby odwagi nad nim przejść.

Obejmując Eden w pasie, przeniósł ją nad śpiącym psiskiem. Grube mury stanowiły doskonałą izolację przed upałem. W holu panował cudowny chłód. Wysoki sufit sprawiał, że miało się wrażenie

ogromnej przestrzeni. Kątem oka Eden spostrzegła na ścianie obraz Moneta, zanim jednak zdołała o niego spytać, Chase poprowadził ją ku solidnym mahoniowym drzwiom.

Znalazła się w przytulnym kwadratowym pokoju pełnym antyków i ręcznie tkanych dywanów, w którym przeważała niebieska kolorystyka, od jasnego błękitu po ciemne indygo, i którego okna wychodziły zarówno na wschód, jak i na zachód. Jak musi być przyjemnie, przemknęło jej przez myśl, rano patrzeć, jak słońce wytacza się na niebo, a wieczorem jak chowa za górami. W pięknym dziewiętnastowiecznym wazonie stał bukiet świeżo ściętych kwiatów.

Eden przeszła do zachodniego okna. Wychodziło na budynki, po których Chase oprowadzał ich rano. Przypomniała sobie przenośniki, po których przesuwały się owoce, sortowaczy i pakowaczy. Z jednej strony zgiełk i hałas, z drugiej elegancja, cisza, cynowe misy, dzikie róże.

- Musi tu być bardzo pięknie, kiedy słońce zaczyna zachodzić.

- Tak, uwielbiam ten widok - powiedział Chase, kładąc ręce na jej ramionach.

Tym razem nie zeszywniała.

Tłumaczył sobie, że fakt, iż podeszła akurat do tego okna, to zwykły zbieg okoliczności, ale w głębi duszy wierzył, że sam ją tam nakierował. Pragnął, aby poznała jego świat i doceniła jego urodę. Jednocześnie pamiętał, w jakim świecie sama dorastała.

- Niestety na prowincji nie ma filharmonii ani Muzeum Rodina.

Chociaż delikatnymi ruchami masował jej ramiona, w jego głosie wyczuła nutę zniecierpliwienia. Zdziwiona obróciła się.

- To prawda, ale jak zatęsknisz za muzyką, zawsze możesz pojechać do miasta, a potem wrócić do siebie. - Odruchowo uniosła dłoń, żeby odgarnąć mu kosmyk z czoła. Zreflektowawszy się, chciała ją opuścić, ale... - Chase, ja...

- Za późno - szepnął, po czym pocałował kolejno jej palce. - Za późno dla ciebie. Za późno dla mnie.

Nie chciała. Potwornie się bała. Z jednej strony pragnęła mu zaufać, otworzyć się przed nim, z drugiej zaś pamiętała o bólu, o ranach, które dopiero niedawno się zagoiły.

- Nie rób tego, proszę. Popelnilibyśmy błąd.

- Pewnie masz rację. - Przycisnął usta do żyły, która pulsowała jej w nadgarstku. - Ale każdy ma prawo do pomyłki.

- Błagam, nie całuj. - Podniosła drugą rękę. Zamierzała go odepchnąć, lecz na zamiarach się skończyło. - Nie jestem w stanie jasno myśleć.

- A musisz?

Przywarł ustami do jej ust. Odwzajemniła pocałunek. „Za późno”. Jego słowa dzwoniły jej w uszach. Zaciśnęła dłonie na twarzy Chase'a i poddała się emocjom. Tego chciała, o tym marzyła, żeby ją trzymał, tulił, pieścił, i żeby razem przenieśli się w świat cudownego snu.

Próbował powściągnąć temperament. W głębi serca wiedział, że czeka go wyzwanie. Pewnie wolałby przeżyć wakacyjny romans, przyjemny i nic nieznaczący. Bał się własnych emocji; jeszcze nigdy



nie czuł tak potężnej żądzy, tak wielkiego pragnienia, aby kochać się z kobietą - nie z jakąś kobietą, ale z tą, której ciepłe ciało przywierało do jego brzucha i piersi, z tą jedną jedyną.

- Chase... - Eden przerażało szalone bicie jej serca. Drżała ze strachu i podniecenia. Czy można pokonać jedno, a ulec drugiemu? - Chase, błagam...

Nakazując sobie, by zwolnić tempo, oderwał usta od jej ust i pogładził ją czule po głowie. Nie chciał jej do niczego zmuszać. A może chciał? Może pragnął uzyskać odpowiedź na pytanie, którego nie zadał?

- Słońce zachodzi - szepnął, obracając Eden twarzą do okna. - Wkrótce światło się zmieni, niebo przybierze odcień fioletu.

Była mu wdzięczna, że daje jej chwilę, by mogła nad sobą zapanować. Nie myślała o tym, ile to go kosztuje. Przez minutę czy dwie stali w milczeniu, patrząc, jak jasny fiolet rozlewa się po górach. Nagle w ciszę wdarło się głośnie, chrapliwe chrząknięcie.

- Przepraszam...

Eden podskoczyła. Staruszek w drzwiach miał zmierzwioną brodę, która sięgała do górnego guzika czerwonej kraciatej koszuli. Krępy, średniego wzrostu, sprawiał wrażenie człowieka, który niczego się nie boi. Bruzdy na twarzy niemal całkiem zasłaniały oczy. Kiedy uśmiechnął się szeroko, w jego ustach błysnął złoty ząb.

A więc to jest ta kobitka, która wpadła w oko szefowi. Ładniutka, pomyślał, kiwając głową na powitanie.

- Kolacja gotowa - oznajmił. - Zapraszam, chyba że lubicie zimne dania.

- Eden Carlbough, Delaney - dokonał prezentacji Chase. - Delaney umie gotować, a ja nie, dlatego go jeszcze nie zwolniłem.

Starzec parsknął śmiechem.

- Nie zwolnił mnie, bo mu wycierałem nos i wiązałem sznurowadła.

- Co miało miejsce dobrych trzydzieści lat temu.

W głosie Chase'a Eden wyczuła ogromne pokłady sympatii oraz lekkie zniecierpliwienie.

- Miło mi pana poznać, panie Delaney - rzekła.

- Po prostu Delaney. Bez pana. - Ponownie błysnął w uśmiechu złotym zębem, po czym podrapał się po brodzie. - Bardzo ładna - zwrócił się do Chase'a. - Zawsze uważałem, że o wiele przyjemniej zasiada się do śniadania w towarzystwie atrakcyjnej kobiety niż brzyduli. A kolacja stygnie - dodał, znikając za drzwiami.

Chociaż Eden milczała podczas wyводу Delaneya, teraz wystarczył jej rzut oka na Chase'a i zaniosała się wesołym śmiechem. Natomiast Chase podjął decyzję: zamorduje starucha! Albo nie, zaknebluje go jego brodą!

- Cieszy mnie, że masz tak dobry humor.

- Doskonały! Po raz pierwszy widzę, żebyś zaniemówił. Poza tym to miło, gdy ktoś nie uważa cię za brzydulę. - Z rozbajającym uśmiechem wyciągnęła rękę. - Chodźmy. Kolacja stygnie.

Zamiast do jadał, Chase zaprowadził ją na obudowaną werandę. Nad głową wirowały dwa staromodne wiatraki. Wprawiały w ruch powietrze, które wpadało przez ukośne szyby w oknach. Pomiedzy koszami fuksji brzęczały poruszane wiatrem maleńkie dzwoneczki.

- Zaskakuje mnie twój dom - powiedziała Eden, spoglądając na obitą pluszem dwuosobową sofę oraz wiklinowy stolik ze szklanym blatem. - Każdy pokój jest stworzony z myślą o wypoczynku. Z każdego można podziwiać wspaniałe widoki.

Chociaż ostatnie promienie słońca rzucały ciepły blask, na stoliku paliły się świece. Przy talerzu przeznaczonym dla niej leżała pojedyncza róża. Bardzo romantycznie, pomyślała. Kiedyś marzyła o pełnej uniesień romantycznej miłości, lecz teraz się jej bała. Odsuwając od siebie obawy, zbliżyła kwiat do nosa i wciągając zapach, uśmiechnęła się.

- Dziękuję.

- Proszę siadać. I jeść, póki gorące. - Mimo pokaznej tuszy Delaney sprężystym krokiem wszedł na werandę, trzymając w ręku olbrzymią misę. Eden posłusznie zajęła miejsce. - Mam nadzieję, że się pani nie odchudza, panno Eden? Bo troszkę ciała by się pani przydało. Wyznam, że lubię, jak odrobina mięska z tłuszczkiem okrywa kobiece kości. - Nie przerywając monologu, zaczął nakładać na talerze wyborną sałatkę z owoców morza. - W piekarniku czeka specjalność domu, kurczak a la Delaney. Na deser jest placek z jabłkami i biszkopt. - Do kubelka z lodem wetknął butelkę. - Proszę, wino, o które prosiłaś - zwrócił się do Chase'a, po czym rozejrzawszy

się uważnie, pokiwał z zadowoleniem głową. - No dobra, ruszam do domu. Nie pozwólcie, żeby kurczak wystygł.

Wycierając ręce o dzinsy, doszedł do drzwi, pchnął je barkiem i znikł z pola widzenia.

- Delaney ma niesamowity styl. - Chase wyjął butelkę z kubełka i nalał dwa kieliszki wina.

- To prawda - przyznała Eden, której wydawało się niepojęte, że tak powykręcane ze starości palce mogły przygotować coś tak pięknego i apetycznego jak sałatka, którą miała przed sobą.

- Robi najlepsze biszkopty w Pensylwanii. - Delikatnie stuknął się z nią kieliszkiem. - I najlepszą na świecie polędwicę w cieście francuskim.

- Polędwicę w cieście francuskim? - Pociągnęła łyk wina. Było chłodne, przyjemnie wytrawne. - Nie zrozum mnie źle, ale bardziej mi do Delaneya pasuje stek na mszcie niż finezyjne dania. - Nabrała na widelec małża. - Chociaż czasem...

- Pozory mylą? - dokończył za nią z satysfakcją obserwując, jak Eden przymyka z rozkoszy oczy. - Delaney zajmuje się kuchnią, odkąd pamiętam. Mieszka w małej chatce, którą czterdzieści lat temu zbudował razem z moim dziadkiem. Owszem, kiedyś wiązał mi buty i wycierał nos, ale dziś to członek rodziny.

Utkwiła spojrzenie w talerzu. Przypomniała sobie, jak trudno było jej powiedzieć służbie, którą znała od dziecka, że niestety musi sprzedać rodzinny dom. Może nie łączyły ich tak zażyłe relacje jak Chase'a z Delaneyem, ale mimo to...

Nie uszło to jego uwadze. Już wcześniej widział smutek w oczach Eden. Pragnąc jakoś pomóc, ujął jej dłoń.

- Eden?

Czym prędzej wyszarpnęła rękę i nabrała na widelec kawałek ośmiorniczki.

- Mmm, psychota. Mam ciotkę, która po skosztowaniu tej sałatki starałaby się podkupić ci kucharza.

Kurczak a la Delaney okazał się równie doskonały. Wieczór mijał w sympatycznej atmosferze, mimo że Eden i Chase mieli odmienne zdanie niemal w każdej kwestii.

Ona uwielbiała poezję Keatsa, on kryminały Christie. Ona kochała Bacha, on Haggard, niemiecki zespół muzyczny grający symfoniczny metal. Ale to im nie przeszkadzało. Zachodzące słońce rzucało na ich twarze ciepły, zabarwiony na czerwono blask, świece powoli się wypalały, wino połyskiwało kusząco w kryształowych kieliszkach, gdzieś niedaleko tokowała przepiórka.

- Lubię śpiew ptaków. - Eden westchnęła błogo. - Jak tylko wieczorem zapada w obozie cisza, natychmiast rozlegają się trele. Tuż za moim oknem lelek urządza sobie koncerty, i to zawsze o tej samej porze. Można według niego nastawiać zegarek.

- Każdy ma swoje przyzwyczajenia, również zwierzęta i ptaki - stwierdził Chase. Ciekaw był, jakie ona ma. Sięgnął po jej rękę, obrócił dłonią do góry. Odciski zdążyły stwardnieć. - Nie posłuchałaś mojej rady.

- Jakiej?

- Żeby nosić rękawiczki.

- Uznałam, że nie warto. Poza tym... - Wzruszyła ramionami, potem podniosła do ust kieliszek.

- Poza tym?

- Odciski to coś, na co sobie zasłużyłam. Własną ciężką pracą. - Nie zamierzała tego mówić, ale było już za późno. Teraz czekała, aż Chase parsknie śmiechem.

Nie parsknął. Obserwując ją uważnie, bez słowa pocierał kciukiem zgrubienie na jej dłoni.

- Zamierzasz wrócić?

- Dokąd?

- Do Filadelfii.

Starła się o tym nie myśleć. Bała się powrotu. Ale wywołana do tablicy udzieliła odpowiedzi.

- Obóz kończy działalność w ostatnim tygodniu sierpnia. A więc...

- A więc. .. - powtórzył za nią, puszczając jej dłoń. Zamiast ulgi, poczuła żal. - Nadchodzi taki moment w życiu, kiedy trzeba rozważyć wszystkie opcje.

Wstał od stołu. Serce Eden zabiło mocniej.

- Za moment wrócę.

Wypuściła powietrze. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Czego się spodziewałaś? - spytała samą siebie. Na co liczyłaś? Podniosła się i lekko zachwiała. Może z powodu wina? Ale chyba nie. Gdyby się upiła, byłoby jej ciepło, a ona drżała z zimna. Usiłując się rozgrzać, potarła ramiona. Niebo miało

ciemnogrnatowy odcień, jedynie na zachodnim horyzoncie widniał wąski czerwony pasek. Wkrótce na tle czerni rozbłyszczą gwiazdy.

Może znów usiądą razem i tak jak tamtego dnia nad jeziorem będą wpatrywać się w migoczące punkciki? Czuła wtedy jedność, harmonię ze światem, z Chase'em. Nie, lepiej o tym nie myśleć, nakazała sobie. Ale... ale wieczór był taki cudowny, i wtedy, i dziś. A z Chase'em jednak sporo mieli wspólnego. Często, gdy się tego najmniej spodziewała, mówił lub robił coś, co ją wzruszało. Przyłożyła palce do ust. A kiedy ją całował, czuła się tak, jakby nic innego nie istniało, tylko ona i on.

Przestań! To bez sensu! Snuła romantyczne wizje, a nie powinna. Dopiero niedawno odzyskała spokój. Straciła grunt pod nogami, teraz zaś musi na nowo odnaleźć swoje miejsce w życiu. A w tym nowym życiu, przynajmniej na razie, nie przewidywała miejsca dla żadnego mężczyzny.

Nagle usłyszała muzykę, nieznaną utwór, który sprawił, że ciarki przebiegły jej po plecach. Muszę iść, pomyślała, i to jak najszybciej. Opuściła gardę, pozwoliła, żeby atmosfera tego domu uderzyła jej do głowy. Atmosfera domu, ciepły wieczór, zachód słońca, wino. I Chase. Na dźwięk zbliżających się kroków obróciła się. Powie mu, że musi wracać. Podziękuje za kolację i poprosi, żeby ją odwiózł do obozu.

Kiedy wszedł na werandę, stała przy stoliku. Blask świec migotał na jej skórze. Przez otwarte okno sączył się do środka zapach róż.

- Chase, myślę, że powinnam już...

- Cii... - szepnął.

Zastanawiał się, czy jeśli weźmie ją w ramiona, Eden się rozpułynie. Nie, nie rozpułynie się, uznał, podchodząc bliżej. Nie była zjawą. Objął ją w pasie. Zesztywniała, ale jej sprzeciw trwał tylko moment.

Po chwili oboje poruszali się wolno w rytm muzyki.

- Nie znam tego utworu... - Zamknęła oczy. Och, jak dobrze, pomyślała, kołysać się w ramionach Chase'a.

- Opowiada o kobiecie i mężczyźnie. O ich wielkiej namiętności.

Czuła przy policzku dotyk marynarki. Wciągnęła nozdrzami powietrze. Pachniał mydłem, nie takim, jakiego używają kobiety. To był zdecydowanie męski zapach. Przesunęła głowę, by jej wargi spoczęły na szyi Chase'a. Nie potrafiąc oprzeć się pokusie, czubkiem języka nacisnęła na pulsującą żyłę.

Na moment stracił rytm. Zostawiając Eden samą na werandzie, obiecał sobie, że zwolni tempo, ale kiedy trzymał ją w objęciach, kiedy ich ciała przylegały do siebie, a jej usta... Nie dał rady. Przeklinając w duchu, przywarł do niej jeszcze mocniej.

Całowali się długo, namiętnie. Chciała, by ten ogień płonął bez końca. Może to Chase pchnął ją na sofę, a może to ona go tam pociągnęła. Na zewnątrz sowa zahukała raz, potem drugi raz, i ucichła.

Nie wierzył we własne szczęście. Tak jak to sobie wymarzył, usta miała słodkie i szczodre. Gorliwie odwzajemniała pocałunki. Drżała, gdy ją gładził. Przez cienki materiał czuł buchający od niej żar.



Odpinął górny guzik, po chwili następny. Kolejne odpinał ustami. Eden czekała w napięciu. Wsuwając ręce we włosy Chase'a, koronkowym mankietem musnęła jego policzek. Przepęłniały ją emocje, z których istnienia nie zdawała sobie nawet sprawy.

Wiatr poruszał dzwoneczkami. Powietrze pachniało kwiatami. Płomyki migotały. Panującą wokół ciszę przerwało cykanie tysięcy cykad oraz niski, ochryply głos Chas'a, który powtarzał szeptem jej imię. Zmiażdżył jej usta, zawierając w pocałunku potrzebę bliskości, czułość, a zarazem żądę graniczącą z szaleństwem.

Eden nie potrafiła się oprzeć. Uległa. Odpłynęła. Zakochała się. Przez chwilę unosiła się na fali szczęścia. Znalazła go, swojego wymarzonego mężczyznę. A potem nagle ogarnął ją strach. Nie, to niemożliwe! Marzenia się nie spełniają. Już raz zaryzykowała, zawierzyła mężczyźnie i srogo się na nim zawiodła. Zdradził ją, porzucił. Co z tego, że go nie kochała? Drugi raz nie zdoła się pozbierać. Nie będzie miała siły ani ochoty.

- Chase, nie... Proszę cię, nie chcę...

Drżała. Wiedział, że pragnie go równie mocno jak on jej.

- Eden, co się stało? - Najwyższym wysiłkiem woli odsunął się. Patrząc jej w oczy, dojrzał w nich strach. - Nie skrzywdzę cię, przysięgam.

Omali się nie rozpląkała. W jego słowach nie było cienia fałszu. Głęboko wierzył w to, co mówił, ale to nie znaczyło, że nie zdradzi, nie porzuci, nie skrzywdzi.

- Nie możemy. To się źle skończy. Dla nas obojga.

- Źle? - spytał, tuląc Eden. - Chyba nie powiesz, że przed chwilą było ci źle?

- Było wspaniale. - Skołowana i wystraszona, przeczesła rękami włosy. - Ale nie tego chcę. Błagam, zrozum, potrzebuję czegoś innego. Dlatego proszę, żebyś mnie puścił. Zostawił.

- Wiele wymagasz.

- Może. Ale tak postanowiłam.

Rozzłościły go jej słowa. To ona samym swoim pojawieniem się wywróciła jego życie do góry nogami. Wcale tego nie chciał. Było mu dobrze bez niej. A ona nie dała mu wyboru, po prostu sprawiła, że oszalał na jej punkcie. Teraz zaś, kiedy gotów był skoczyć dla niej w ogień, ona mu mówi, by ją zostawił, bo potrzebuje czegoś innego.

- W porządku, zagramy według twoich reguł - rzekł chłodnym tonem, wypuszczając ją z ramion.

- Chase, ja w nic nie gram.

- W takim razie doskonale udajesz.

Zacisnęła zęby. Zasłużyła, przynajmniej częściowo, na jego gniew.

- Proszę cię, nie psujmy tego, co się wydarzyło. Podeszedł do stolika i podniósłszy kieliszek, przez moment wpatrywał się w wino.

- A co się wydarzyło? - spytał.

Zakochałam się w tobie, miała na końcu języka, ale zamiast odpowiedzieć, zaczęła zapinać bluzkę.

- Nie wiesz? To ci powiem. - Jednym haustem Chase opróżnił kieliszek. - Otóż nie po raz pierwszy w trakcie naszej krótkiej

znajomości buchasz ogniem, a potem nagle robisz się zimna jak lód. Zastanawiam się, czy Eric nie wycofał się z obietnicy małżeństwa dla własnego dobra. Po prostu żeby nie zwariować.

Palce przy górnym guziku bluzki znieruchomiały. Nawet w nikłym blasku świec Chase ujrzał, jak krew odpływa Eden z twarzy. Powoli odstawił kieliszek.

- Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić.

Stoczyła zwycięską walkę o zachowanie samokontroli. Siłą woli zmusiła palce, aby skończyły zapinanie bluzki, po czym wolno wstała.

- Skoro to cię tak bardzo interesuje, powiem ci, że Eric rzucił mnie z bardziej prozaicznych powodów. Dziękuję za kolację, była naprawdę wyśmienita. Podziękuj ode mnie Delaneyowi.

- Cholera, Eden!

Postąpił krok w jej stronę. Zesztywniała.

- Byłabym ogromnie wdzięczna, gdybyś zechciał mnie odwiedzić. I nic więcej nie mówił.

Odwróciła się. Świece powoli dogasały.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Podczas pierwszych tygodni sierpnia prześladował ich pech. Najpierw wynikła sprawa z trującym bluszczem. W ciągu dwudziestu czterech godzin poparzyło się dziesięć dziewczynek oraz trzy opiekunki. Wszystkie musiały smarować się specjalną maścią. Oczywiście upał w połączeniu z dużą wilgotnością powietrza nie pomagał na swędzenie.

Kiedy wysypka zaczęła ustępować, pogoda się zmieniła i przez trzy dni z rzędu lało jak z cebra. Obóz przeobraził się w wielkie grzęzawisko i trzeba było zrezygnować ze wszystkich zajęć na powietrzu. Dziewczynki chodziły podminowane, ciągle wybuchały sprzeczki. Któregoś dnia Eden przerwała aż dwie bójki. Wreszcie piorun uderzył w drzewo, jednak ten gniew niebios, o dziwo, miał wywołać panikę, dostarczył obozowiczkom rozrywki.

W czasie niepogody dziewczynki szyły rękawice kuchenne i poduszki, robiły breloczki i łańcuszki. Kiedy w końcu zaświeciło słońce, mogłyby otworzyć sklep z własnymi wyrobami.

Przyjechali strażacy z piłami elektrycznymi, żeby ściąć spalone drzewo i uporządkować teren. Wypisując czek, Eden modliła się, żeby to był koniec nieszczęść. Zanim strażacy zdążyli dokonać bankowej operacji, zepsuła się kuchenka. Części, które Eden z Candy do niej zamówiły, przyszły dopiero po trzech dniach. Przez ten czas posiłki przygotowywano jak na prawdziwym biwaku, czyli rozpalano ognisko.

Jakby tego było mało, Wódz nabawił się infekcji. Cały obóz przejmował się stanem zdrowia konia. Przyjechał weterynarz i podał zwierzęciu zastrzyk z penicyliny. Eden spędziła trzy bezsenne noce w stajni, czekając, aż kryzys minie. Wreszcie koń nabrał apetytu, grzęzawisko wyschło, kuchenka znów działała i życie w obozie wróciło do normy. Eden uwierzyła, że najgorsze już minęło.

Jednak zamiast błogiego spokoju poczuła dziwny niepokój. Nie potrafiła go zignorować. Swoim zwyczajem o zmierzchu udała się z

torbą jabłek do stajni. Rekonwalescentowi poświęciła trochę więcej czasu niż innym koniom, do tego oprócz jabłka dała mu również marchewkę.

Dawniej relaksowała się w trakcie wieczornego pobytu w stajni, jednak w ostatnich dwóch tygodniach nie bardzo jej to wychodziło. Następujące po sobie kryzysy pochłaniały całą jej uwagę. Teraz, gdy się wreszcie skończyły, zaczęły ją bombardować inne myśli.

Pamiętała wieczór z Chase'em, zupełnie jakby miał miejsce wczoraj. Pamiętała każde słowo, każdy dotyk, każde spojrzenie i gest. Pamiętała tę niesamowitą falę emocji, to ekscytujące, a zarazem budzące strach uczucie zakochania się.

Nie była na to przygotowana. Zawsze do wszystkiego podchodziła metodycznie, z rozmysłem. Jedna czynność wynikała z drugiej. Ot, choćby jej zaręczyny. Stanowiły kolejny, przemyślany krok na równej drodze, którą podążała. Od czasu ich zerwania nauczyła się pokonywać niespodziewane przeszkody i objazdy, ale Chase był niczym jednokierunkowa ulica, która nie figurowała na żadnej mapie.

Trudno, pomyślała, smarując maścią sierść Brawury. Za szybko wykonała skręt, ale nic strasznego się nie stało. Nie wypadła na wirażu, po prostu zabłądziła. Każdemu może się zdarzyć. Grunt, że odnalazła właściwą drogę.

- Byłam pewna, że cię tu znajdę. - Candy oparła się o drzwi boksu i poklepała konia. - Jak się miewa Wódz?

- Świetnie. - Eden podeszła do umocowanej w rogu umywalki i umyła ręce. - Możemy być o niego spokojni.

- To znaczy, że dzisiejszą noc spędzisz we własnym łóżku, a nie na stosie siana?

Eden rozciągnęła kręgosłup. Tak bardzo obolała nie czuła się nawet po intensywnej grze w tenisa. Ale to był przyjemny ból.

- Nie sądziłam, że stęsknię się za tą twardą, wąską pryczą.

- Skarbie, martwię się o ciebie - oznajmiła po chwili Candy.

- O mnie? - Nie znajdując ręcznika, wytarła ręce o dzinsy. - Dlaczego?

- Za ciężko pracujesz.

- Nie żartuj. Prawie nic nie robię.

- Od drugiego tygodnia harujesz bez wytchnienia. - Nie dopuszczając przyjaciółki do głosu, Candy kontynuowała: - Przecież widzę, że jesteś wyczerpana.

- Tylko zmęczona. Noc w wyrku zamiast na sianie zdziała cuda. Zobaczysz.

- Słuchaj, przy innych możesz chować głowę w piasek, ale ze mną masz rozmawiać.

Nieczęsto głos Candy przybierał tak zdecydowane brzmienie. Eden popatrzyła zdziwiona na przyjaciółkę.

- W porządku. O czym chcesz pogadać?

- O Elliocie - rzekła Candy, widząc, jak twarz Eden tężeje. - Nie zarzuciłam cię pytaniami tamtego wieczoru, kiedy wróciłaś z randki.

- Jestem ci wdzięczna.

- To nie bądź. Bo pytam teraz. Co się wydarzyło?

- Nic. Zjedliśmy kolację, porozmawialiśmy o literaturze i muzyce, a potem Chase odwiózł mnie do obozu.

Candy weszła do boks, zamykając za sobą skrzypiące drzwi.

- Miałam się za twoją przyjaciółkę.

- Jesteś nią. - Wzdychając ciężko, Eden zacisnęła na moment powieki. - No dobrze. A więc po kolacji, a przed moim wyjściem, sprawy trochę wymknęły się spod kontroli.

- Jakie sprawy?

Eden ponownie westchnęła. Nawet nie miała siły się roześmiać.

- Nigdy dotąd nie byłaś taka wścibska.

- A ty nigdy dotąd nie tkwiłaś tak długo w stanie przygnębienia.

- Twierdzisz, że jestem przygnębiona? - Odgarnęła grzywkę z czoła. - Hm, może faktycznie jestem.

Candy pociągnęła ją na stojącą pod ścianą wąską ławeczkę.

- Pogadajmy.

- Nie wiem, czy potrafię. - Eden splotła dłonie, po czym wbiła wzrok w pierścionek z opalem, który kiedyś należał do jej matki. - Po śmierci taty, kiedy zawalił się cały mój świat, obiecałam sobie, że ze wszystkim się uporam. Że wszystkie problemy sama rozwiążę.

- Dobrze, ale to nie znaczy, że czasem nie możesz się na kimś oprzeć.

- Na tobie stale się opieram. Aż dziw, że jeszcze nie chodzisz przegnięta.

- Powiem ci, jak zacznę kuśtykać... Kochanie, odkąd przestałyśmy raczkować, ciągle jedna drugą wspiera. Na zmianę. Opowiedz mi o Chasie.

- Boję się. Wszystko dzieje się za szybko. - Eden oparła się o ścianę. - A sam Chase wzbudza we mnie zbyt silne emocje. - Obróciła się twarzą do przyjaciółki. - Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, dziś byłabym żoną Erica. Jak mogę być zakochana w innym mężczyźnie tak szybko po zerwanych zaręczynach? To kompletnie...

- Bez sensu? - Candy wybuchnęła dźwięcznym śmiechem. - Złotko, to ja jestem ta kochliwa i niestała w uczuciach. Ty zawsze byłaś wierna i lojalna. Poczekaj, tylko się nie złość. Przeanalizujmy wszystko na spokojnie. - Skrzyżowawszy nogi w kostkach, uniosła rękę. - Po pierwsze - zgięła jeden palec - zaręczyłaś się z tym dupkiem Erikiem, ponieważ ci się oświadczył. Ale czy go kochałaś?

- Nie, chociaż wydawało mi się...

- Nieważne, co ci się wydawało. Odpowiedź brzmi „nie”. Po drugie, kilka miesięcy temu Eric ukazał ci swoje prawdziwe oblicze. Zerwał zaręczyny. Ty natomiast poznałaś fascynującego mężczyznę. - Candy coraz bardziej zapalała się do tematu. - A teraz wyobraź sobie, co by było, gdybyś kochała Erica, a on by cię rzucił. Pograżyłaś się w rozpacz. Długo byś leczyła złamane serce, aż w końcu odzyskałabyś radość życia. Zgadza się?

- Mam nadzieję.



- I gdybyś wtedy poznała fascynującego mężczyznę, to nie broniłabyś się przed miłością, prawda? - Poklepała się po udach. - Więc nie rozumiem, w czym tkwi problem?

Eden popatrzyła na swoje ręce. Nie była pewna, czy zdoła przyjaciółce wyjaśnić, o co jej chodzi.

- Po prostu historia z Erikiem czegoś mnie nauczyła. Że miłość to dar, to poświęcenie, zaangażowanie, akceptacja, pójście na kompromis. Nie wiem, czy mnie na to stać. A nawet gdyby było, to nie jestem pewna, czy Chase'owi na mnie zależy.

- Instykt nic ci nie podpowiada?

Potrząsając przecząco głową, Eden wstała z ławki. Rozmowa z Candy wiele jej dała, ale niczego w gruncie rzeczy nie zmieniła.

- Nauczyłam się nie ufać instyktowi, tylko rozumowi, dlatego idę zasiąść do ksiąg rachunkowych.

- Kochanie, zrób sobie przerwę.

- Przerwę miałam, kiedy pół obozu drapało się na potęgę, kiedy piorun strzelił w drzewo, kiedy kuchenka się zepsuła i kiedy weterynarz przyjeżdżał do konia. - Obejmując przyjaciółkę w pasie, skierowała się do wyjścia. - Miałaś rację. Nie warto wszystkiego tłamsić w sobie. A teraz wracamy do spraw bieżących.

- Czyli do liczenia.

- No właśnie. Może na tyle mnie to zmęczy, że zasnę jak niemowlę.

- Pomogę ci - zaoferowała Candy.

- Dzięki, ale wolałabym skończyć tę robotę przed Nowym Rokiem.

- Och, ty paskudo!

- Przecież nie znasz się na cyfrach. - Zaciągnęła zasuwę w drzwiach. - Nie przejmuj się mną. A rozmowa z tobą dobrze mi zrobiła.

- W porządku. - Candy westchnęła. - Tylko nie siedź za długo.

Biurem, jak go szumnie nazywano, był maleńki pokoik przy kuchni, w którym stał metalowy stolik z demobilu. Eden zapaliła lampę, nachyliła klosz pod odpowiednim kątem, a po chwili wahania włączyła radio tranzystorowe na stację z muzyką klasyczną. Liczyła, że znajome, spokojne melodie ukoją jej nerwy.

Oddychając głęboko, przysunęła krzesło i usiadła. Tu, w tym malutkim pokoiku, wszystko było czarne i białe, nie istniały odcienie szarości ani żaden wachlarz możliwości. Dobór jedzenia czy program zajęć można było modyfikować, ale nie finanse. Liczby miały stałe, niezmiennie wartości. Musiała je zestawić, podsumować, wyciągnąć wnioski.

Otworzyła szufladę, wyjęła kwity, faktury, czeki, księgę rachunkową. Powoli i cierpliwie dodawała kolejne pozycje, a z maszyny sumującej wysuwał się coraz dłuższy pasek papieru.

Dwadzieścia minut później jej najgorsze obawy się potwierdziły. Dodatkowe koszty, które musiały ponieść w trakcie ostatnich dwóch tygodni, mocno nadweryżyły ich budżet. Bez względu na to, ile razy sumowała wydatki, zawsze otrzymywała tę samą odpowiedź. Nie,

jeszcze nie zbankrutowały, ale były niebezpiecznie blisko dna. Znużona potarła palcem nos.

- Odbijemy się - powiedziała do siebie. - Na pewno nam się uda. - Przykryła ręką stos papierów na metalowym stole. - Jak się postaramy, jak zaciśniemy pasa, jest szansa, że nie pójdziemy na dno.

Oczywiście pod warunkiem, że nie będzie więcej niespodziewanych wydatków. Miała wrażenie, że stos pod jej ręką rośnie z sekundy na sekundę. Również pod warunkiem, że przez całą zimę będą żyć oszczędnie, licząc się z każdym groszem. Przycisnęła łokciem papiery, żeby już bardziej nie pęczniały. I trzeci warunek: że na kolejny sezon będą miały komplet obozowiczek. Tak, wtedy może zdołają przetrwać, a nawet odnieść drobny sukces.

Wpatrując się w nieszczęsny stos, westchnęła ciężko. Jeżeli mimo to się nie uda, jeśli znów się pojawią niespodziewanie wydatki, wtedy... no cóż, wtedy sprzeda swoją biżuterię.

W blasku lampy zamigotał pierścionek z opalem. Eden odwróciła spojrzenie. Na samą myśl, że miałyby go sprzedać, ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Ale sprzedałaby. Gdyby była przyciśnięta do muru, w ogóle by się nie wahała. Jedno wiedziała ponad wszelką wątpliwość: że się nie podda.

Całkiem nieoczekiwanie łzy pociekły jej z oczu. Nawet się nie zorientowała, kiedy zaczęły kapać. Przetarła je wierzchem dłoni, lecz natychmiast pojawiły się nowe. Była sama, nikt jej nie widział, nikt nie słyszał. Przestała walczyć, oparła głowę o stertę rachunków i pozwoliła łzom płynąć.

Wiedziała, że niczego nie zmienia. Nie spowodują, że nagle przyjdzie jej do głowy genialny pomysł lub że w cudowny sposób rozmnożą się pieniądze. Po prostu nie umiała ich powstrzymać.

Właśnie w tej pozycji ją zastał. Przy stole, z głową opartą na równej stercie papierów, płaczącą bezgłośnie. Przez moment stał nieruchomo w drzwiach. Sprawiała wrażenie kruchej, bezsilnej, potwornie zmęczonej. Korciło go, żeby do niej podejść, ale się pohamował. Przypuszczał, że Eden nie chce z nikim dzielić swojego smutku, a zwłaszcza z nim. Powtarzając sobie, że powinien się wycofać, zostawić ją samą postąpił krok w głąb pokoju.

- Eden...

Na dźwięk swojego imienia poderwała głowę. Zawstydzona, wierzchem dłoni szybko przetarła oczy i policzki.

- Co tu robisz?

- Chciałem się z tobą zobaczyć - odparł Chase. Nie do końca było to zgodne z prawdą, bo chciał zgarnąć ją w ramiona, mocno przytulić, zaradzić kłopotom. Ale tego nie zrobił, jedynie wsunął ręce do kieszeni. - Dopiero dziś rano usłyszałem o chorym wałachu. Bardzo z nim źle?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. - Starła się powstrzymać drżenie głosu. - Już prawie doszedł do siebie. Na szczęście to nie było nic poważnego.

- To dobrze.

Sfrustrowany własną bezradnością, zaczął przechadzać się po pokoju, trzy kroki w jedną stronę, trzy w drugą. Jak może ją

pocieszyć, skoro nie wie, co jej dolega? Oczy miała już suche, domyślał się jednak, ile ją kosztuje ta samokontrola.

Kiedy obrócił się do niej twarzą, Eden zdążyła wstać.

- Powiedz, co się stało.

Bardzo chciała się zwierzyć, ale nie mogła, nie potrafiła. Instynktownie zasłoniła się niewidzialną tarczą.

- Nic. Ostatnie tygodnie nie należały do najłatwiejszych. Po prostu jestem zmęczona i tyle.

I tyle? Był pewien, że chodzi o coś więcej, chociaż faktycznie wyglądała na zmęczoną.

- Dziewczynki sprawiają kłopot?

- Nie, są w porządku.

A zatem? Nerwowo zastanawiał się, co jej mogło tak dopieć. Z radia leciał wolny, sentymentalny kawałek. Zerknąwszy na stół, Chase dostrzegł otwartą księgę rachunkową. Z sumatora zwisał długi pasek papieru, który sięgał aż do podłogi.

- Brakuje wam pieniędzy? Mógłbym pomóc.

Gniewnym ruchem zamknęła księgę. Czowała, jak upokorzenie ściskają za gardło. Przynajmniej miało tę zaletę, że do końca osuszyło jej łzy.

- Nie, niczego nam nie brakuje - oznajmiła chłodno. - A teraz przepraszam, mam jeszcze sporo pracy.

Dopóki nie poznał Eden, Chase właściwie nie wiedział, co to znaczy być odtrąconym. Bardzo mu się to uczucie nie podobało. Pokiwał głową.

- Chciałem ci pomóc - powiedział, siłąc się na cierpliwość. - Nie chciałem cię urazić. - Zamierzał odwrócić się i wyjść, lecz spuchnięte oczy, przeraźliwa bladość oraz zmęczenie malujące się na twarzy Eden sprawiły, że zrobiło mu się jej żal. - Słuchaj, przykro mi z powodu kłopotów, z którymi musiałaś się borykać w ciągu ostatniego roku. Wiedziałem, że straciłaś ojca, ale nie wiedziałem, że zostawił po sobie mnóstwo niespłaconych długów.

Marzyła o tym, żeby wziął ją w ramiona, przytulił, pocieszył. Potrzebowała wsparcia, rady, dobrego słowa. Chętnie spytałaby go, co powinna robić i chętnie wysłuchałaby jego rad. Ale przez tyle miesięcy starała się samodzielnie sprostać problemom. Czy to nic nie znaczyło? Uniosła dumnie brodę.

- Nie współczuj mi. Było, minęło.

- Gdybyś mi o wszystkim powiedziała...

- Po co? To ciebie nie dotyczy.

Poczuł nieprzyjemne klucie w sercu, po chwili ból przemienił się w złość.

- Tak myślisz? A ja sądzę, że dotyczy. - Na moment zamilkł. - Eden, naprawdę uważasz, że nic nas nie łączy?

Nie, wcale tak nie uważała, ale była zbyt przerażona i miała zbyt wielki mętlik w głowie, żeby próbować dociec prawdy.

- Nie wiem, co do ciebie czuję - oznajmiła cicho. - Wiem tylko, że nie chcę nic czuć. A nade wszystko nie chcę twojej litości.

Zacisnął ręce w pięści. Sam miał problemy ze zrozumieniem własnych potrzeb i emocji, ale przeszkadzał mu lekceważący stosunek Eden. Miał wrażenie, jakby jej na niczym nie zależało.

- Litość i wrażliwość to dwie całkiem różne rzeczy - stwierdził. - Jeśli tego nie rozumiesz, to nie mam nic więcej do powiedzenia. - Odwrócił się i wyszedł.

Siatkowe drzwi cichutko zaskrzypiały.

Eden rzuciła się w wir pracy. Przez kolejne dwa dni całkiem nieźle funkcjonowała. Dawała lekcje jazdy konnej, nadzorowała posiłki, ze dwa razy z grupą dziewczynek wybrała się na wycieczkę po górach. Rozmawiała, śmiała się, słuchała, ale uczucie pustki, które ogarnęło ją po wyjściu Chase'a, nie chciało zniknąć.

Prześladował ją żal, smutek, prześladowały wyrzuty sumienia. Nie potrafiła się od nich uwolnić bez względu na to, z jakim zapalem przystępowała do zajęć. Popeniła błąd. Już w trakcie rozmowy z Chase'em wiedziała, że źle postępuje, ale duma pchała ją naprzód. Chase wyciągnął dłoń, zaoferował pomoc, zaoferował uczucie. A ona go odtrąciła. Jak najgorsza egoistka, myślała wyłącznie o sobie.

Kilka razy sięgała po telefon, żeby do niego zadzwonić, lecz nie mogła wykręcić numeru. Tym razem to nie duma ją powstrzymywała. Po prostu słowa przeprosin, które przychodziły jej do głowy, były takie miłkie, takie nic nieznaczące. Bała się je wypowiedzieć, bo Chase'owi należało się o wiele więcej.

Cokolwiek zaczęło między nimi kiełkować, ona to zdeptała. Zniszczyła uczucie, zanim miało szansę się rozwinąć. Czy Chase

zrozumie, że zrobiła to z lęku przed kolejnym rozczarowaniem? Czy rozumie, że kiedy odtrąciła jego wspaniałomyślną ofertę pomocy, kierował nią zwyczajny ludzki strach? Strach o swoją z trudem zdobytą niezależność?

Wieczorami znów zaczęła urządzać przejażdżki konno. Dawniej takie samotne wycieczki przynosiły ukojenie, lecz teraz było inaczej, bo siedząc na koniu, obsesyjnie roztrząsała swoje błędy. Noce były ciepłe, słodki zapach fuksji przywodził na myśl wspomnienia. Ilekroć patrzyła na rozgwieżdżone niebo, przed oczami stawał jej Chase.

Często jeździła nad rzekę, gdzie rosła gęsta trawa. Koń stąpał cicho po miękkim podłożu, a ona wciągała w nozdrza zapach wody i kwiatów polnych. Czasem słyszała trzepot skrzydeł, gdy niewidoczny w mroku ptak wyruszał na łowy lub na poszukiwanie partnerki.

I nagle na skraju drzew spostrzegła Chase'a. Było ciemno, prawie go nie widziała, ale czuła, że się jej przygląda. Zresztą intuicja podpowiadała jej, że dzisiejszego wieczoru się spotkają. Poddając się magii chwili, zatrzymała konia. Na kilka godzin chciała zapomnieć o wszystkim, skupić się wyłącznie na teraźniejszości, na ukochanym mężczyźnie. A jutro... co ma być, to będzie.

Zeskoczyła z konia i podeszła do drzew.

Nic nie mówił. Nie był pewien, czy nie śni, dopóki go nie dotknęła. Bez słowa ujęła jego twarz, po czym przycisnęła usta do jego ust. Nie, to nie był sen. Żaden sen nie ma smaku pocałunku. Nie ma tak ponętnych kształtów.

- Eden...



Potrząsnęła głową, nakazując mu ciszę. Dotykem, bliskością chciała zapełnić tygodnie pustki, pytania mogły poczekać. Wspiąwszy się na palce, ponownie go pocałowała. Westchnęła błogo, kiedy w końcu ją objął. Czowała, jak przenika ją coś znacznie potężniejszego od pożądania. W milczeniu przekazywali sobie siłę, zrozumienie, ciepło, wsparcie.

Przesuwał wolno dłońmi po jej plecach, jakby wciąż się upewniał, że Eden nie jest zjawą. Nie była. Trzymał ją w objęciach, widział, pieścił, całował. Potarła brodą o szorstki policzek i spoglądając na migoczące świetliki, pomyślała o gwiazdach na niebie.

Stali w milczeniu. Nieopodal zahukała sowa, koń odpowiedział jej cichym rżeniem.

- Dlaczego przyszłaś? - Musiał to wiedzieć.

- Żeby się z tobą zobaczyć. - Odsunęła się; chciała widzieć jego twarz. - Żeby z tobą być.

- Dlaczego?

Magia przygasła. Marzenia marzeniami, a życie życiem, przemknęło Eden przez myśl. Pytania zaś wymagają odpowiedzi.

- Chciałam cię przeprosić za to, jak postąpiłam tamtego wieczoru. Ofiarowałeś mi pomoc, a ja... - Z gałęzi nad głową zerwała liść. - Nieładnie się zachowałam. Przepraszam. Nie umiem... wciąż nie potrafię... - Odetchnęła głęboko i zaczęła od nowa. - Po śmierci ojca prawnikom udało się wyciszyć sprawę, ale nie zdołali ukrócić plotek i różnych spekulacji. - Chase milczał, mówiła więc dalej: - Te szeptki i spojrzenia pełne litości... chyba to mi najbardziej doskwierało. Wtedy

powzięłam pewną decyzję. Uznałam, że muszę udowodnić wszystkim, a przede wszystkim sobie, że dam radę. Nie załamie się, mimo kłopotów stanę na nogi, a nawet osiągnę sukces. Chciałam do wszystkiego dojść samodzielnie, nikomu nic nie zawdzięczać, sama, tylko sama. To się stało moją obsesją. Dlatego tak nerwowo zareagowałam, kiedy zaoferowałeś mi pomoc. Przepraszam.

Po krótkiej chwili, która wydawała się Eden wiecznością, Chase postąpił krok w jej stronę. Poruszał się bezszelestnie jak cień.

- To ładne przeprosiny. Zanim je przyjmę, chciałbym wiedzieć, czy pocałunek stanowi ich część?

Czyli nie zamierzał jej niczego ułatwić. W porządku, nie musi. Uniosła brodę.

- Nie.

Uśmiechnął się.

- Więc co oznacza?

- Czy musi cokolwiek oznaczać? - Skierowała się nad brzeg jeziora. Nisko nad ciemną taflą przeleciała sowa, niemal dotykając skrzydłami wody. Obserwując jej lot, Eden pomyślała, że ona też tak krąży, muska powierzchnię, lecz boi się zanurzyć. Odetchnęła głęboko. - Pocałowałam cię, bo miałam na to ochotę.

Napięcie, które towarzyszyło mu od paru tygodni, znikło. Poczuł się lekki, niemal pijany ze szczęścia. Z trudem się powstrzymał, żeby nie porwać Eden w ramiona i zanieść do domu, gdzie było jej miejsce.

- Zawsze spełniasz swoje zachcianki?

Zmierzyła go wzrokiem. O co mu chodzi? Przecież go przeprosiła.

- Zawsze.

- Ja też. - Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

Nie zdoławszy się powstrzymać, odwzajemniła uśmiech.

- Zatem powinniśmy się dobrze rozumieć.

Pogładził ją palcem po policzku.

- No właśnie.

- No właśnie. - Minąwszy Chase'a, podeszła do konia. - Za tydzień w sobotę organizujemy bal pożegnalny. Przyjdiesz?

- Zapraszasz mnie na randkę?

Ze śmiechem odrzuciła w tył włosy i wsunęła nogę w strzemię.

- Nie. Przyda nam się jeszcze jeden opiekun.

Już była w powietrzu, już dosiadała konia, kiedy nagle chwycił ją w pasie i postawił z powrotem na ziemi twarzą do siebie.

- A zatańczysz ze mną?

Przypomniała sobie ich ostatni taniec. Wiedziała, że Chase też go pamięta. Serce zabiło jej mocniej, w gardle zaschło.

- Może - odparła z figlarnym uśmiechem.

Pochyliwszy głowę, lekko musnął wargami usta Eden. Świat zawirował jej przed oczami.

- A więc do zobaczenia za tydzień - szepnął, po czym bez najmniejszego wysiłku podniósł ją i posadził w siodle. - Myśl o mnie.

Stał na skraju jeziora, dopóki Eden nie znikła mu z pola widzenia i znów nie zaległa cisza.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ostatnie tygodnie lata były ciepłe i parne. Niemal każdej nocy grzmiało i błyskało, ale deszcz tylko czasem nieśmiało pokropił. Eden skupiała się na pracy, starając się nie myśleć o tym, co ją czeka we wrześniu.

Przekonywała samą siebie, że nie jest to próba ucieczki przed rzeczywistością. Po prostu żyje dniem dzisiejszym i tyle. Jednej ważnej rzeczy nauczyła się tego lata, a mianowicie że nie jest bezwolną ofiarą. Przeciwnie, umie postawić na swoim, a także dokonywać zmian zarówno w sobie, jak i wokół siebie.

Wystraszona, zrezygnowana dziewczyna, która na początku lata przyjechała do Liberty, przeistoczyła się w pewną siebie, odważną młodą kobietę, która nie boi się nowych wyzwań.

Stojąc na środku obozu, wsunęła ręce do kieszeni szortów i z zadumą rozejrzała się wkoło. Zdobyły z Candy cenne doświadczenie, dzięki czemu w następnym roku osiągną jeszcze większy sukces. Będą wiedziały, na czym należy się skupić, a jakich pułapek trzeba się wystrzegać. Oczywiście czeka ją kilka miesięcy w mieście, ale nie chciała myśleć o Filadelfii, o zimie i zaśnieżonych chodnikach. Woląla cieszyć się widokiem gór i prostym życiem na łonie przyrody.

Gdyby to tylko było możliwe, chętnie zostałyby tu przez cały rok. Wracała na Wschodnie Wybrzeże wyłącznie z powodu pracy, po prostu musi znaleźć jakieś źródło utrzymania. Kiedyś w Filadelfii był jej dom, dziś już go nie miała.

Wyrzuciła z głowy obraz ponurych grudniowych dni. Na razie na niebie świeciło jaskrawe słońce. Hm, mogłaby się przejść nad jezioro, popatrzeć na lśniąca tafłę wody, pomyśleć o Chasie.

Ciekawe, co by było, gdyby poznała go dwa lata temu, kiedy wiodła tak uporządkowane życie. Czy wówczas też by się w nim zakochała? Może wszystko jest kwestią przypadku? Może dwa lata temu wymieniałaby z Chase'em kilka miłych, nic nieznaczących słów, a potem o nim zapomniała?

Nie, to niemożliwe. Zacisnęła powieki, przypominając sobie każdy jego dotyk i spojrzenie. Poznanie Chase'a wiąże się z nowymi emocjami, z szybszym biciem serca. Czas i miejsce nie grają roli. Dwa lata temu również by się w nim zakochała. Przecież tu, na obozie, walczyła z uczuciem, nie chciała ulegać porywom serca, ale nie potrafiła obronić się przed miłością. Kiedyś jednak była przekonana, że kocha Erica.

Nad jej głową przeleciała sójka. Mimo jaskrawo świecącego słońca Eden zadrżała. Czyżby była tak zimna, zmienna jak chorągiewka na wietrze? Nie znając odpowiedzi na to pytanie, wolała zachować ostrożność. Gdyby Eric się od niej nie odwrócił, wyszłaby za niego za mąż. Na jej palcu połyskiwałyby pierścienek zaręczynowy i złota obrączka. Popatrzyła na swoje ręce pozbawione jakichkolwiek ozdób.

Nie, z całą pewnością nie kochała Erica. Dopiero teraz, tego lata, odkryła, czym jest miłość i jak oddziałuje na serce, umysł, ciało. Nie miała jednak najmniejszego pojęcia, co Chase czuje. Owszem,

troszczył się o nią i pragnął jej, ale ona, bogatsza o doświadczenia, wiedziała, że to nie wystarczy. Przecież też troszczyła się i pragnęła. Jeśli Chase naprawdę ją kocha, wówczas żadne z nich nie powinno oglądać się wstecz. Liczy się teraźniejszość. Nie bądź głupia, skarciła się w duchu. Nie myśląc o przeszłości, zaczniesz powtarzać dawne błędy, stracisz niezależność, którą zdobyłaś z takim trudem. Ważna jest zarówno przeszłość, jak i przyszłość. Tyle że przyszłość stanowi zagadkę.

Dziś jednak chciała być głupia i szalona, nie bać się błędów. Przez kilka tygodni pragnęła czuć te emocje, od których kręci się w głowie. Potem znów będzie rozsądna. Rozsądek potrzebny jest w styczniu, kiedy zacina ostry wiatr i trzeba płacić za ogrzewanie. Latem zaś można cieszyć się życiem. Za parę dni zatańczy z Chase'em, uśmiechnie się zalotnie, może szepnie mu coś do ucha. Szaleństwo letniej nocy...

Zsunąwszy buty, wzięła je do ręki i pobiegła na pomost. Dziewczynki czekały na sygnał, żeby zająć miejsca w łódkach i zacząć wiosłować.

- Panno Carlbough! - Roberta, w obozowym mundurku i ukochanej czapce z daszkiem, podskakiwała wesoło. - Niech pani popatrzy! - Pochyliwszy się, oparta ręce na ziemi i podrzuciwszy w górę nogi, stanęła na głowie. - I co? Fajnie? - spytała, z trudem utrzymując równowagę. Twarz powoli nabiegała jej krwią.

- Fantastycznie.

- Ćwiczyłam. - Po chwili opadła na trawę. - Jak mama spyta, czego się nauczyłam na obozie, zademonstruję jej.

- Na pewno będzie zachwycona. - Eden miała nadzieję, że oprócz stania na głowie Roberta zademonstruje matce parę innych umiejętności.

Wciąż leżąc na trawie, z ramionami wyrzuconymi na boki, dziewczynka uśmiechnęła się szeroko. Zazdrościła opiekunce jasnych, kręconych włosów. Była w tym wieku, w którym coraz większą wagę przykłada się do wyglądu.

- Ślicznie pani dziś wygląda.

Mile zaskoczona komplementem podała Robertcie rękę i podciągnęła ją na nogi.

- Dziękuję, kochanie. Ty też ślicznie wyglądasz.

- Mam za dużo piegów, ale już niedługo mama pozwoli mi się malować, a wtedy wszystkie zakryję.

Eden pogładziła kciukiem miękkiej dziewczęcy policzek.

- Niektórzy chłopcy uwielbiają piegowate buzie.

- Może. - Roberta nie zamierzała się nad tym teraz zastanawiać. - Panno Carlbough... zabujała się pani, prawda?

- Zabujała? - Schowała rękę do kieszeni.

- No wie pani. - Roberta westchnęła teatralnie i zatrzepotała rzęsami.

Eden miała ochotę się roześmiać, a jeszcze bardziej wepchnąć małą diabolicę do wody.

- Nie bądź śmieszna, Roberto.

- Wyjdzie pani za mąż?

- Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł? Zresztą nieważne. No, wskakuj do łódki. Twoje koleżanki już czekają.

- Moja mama mówi, że ludzie, którzy się w sobie zabujali, na ogół się pobierają.

- Ogólnie rzecz biorąc, twoja mama ma rację. - By zmienić temat, pomogła Robertcie zająć miejsce w łódce, w której siedziały Marcie z Lindą. - Jednakże pan Elliot i ja ledwie się znamy. Dziewczynki, proszę włożyć kapoki!

- Mama twierdzi, że ona i tatuś zakochali się od pierwszego wejrzenia. - Dziewczynka włożyła kamizelkę, chociaż wcale nie miała na to ochoty; przecież świetnie pływała. - Ciągle się całują.

- To miło. Uwaga, zaraz...

- Kiedyś wydawało mi się to obleśne, ale teraz nawet mi się podoba, że okazują sobie uczucie. - Roberta uśmiechnęła się od ucha do ucha. - W każdym razie jeśli pani nie wyjdzie za pana Elliota, to może ja za niego wyjdę.

Eden, która mocowała wiosła w dulkach, popatrzyła uważnie na młodą rywalkę.

- Ty?

- No bo pan Elliot ma fajnego psa i mnóstwo drzew owocowych. - Roberta nasunęła czapkę bardziej na oczy. - A do tego jest całkiem przystojny.

Jej dwie koleżanki pokiwały zgodnie głowami.



- Hm. - Eden zaczęła wiosłować. - Po powrocie do domu powinnaś omówić ten pomysł ze swoją mamą.

- Dobra. Mogę powiosłować?

- Oczywiście - odparła uradowana, że Roberta straciła zainteresowanie tematem małżeństwa. - Powiosłujemy razem w jedną stronę, a w drodze powrotnej oddamy wiosła Marcie i Lindzie.

Kiedy miarowym tempem oddalały się od pomostu, Eden nagle uzmysłowiła sobie, że płynie jedną łodzią z tymi samymi trzema dziewczynkami, które w pierwszym tygodniu wybrały się na zwiedzanie sadu. Jaki ten świat jest dziwny, pomyślała, kręcąc ze śmiechem głową.

A gdyby to nie ona ruszyła na poszukiwanie dziewczynek? Albo gdyby nie wdrapała się po czapkę na drzewo? Oblizła językiem wargi, przywołując smak i dotyk warg Chase'a. Czy gdyby mogła cofnąć czas, postąpiłaby tak samo czy uciekła z krzykiem?

Zamknęła na moment oczy i wystawiła twarz do słońca. Nie, nie uciekłaby, a tym bardziej z krzykiem. To, że potrafiła się do tego przyznać, sprawiło, że wstąpiła w nią siła. Tak jest, ona, Eden Carlbough, już nigdy przed nikim ani niczym nie będzie uciekać. Każdemu wyzwaniu stawia czoło.

Może faktycznie zabujała się w Chasie. Może zdoła, przynajmniej przez jakiś czas, zachować to w tajemnicy. Gdyby świat był skonstruowany według prostych zasad Roberty, łatwiej wszystkim by się żyło. Miłość równa się małżeństwo, małżeństwo równa się

szczęście. Wzdychając cicho, otworzyła oczy i przez chwilę wpatrywała się w gładką tafłę wody.

Sny na jawie... o ileż bardziej są mistyczne niż te, które nawiedzają nas w nocy. Dawno nie śniła na jawie. Dziewczynki trajkotały między sobą, wołały do koleżanek w innych łódkach. W pobliżu ktoś śpiewał, a raczej fałszował. A ona wiosłowała rytmicznie, raz po raz zanurzając wiosło w wodzie.

Płynie, niczym liść unosi się na lśniącej powierzchni. Migoczące refleksy są jak płomyk świecy, a skrzek wron jak muzyka. Potem już nie płynie, lecz galopuje na Pegazie. Białe skrzydła bez trudu tkną powietrze. Chłodny wiaterek pomaga im szybciej przeniknąć przez chmury. Włosy ozdobione kwiatami trzepoczą swobodnie na wietrze. W oddali majaczą kolejne chmury, które przypominają tajemniczy, szary zamek. Ona, Eden, mknie w ich stronę, wolna, swobodna, niczym nieskrępowana.

Razem z nią galopuje Chase. Wznoszą się wyżej, coraz wyżej nad ziemią, która powoli traci kontury, natomiast gwiazdy wydają się coraz bliższe, niemal na wyciągnięcie ręki. Są jak kwiaty; pochyła się, zrywa kilka...

Obraca się twarzą do Chase'a. Tak, w jego ramionach jest jej miejsce. Wie to ponad wszelką wątpliwość.

- Patrzcie! To Squat!

Eden zamrugła i wróciła do rzeczywistości. Nigdzie nie mknęła na koniu; siedziała w łódce, mięśnie bolały ją od wiosłowania. Dookoła nie było kwiatów ani gwiazd, tylko woda i niebo.

Przeplłynęły niemal całą szerokość jeziora. Na brzegu, do którego się zbliżały, rosły rzędy jabłoni. Między drzewami widać było szklarnię, którą dziewczynki zwiedziły podczas wycieczki do sadu. Pies, zachwycony pojawieniem się nieoczekiwanych gości, ganiał radośnie po płytkiej wodzie. Oczywiście po chwili był cały mokry.

Słuchając, jak dziewczynki wołają Squata, Eden zastanawiała się, co porabia Chase. Czy jest w domu? Jak zazwyczaj spędza niedzielne poranki? Czy popijając kawę, leniwie przewraca strony gazety? A może ogląda mecz w telewizji? Albo jeździ na długie, samotne przejażdżki?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie, wyszedł z domu i wraz z Delaneyem stanął na brzegu jeziora. Kiedy ich oczy się spotkały, Eden poczuła, jak przeszywa ją dziwny impuls.

Czy zawsze tak będzie? Czy zawsze na jego widok będzie się jej kręciło w głowie? Nabierając głęboko powietrza, starała się spowolnić bicie serca.

- Panie Elliot! - Nie bacząc na konsekwencje, Roberta puściła wiosło i poderwawszy się na nogi, zaczęła podskakiwać. Łódź zachybotowała się.

- Roberto, usiądź, bo wylądujemy w wodzie.

Zanim Eden zdołała chwycić dziewczynkę za rękę, Marcie z Lindą wzięły przykład z koleżanki i też zaczęły skakać.

- Panie Elliot! Dzień dobry! - rozległ się ich chóralny okrzyk, po czym, jak można było przypuszczać, łódka się wywróciła.

Eden spadła na głowę. Ponieważ ciało miała nagrzane od słońca, jezioro wydało się jej przeraźliwie zimne. Wynurzyła się, z wściekłością wypluwając wodę z ust. Odgarnęła włosy z oczu i popatrzyła na trzy roześmiane twarze. Dziewczynki, które dzięki kamizelkom utrzymywały się na powierzchni, machały wesoło do mężczyzn i psa na brzegu. Eden uchwyciła się przewróconej łódki.

- Roberto!

- Ojej, niech pani zobaczy! - zawołała sprawczyni całego zamieszania, najwyraźniej nie słysząc nagany w głosie opiekunki. - Squat do nas płynie!

- Świetnie. - Podpłynawszy do Roberty, Eden dociągnęła ją do łódki. - Pamiętaj o zasadach bezpieczeństwa. I nie ruszaj się stąd.

Podpływała do kolejnej dziewczynki, gdy nagle kątem oka zobaczyła psa. Niepewna, czy psisko nie za bardzo oddaliło się od brzegu, obejrzała się przez ramię. Już chciała krzyknąć, żeby Chase przywołał Squata, kiedy spostrzegła, jak ten drań radośnie szczyrzy zęby. Nie słyszała słów, ale widziała, że Delaney coś mówi. Chase odrzucił w tył głowę i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Potrzebujecie pomocy? - spytał po chwili.

Pociągnęła w stronę łodzi chichoczącą Marcie.

- Nie fatyguj się! - zawołała i zaraz podskoczyła przerażona, bo pies trącił ją w ramię mokrym nosem. Jej reakcja wszystkich rozbawiła, a najbardziej Squata, który zaczął szczekać prosto do ucha Eden.

Zapanował jeszcze większy chaos. Dziewczynki piszczały, ochlapwały wodą siebie i psa. Eden znalazła się w samym środku pola walki. Widzowie w innych łódkach śmiali się wesoło, niektórzy wykrzykiwali słowa zachęty. Squat pływał wokół Eden, która usiłowała zaprowadzić porządek.

- No dobrze, dziewczynki. Koniec zabawy. - Zachłysnęła się wodą. - Przekręcamy łódkę.

- Możemy zabrać na pokład Squata? - spytała rozchichotana Roberta, bo pies lizał ją po twarzy.

- Nie.

- To niesprawiedliwe - oznajmił tuż obok męski głos. Zajęta próbą przywrócenia ładu, nawet nie zauważyła, kiedy Chase podpłynął. - Przecież rzucił się wam na ratunek.

Objął ją ramieniem w pasie, żeby nie musiała przebierać nogami. Włosy miał prawie całkiem suche, podczas gdy jej mokre strąki lepiły się do twarzy.

- Postawcie łódkę - powiedział do dziewczynek, które natychmiast rzuciły się, by wykonać polecenie. - Najwyraźniej lepiej sobie radzisz w stajni niż w wodzie - szepnął Eden do ucha.

Chciała odpłynąć, ale nie mogła się oswobodzić, bo jego nogi oplatały ją, uniemożliwiając ucieczkę.

- Gdybyście ty i ten potwór nie krążyli po brzegu...

- Potwór? Mówisz o Delaneyu?

- Oczywiście, że nie! - Odgarnęła z twarzy kosmyki.

- Mokra jesteś jeszcze piękniejsza. Dlaczego nigdy nie wybraliśmy się popływać?

- Teraz też nie wybrałam się popływać, tylko powiosłować.

- Tak czy inaczej jesteś piękna.

Dziewczynki postawiły łajbę.

- Wszystko przez twojego psa...

Zanim Eden skończyła mówić, Roberta i jej koleżanki zaczęły gramolić się do łódki i wołać Squata, żeby im towarzyszył.

- Roberto, przecież prosiłam... - Tym razem również nie dane jej było skończyć, bo Chase wepchnął ją do wody.

Kiedy wynurzyła się, usłyszała, jak Chase umawia się z dziewczynkami.

- Ja i panna Carlbough popłyniemy do brzegu, a wy weźcie psa. On uwielbia łodzie.

- Powiedziałam, że...

Znów znalazła się pod wodą. Tego było już za wiele. Wynurzywszy się, popatrzyła gniewnie na Chase'a i odciągnęła ramię w tył. Złapał jej rękę, zanim go dosięgła, i zbliżywszy do ust, złożył na niej pocałunek.

- Ścigamy się?

Nie odpowiedziała. Wyszarpnęła rękę i bez słowa ruszyła kraulem za łodzią. Woda przy uszach tłumiła odgłos szczekania i krzyki podnieconych dziewczynek kibicujących zawodnikom. Wykonując silne, miarowe pociągnięcia, Eden płynęła jakiś metr za łodzią i pilnowała, żeby dziewczynki nie skakały.

Sześć, siedem metrów dzieliło ich od brzegu, kiedy nagle Chase chwycił ją za kostkę. Zaczęła kopać, próbując się uwolnić. Nie miała jednak szansy, przecież był znacznie od niej silniejszy.

- Ty oszuście! - zawołała ze śmiechem. - Ja byłam pierwsza! Ja wygrałam!

Wynurzył się z wody, trzymając Eden w objęciach. Jego, goły tors lśnił w słońcu.

- Mylisz się. Ja wygrałem.

Psiakość, mogła się tego spodziewać. Ten drań obrócił się i wrzucił ją z powrotem do wody. Eden dźwignęła się na nogi. Z trudem tłumiąc śmiech, skinęła głową do dziewczynek, które wciąż głośno kibicowały.

- Tak, drogie panny, zachowuje się człowiek, który nie umie przegrywać.

Uniosła ręce, żeby wycisnąć wodę z włosów. Nie zdawała sobie sprawy, że bluzka oblepia jej ciało, podkreślając wszystkie krągłości. Chase'owi serce omal nie wyskoczyło z piersi. Nieświadoma wrażenia, które wywarła, Eden wyszła na brzeg, ociekając wodą.

- Dzień dobry, Delaney.

- Dzień dobry, panno Eden. - Starzec błysnął w uśmiechu złotym zębem. - Przyjemny dzień na kąpiel, prawda?

- Poniekąd.

- Zamierzałem nazbierać jeżyn na dzem. - Rzucił okiem na trzy dziewczynki w przemoczonych mundurkach. - Gdyby ktoś mi pomógł, przygotowałbym kilka słoiczków więcej.

Zanim Eden zdołała wyrazić zgodę lub odmówić, jej trzy podopieczne i pies zaczęły skakać wokół niej, prosząc, żeby się zgodziła. No cóż, pomyślała, dziesięcio- lub piętnastominutowa przerwa dobrze im zrobi przed drogą powrotną.

- Dobrze, dziesięć minut - rzekła, po czym dała na migi znać opiekunkom w pozostałych łodziach, że nastąpi małe opóźnienie.

Wraz z dziewczynkami, które zasypywały go dziesiątkami pytań, Delaney oddalił się w stronę kępy krzewów. Kiedy czteroosobowa grupka z psem znikła pośród zieleni, w powietrze wzbiło się zaskoczony stado ptaków. Eden roześmiała się wesoło, a kiedy spojrzała za siebie, napotkała oczy Chase'a.

- Świetnie pływasz - stwierdził.

- Po prostu obudził się we mnie duch rywalizacji. Przepraszam, muszę przypilnować...

- Spokojnie. Delaney sobie z nimi poradzi.

Starł z jej policzka kropelkę wody. Pod wpływem dotyku Eden zadrżała.

- Zimno ci?

- Nie. - Potrząsnęła głową.

Położył ręce na jej ramionach. Cofnęła się pół kroku. Miał na sobie jedynie sprane, obcięte do kolan dżinsy i goły tors. Koszulę cisnął niedbale na ziemię, zanim wskoczył do jeziora.

- Nie jesteś zimna - szepnął, pocierając jej ciało.

- Wiem. - Zerknęła w stronę krzaków, skąd dolatywał śmiech. - Powinnam je zawołać. Są całe mokre, jeszcze się przeziębą...



- Eden... - Ujął jej dłoń. - Jak się tak będziesz cofać, to zaraz znów wylądujesz w wodzie.

Z jej oczu wyzierał lęk. Chase westchnął sfrustrowany. Starał się nie wywierać na nią żadnego nacisku. Wydawało mu się, że ilekroć zdobywał jej zaufanie, znów wznosiła mur. Uśmiechnął się łagodnie, usiłując zdławić żądzę.

- Gdzie podziałaś buty?

Zbita z tropu popatrzyła na swoje gołe stopy. Powoli zaczęła się znów odprężyć.

- O kurczę, leżą na dnie jeziora. - Potrząsnęła głową, próbując trochę osuszyć włosy. - Z Robertą człowiek nigdy się nie nudzi. Może byśmy pomogli im zbierać owoce?

Objął ją ramieniem, zanim zdążyła pognać do swoich podopiecznych.

- Dlaczego stale ode mnie uciekasz? - Wsunąwszy rękę w jej włosy, delikatnie przeczesał palcami lśniące, wilgotne kosmyki. - Trudno ci się oprzeć, kiedy patrzysz na mnie tymi swoimi wielkimi oczami.

- Chase, przestań.

- Chcę cię czuć, chcę dotykać. - Przysunął się tak, że ich ciała się stykały. - Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo tego pragnę. Nie opuszczaj wzroku, spójrz na ranie. - Ujmując ją za brodę, zmusił, by napotkała jego oczy. - Kiedy pozwolisz mi się do siebie zbliżyć?

Pokręciła bezradnie głową. Nie potrafiła wyrazić, co czuje, czego sama pragnie i czego wciąż się lęka.

- Chase, błagam. Nie teraz, nie tutaj. Nie...

Sprzeciw zamienił się w cichy pomruk zadowolenia, kiedy Chase zaczął obsypywać jej twarz drobnymi pocałunkami.

- A kiedy? - spytał, zdobywając się na nadludzką cierpliwość, bo najchętniej porwałby ją w ramiona i nie czekając na odpowiedź, zaniósł w odosobnione miejsce. - I gdzie?

Skończyły się drobne pocałunki. Tym razem niemal zmiążdżył jej usta. Świat zawirował Eden przed oczami. Czuła, że wszelkie racjonalne myśli ulatują jej z głowy.

- Sądzisz, że nie wiem, co się z tobą dzieje, kiedy trzymam cię w objęciach? - Im bardziej ulatywała z niego cierpliwość, tym niższy miał tembr głosu. - Chryste, Eden. Pragnę cię, potrzebuję... Przyjdź do mnie wieczorem. Zostań do rana.

Jakie to by było proste! Ulec, spełnić swoje marzenia, zapomnieć o bożym świecie. Objęła Chase'a za szyję, zamknęła oczy, przytuliła się mocno. Czy można mieć to, czego się pragnie? Przez moment wierzyła, że tak. Przecież Chase istniał, był prawdziwy, z krwi i kości. Niestety prawdziwe były też jej zobowiązania.

- Nie mogę, Chase. - Rozsądek zwyciężył. - Nie mogę na całą noc opuszczać obozu.

Zanim cofnęła się o krok, zacisnął ręce na jej twarzy. Oczy miał jak morze przed burzą.

- A kiedy lato się skończy? Co wtedy, Eden?

Co wtedy? Wolała o tym nie myśleć, bo odpowiedź wcale jej się nie podobała. Kiedy lato się skończy, skończą się marzenia i nastąpi

powrót do realnego świata. Jeżeli chciała dotrzymać obietnicy, którą dała sobie po śmierci ojca, po sprzedaży domu i po rozstaniu z Erikiem, wiedziała, co musi zrobić.

- Wtedy wyjadę stąd, wrócę do Filadelfii. Do następnego lata.

Tylko kilka letnich miesięcy? Tylko tyle może mu dać? Złość, która w pierwszej chwili go ogarnęła, znikła. Wpadł w panikę. Wyobraził sobie tę przerażającą pustkę po wyjeździe Eden. Ponownie zacisnął ręce na jej ramionach.

- Przyjdiesz do mnie przed wyjazdem. - To nie było pytanie, prośba ani polecenie. To było stwierdzenie faktu. Prośbie mogłaby odmówić, na pytanie nie odpowiedzieć, poleceniu się sprzeciwić.

- Powiedz. Chase, co to da?

- Przyjdiesz do mnie przed wyjazdem - powtórzył.

Bo jeśli nie, to on za nią wyruszy i na pewno nie zgubi tropu. Bo tak musi być.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Wnętrze zdobiły fantazyjnie poskręcane paski z czerwonej i białej krepiny oraz różnego kształtu kolorowe balony, które dziewczynki nieustrudzenie nadmuchiwały. Obok sprzętu muzycznego leżały w trzech nierównych stosach starannie wybrane płyty. Impreza miała się zacząć za kilka godzin.

Pod bacznym okiem Candy, która nad wszystkim sprawowała nadzór, jedne stoły wnoszono ze stołówki na zewnątrz, a inne ustawiano pod ścianą. Prosta czynność trwała znacznie dłużej, niż

powinna, gdyż dziewczęta przystawały co kilka kroków, żeby omówić najważniejszy temat wieczoru, czyli chłopców.

Eden, chociaż nie miała zdolności plastycznych, zgłosiła się na ochotnika do grupy przygotowującej dekoracje. Oczywiście uprzedziła, że będzie zajmowała się wyłącznie rozwieszaniem i przybijaniem dekoracji wykonanych przez innych. W ekipie znalazło się sporo utalentowanych osób, które oprócz wstążek z krepiny przyszykowały plakaty i barwne papierowe kwiaty. Największe wrażenie robił dwumetrowej długości transparent w charakterystycznej dla Liberty czerwieni, na którym widniał duży napis:

OBÓZ LIBERTY WITA NA DOROCZNYM LETNIM BALU  
Candy z góry założyła, że będzie to pierwsza impreza, po której nastąpi wiele kolejnych. Eden, gdy dopisywał jej humor, nie gasiła entuzjazmu przyjaciółki, przeciwnie, uważała, że Candy ma rację. Czasem jednak, kiedy nachodziła ją chandra, zastanawiała się, czy nie warto pogadać z kierownictwem obozu dla chłopców w sprawie podziału kosztów za konsumpcję. Na razie nastrój miała dobry i nie myślała o kosztach. Zależało jej tylko na tym, żeby dekoracje były najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziano w Pensylwanii.

Wspięła się na drabinę, żeby zawiesić pęk kolorowych pasków. Pod nią grupka dziewcząt prowadziła ożywioną dyskusję o kolejności puszczenia płyt, chociaż ze stojącego na drugim końcu sali sprzętu i tak już dudniła muzyka.

To śmieszne, pomyślała Eden. Ekscytuje się wieczorną imprezą na równi z uczestniczkami obozu, a przecież jest dorosłą kobietą, której zadanie polega na zaplanowaniu balu, a później na sprawowaniu nad wszystkim pieczy. Powtarzała to sobie raz po raz, a jednak myślami wybiegała naprzód i oczami wyobraźni widziała stołówkę pełną roześmianych ludzi. Podobnie jak zaaferowane dziewczynki pod drabiną, zastanawiała się nad tak fundamentalnymi problemami, jak co na siebie włożyć, jak się umalować, co zrobić z włosami.

Tak, to było niesamowite, że o wiele bardziej przeżywała zabawę na zakończenie letniego obozu niż swój bal debiutantek. Był czymś zwyczajnym, ot, kolejnym krokiem na ścieżce, którą kroczyła od urodzenia. Natomiast dzisiejsza impreza pożegnalna była czymś nowym i nadzwyczaj ekscytującym. Po prostu wszystko się mogło wydarzyć.

Oczywiście dumając o wieczornej zabawie, rozmyślała głównie o Chasie. Już nawet się przed tym nie broniła. Nagle jeden utwór się skończył i po krótkiej przerwie ciszę wypełnił kolejny. Znając słowa piosenki, Eden zaczęła nucić. Z dołu doleciał ją głos jednej z dziewczynek:

- Spytajmy pannę Carlbough. Ona zawsze wszystko wie, a jak nie wie, to wie, gdzie się dowiedzieć.

Nie zareagowała. W ustach trzymała pinezkę, w ręku dwumetrowy pasek krepiny. Przypięła dekorację do ściany i raptem, jakby z opóźnieniem, dotarł do niej sens słów. Czy naprawdę tak ją

dziewczynki widzą? Jako osobę, na której zawsze można polegać? Kręcąc ze śmiechem głową, docisnęła mocniej pinezkę. Wypowiedź potraktowała jak największy komplement. Dziewczynki w nią wierzyły. Poczła się doceniona. W ciągu zaledwie trzech miesięcy bez niczyjej pomocy coś osiągnęła, doszła do czegoś w życiu. I co najważniejsze, sama do siebie zyskała szacunek.

Na pewno na tym nie poprzestanie. Lato dobiega końca, ale nadal czekają ją różne wyzwania. Czy w South Mountain, czy w Filadelfii, nadal będzie nad sobą pracować, doskonalić się, zdobywać nowe umiejętności. Ruszyła na dół po drabinie, żeby dowiedzieć się, o co dziewczynki chciały ją spytać. Na drugim szczeblu zamarła bez ruchu.

Do stołówki wkroczyła wysoka, dystyngowana dama w eleganckim wiśniowym kostiumie i apaszką firmy Hermes owiniętą niedbale wokół szyi. Miała idealnie przystrzyżone białe jak śnieg włosy, a na piersi długi sznur pereł. W zgięciu łokcia trzymała małego białego futrzaka noszącego imię Bubu.

- Ciozia Dottie! - Zdumiona i uradowana Eden zeskoczyła na podłogę. Trzy sekundy później poczuła zapach Paryża. - Och, jak cudnie cię widzieć!

Oswobodziwszy się z objęć, przyjrzała się pięknej twarzy o wysokich kościach policzkowych. Jak zwykle w spojrzeniu i uśmiechu ciotki dostrzegła podobieństwo do swojego ojca.

- Jesteś ostatnią osobą, której bym się tu spodziewała!

- Kochanie, czyżby na prowincji wyrosły ci kolce?

- Kolce? - Eden zmarszczyła czoło, po czym wybuchając śmiechem, sięgnęła do kieszeni. - Ojej, przepraszam. To pinezki.

- Nie szkodzi. Kto by się przejmował małym ukłuciem? - Biorąc bratanicę za rękę, Dottie cofnęła się i zmierzyła ją od stóp do głów, po czym odetchnęła z ulgą. Nikt poza nią nie wiedział, ile bezsennych nocy spędziła, zamartwiając się o jedyne dziecko zmarłego brata. - Wyglądasz ślicznie. Może jesteś ciut za chuda, ale za to masz piękny koloryt. - Rozejrzała się po stołówce. - Muszę przyznać, kochanie, że dziwne wybrałaś miejsce na spędzenie lata.

- Och, ciociu. - Eden potrząsnęła głową. Przez wiele miesięcy po śmierci brata Dottie nie mogła przeboleć, że jego córka nie chce przyjąć od niej pieniędzy ani zamieszkać w jej domu. - A ten koloryt, jak go nazywasz, to zasługa wiejskiego powietrza.

- Hm. - Nieprzekonana ciotka wciąż rozglądała się wkoło. - Ja za wieś uważam południe Francji...

- Powiedz, co tu robisz. Jestem zaskoczona, że odnalazłaś obóz.

- Nie było tak trudno. Mój szofer doskonale zna się na mapach. - Pogłaskała po głowie białego futrzaka. - Bubu i ja poczułyśmy wielką ochotę, żeby odwiedzić prowincję.

- Rozumiem. - Eden wiedziała, że ciotka, podobnie jak wszyscy znajomi w Filadelfii, uznali jej pracę na letnim obozie za wybryk czy też kaprys. Potrzeba będzie więcej niż jedno lato, by się przekonali, że interes, w który weszła z Candy, traktuje jak najbardziej serio.

- No i skoro przejeżdżałam nieopodal... - Dottie zawiesiła głos. - Mój Boże, cóż za dziwny strój! - oznajmiła po chwili, wpatrując się w

ochlapany farbą fartuch i postrzępione tenisówki. - Czyżby wracała moda na hipisów? Co masz w ręku?

- Krepinę. Właśnie po to były mi potrzebne pinezki. - Eden uśmiechnęła się do suczki, która wspaniałomyślnie dała się pogłaskać.

- Oddaj swoje zabaweczki jednej z tych uroczych młodych dam i chodź zobaczyć, co ci przywiozłam.

- Coś mi przywiozłaś? - zdumiała się Eden, posłusznie wręczając papierowe wstęgi Lisie. - Skarbie, porozwieszaj to wokół stołów.

- Wiesz, że najbliższe miasteczko znajduje się co najmniej czterdzieści kilometrów stąd? - Dottie wzięła bratanicę pod rękę i ruszyła w stronę wyjścia. - Jeśli tych parę domków, obok których przejeżdżaliśmy, można nazwać miasteczkiem. Dobrze, dobrze, nie denerwuj się, piesku, nie postawię cię na brudnej ziemi. - Przytuliła go do piersi. - Bubu czuje się nieswojo poza miastem.

- Tak, rozumiem.

- O czym to ja mówiłam? Ach tak, o miasteczku. A więc były tam jedno światła sygnalizacyjne i jeden lokal, a zwał się „U Earla”. Nawet korciło mnie, żeby zobaczyć, co ludzie robią u niejakiego Earla, jednak nie zatrzymaliśmy się.

Śmiejąc się wesoło, Eden cmoknęła ciotkę w policzek.

- „U Earla” jada się kanapki i ociekające tłuszczem frytki, pije się kawę i plotkuje o tym, co słyhać u sąsiadów.

- Och, cudownie! Często tam jeździsz?

- Nie. W ostatnim czasie prowadzę dość ograniczone życie towarzyskie.



- To się może zmienić. - Obróciwszy się, Dottie skinęła w stronę cytrynowożółtego rolls-royce'a, który stał zaparkowany na głównym placu.

Na widok mężczyzny opartego o maskę Eden poczuła, jak każda komórka jej ciała zamiera.

- Eric?

Rozciągnął usta w uśmiechu i znajomym gestem przeczesał ręką włosy. Wokół zebrała się grupa dziewczynek podziwiających zarówno klasyczną linię rollsa, jak i klasyczną urodę Erica Keetona.

Pewnym siebie krokiem ruszył ku Eden. Przyglądała mu się z chłodnym zainteresowaniem. Włosy, kilka odcieni ciemniejsze od jej blond kosmyków, miał idealnie przystrzyżone. Sportowe ubranie, na które składały się eleganckie bawełniane spodnie i koszulka polo, doskonale leżały na szczupłej sylwetce. Z piwnych oczu, które tak często sprawiały wrażenie znudzonych, tym razem promieniało ciepło.

- Eden, jak wspaniale wyglądasz! - Chociaż nie wykonała żadnego gestu na powitanie, ujął jej rękę.

Zdumiała się, że dłonie ma tak miękkie. Dziwne, w ogóle o tym nie pamiętała.

- Dzień dobry, Ericu - powiedziała oziębło.

- Jest jeszcze piękniejsza niż dawniej, prawda, Dottie? - Suche, chłodne powitanie jakoś nie zbiło go z tropu. - Ciotka martwiła się o ciebie. Spodziewała się, że będziesz blada i chuda jak szkapa.

- Jak widzisz, nie jestem. - Zdecydowanym ruchem uwolniła rękę. Nawet nie zdawała sobie sprawy, choć bardzo by ją to ucieszyło,

gdyby wiedziała, że spojrzenie ma równie zimne jak głos. Przeniosła je z Erica na ciotkę.

- Dottie, co ci przyszło do głowy, żeby jechać taki kawał drogi? Nie wierzę, że aż tak się o mnie martwiłaś.

- Aż tak to nie, ale troszkę na pewno. - Zaskoczona lodowatym tonem bratanicy, z zatroskaną miną pogładziła ją po policzku. - Poza tym ciekawa byłam miejsca, w którym zaszylaś się na całe lato.

- Oprowadzę cię po terenie.

Dottie uniosła brwi w identyczny sposób, jak robiła to Eden.

- Ciotka Dottie! - zawołała Candy. Rude loki podskakiwały jej na głowie, kiedy biegła się przywitać. - Wiedziałam, że to możesz być tylko ty. - Zdyszana wpadła w jej objęcia.

- Dziewczynki opowiadały jedna przez drugą o żółtym rollsie. No, a któż inny może podróżować żółtym rollsem?

- Widzę, że nasza Candy jak zwykle tryska entuzjazmem. - Dottie z czułością popatrzyła na przyjaciółkę bratanicy. Może nie zawsze rozumiała Candice Bartholomew i nie zawsze się z nią zgadzała, ale niezmiennie darzyła ją ogromną sympatią. - Mam nadzieję, że nie narobiłam wam kłopotu niespodziewaną wizytą?

- Kłopotu? Ależ skąd! - Candy pogładziła białego stworka. - Cześć, Bubu. - Spojrzała na Erica. - Witaj. - Temperatura jej głosu spadła gwałtownie i zbliżyła się do zera absolutnego. - Nigdy bym nie sądziła, że cię tu spotkam.

- Witaj, Candy. - W przeciwieństwie do Dottie, nie przepadał za najbliższą przyjaciółką Eden. - Ręce masz całe umazane farbą.

- Już wyszła - mruknęła z żalem. Gdyby farba była mokra, Candy przywitałaby się z Erikiem znacznie wylewniej. Objęłaby go, poklepała po ramieniu...

- Eden zaoferowała, że oprowadzi nas po terenie - oznajmiła Dottie, doskonale zdając sobie sprawę z wzajemnej animozji pomiędzy Candy a Erikiem. Ale w liczącą setki kilometrów podróż z Filadelfii wybrała się wyłącznie w jednym celu, a mianowicie chciała pomóc bratanicy odnaleźć szczęście. Jeśli to znaczy, że musi uciec się do drobnej manipulacji... tym lepiej. - Wiem, że Eric umiera z ciekawości, niestety ja... - Położyła rękę na ramieniu Candy. - Wyczerpała mnie długa jazda, psinkę również. Gdybyś, kochanie, była tak miła i poczęstowała mnie filiżanką herbaty...

- Ależ oczywiście. - Dobre wychowanie nie pozwoliło Candy się sprzeciwić, mimo że wiedziała, co staruszka knuje. Posłała przyjaciółce krzepiące spojrzenie. - Zapraszam do kuchni. Tylko ostrzegam, dziś panuje u nas potworne zamieszanie.

- Nie szkodzi. Nienawidzę nudy. - Obróciwszy się do Eden, ciotka zdziwiła się na widok jej naburmuszonej miny.

- W porządku, Dottie. Idź z Candy, a ja pokażę Ericowi nasze atrakcje.

- Eden, słoneczko...

- Napij się, ciociu, herbaty. - Pocałowała ją w policzek. - Później porozmawiamy.

Ruszyła przed siebie, nie patrząc, czy Eric idzie za nią, czy też nie, a kiedy błyskawicznie się z nią zrównał, powiedziała oficjalnym tonem, jakby oprowadzała delegację władz oświatowych.

- W tym sezonie mamy sześć domków mieszkalnych. W następnym roku planujemy dodać dwa kolejne.

Mijając je, zobaczyła, że zawilce wciąż kwitną. Ich barwne płatki dodały jej siły.

- Każdy domek ma indiańską nazwę. Dziewczynki same utrzymują w nich ład. Raz na tydzień wybieramy ten, w którym panuje największy porządek. Nagrodą są dodatkowe jazdy konno, dłuższe pływanie lub to, czego dziewczynki sobie zażyczą. W domku, który zajmuję z Candy, znajduje się malutka kabina prysznicowa. Dziewczynki korzystają z urządzeń sanitarnych w zachodniej części ośrodka.

- Eden... - Eric ujął ją za łokieć, jak to robił podczas spaceru po Broad Street w Filadelfii.

Wzdrygnęła się, ale nie zaprotestowała.

- Tak?

Drażnił go jej chłodny ton, uznał jednak, że w ten sposób próbowała ukryć fakt, że ma złamane serce.

- Powiedz, co taka kobieta jak ty tu porabia? - Zatoczył ręką szeroki łuk.

Wiedziała, że w protekcyjny sposób pytał o sprawy zasadnicze, ale złośliwie potraktowała jego pytanie dosłownie.

- Sprawujemy z Candy pieczę nad dziewczynkami - odparła, z trudem hamując złość. - A jednocześnie staramy się zapewnić im sporo rozrywki. Oczywiście mamy program, którego próbujemy się trzymać, ale w pracy z dziećmi trzeba być elastycznym i dostosowywać się do indywidualnych potrzeb.

Zadowolona z siebie, schowała ręce do kieszeni fartucha.

- Wstajemy o szóstej trzydzieści. Punktualnie o siódmej jest śniadanie. Inspekcja domków odbywa się o siódmej trzydzieści, a o ósmej zaczynamy zajęcia. Ja zajmuję się stajnią i końmi, ale jeśli zachodzi potrzeba, to pomagam gdzie indziej.

- Eden... - Zaciskając rękę na jej łokciu, Eric przystanął i obrócił ją twarzą do siebie. Patrząc na jego gładkie, jasne włosy, którymi poruszał wiatr, pomyślała o ciemnej, wiecznie rozczochranej czuprynie Chase'a. - Aż trudno uwierzyć, że całe lato spędziłaś w prymitywnej drewnianej chatce, ucząc nastolatki jazdy konnej.

- Tak? - Uśmiechnęła się. Ericowi faktycznie trudno było w to uwierzyć. Miał stadninę koni, lecz nigdy nie trzymał w ręku miotły lub wideł. - Robiłam również inne rzeczy. Łaziłam po górach, pocieszałam dziewczynki, ilekroć którąś nachodziła tęsknota za rodzicami, smarowałam te, które wpadły w trujący bluszcz, pływałam, wiosłowałam po jeziorze, pomagałam rozwiązywać problemy miłosne, udzielałam rad na temat mody, wspólnie z dziewczynkami uczyłam się odróżniać piętnaście różnych rodzajów kwiatów polnych. Pokazać ci stajnię? - Nie czekając na odpowiedź, skierowała się przed siebie.

- Eden. - Eric ponownie chwycił ją za łokieć. Ledwie się powstrzymała, żeby nie dźgnąć go łokciem w brzuch. - Jesteś zła. Nie powinienem się dziwić, ale...

- Zawsze lubiłeś konie. - Otworzyła drzwi na oścież. Eric pośpiesznie odskoczył na bok, w ostatniej chwili ratując nos. - Mamy dwie klacze i cztery wałachy. Jedna z klaczy to już staruszka, ale druga nadaje się do rozplodu. Dziewczynki bardzo by się ucieszyły ze źrebaków. W pierwszym boksie stoi Wódz.

- Eden, proszę cię. Musimy porozmawiać.

Zesztywniała, kiedy położył ręce na jej ramionach, lecz nie tracąc zimnej krwi strząsnęła je z siebie.

- Wydawało mi się, że rozmawiamy - oznajmiła spokojnym, lodowatym tonem.

- O nas, kochanie. Musimy porozmawiać o nas - próbował zaapelować do jej rozsądku.

- O jakich nas?

Sięgnął po jej rękę, lecz ją wyszarpnęła. Przyjął to z pobłażaniem. Naprawdę by się zdziwił, gdyby na powitanie rzuciła mu się na szyję. Od wielu dni zastanawiał się, jak najlepiej załagodzić sytuację. Rozważał różne warianty, wreszcie uznał, że najlepszą taktyką będzie, gdy okaże żal, skruchę i zrozumienie.

- Masz prawo być na mnie wściekła. Masz prawo chcieć, bym cierpiał.

Poczuła, jak złość podchodzi jej do gardła, lecz zdołała ją powściągnąć. Nie zamierzała kłócić się z Erikiem ani tłumaczyć mu

czegokolwiek. Nie zasługiwał na to, by mu okazywać jakiegokolwiek emocje, nawet negatywne. Zasługiwał wyłącznie na obojętność.

- Nie interesuje mnie, czy cierpisz, czy nie. - Uświadomiła sobie, że nie do końca jest to prawdą. Z radością by się przyglądała, jak Eric zwija się z bólu. Wszystko dlatego, że przyjechał z Dottie. Że miał czelność pojawić się jak gdyby nigdy nic, i myśleć, że porzucona eksnarzeczona przyjmie go z otwartymi ramionami.

- Uwierz mi, kochanie, naprawdę nie było mi lekko. Bardzo za tobą tęskniłem. Przyjechałbym znacznie wcześniej, ale bałem się, że odprawisz mnie z kwitkiem.

To był mężczyzna, z którym zamierzała spędzić resztę życia! Mężczyzna, z którym chciała mieć dzieci. Wbiła w niego wzrok. Miała wrażenie, jakby uczestniczyła w jakiejś farsie.

- Przykro mi, Ericu, chociaż nie rozumiem twojej tęsknoty. Przecież kierowałeś się rozsądkiem.

Mylnie odczytując jej spokojny ton, podszedł do niej.

- To prawda. - Potarł jej ramiona takim samym gestem jak dawniej. - Jednak przez te miesiące rozłąki zrozumiałem, że nie zawsze rozsądek jest najważniejszy.

- Tak sądzisz? - Uśmiechnęła się kpiąco. Była zdumiona, że Eric nie wyczuwa jej niechęci. - A cóż jest od niego ważniejsze?

- Życie. - Poglądził ją po twarzy. - Sprawy osobiste.

Pochylił głowę. Kąciki ust lekko mu zadrżały. Natomiast niechęć Eden przeszła w złość, a złość w lodowatą pogardę. Czy naprawdę uważa ją za idiotkę? Czy naprawdę sądzi, że nie zdoła mu się oprzeć?

Uświadomiwszy sobie, że odpowiedz na oba pytania brzmi „tak”, omal nie parsknęła śmiechem.

Pozwoliła się pocałować. Dotyk jego warg pozostawił ją całkowicie obojętną. Niesamowite było to, że zaledwie parę miesięcy temu pocałunki Erica przyprawiały ją o dreszcze. Na pewno nie o takie jak pocałunki Chase'a, ale jednak sprawiały jej przyjemność. Myślała, że tak ma być, że na tym to wszystko polega.

Teraz nie czuła nic. Ten brak emocji spowodował również wygaśnięcie złości. Miała pełną kontrolę nad Erikiem, nad sobą, nad sytuacją. Chociaż jego usta próbowały ją zwabić, stała bez ruchu, czekając na koniec przedstawienia. Kiedy uniósł głowę, położyła rękę na jego ramionach i odsunęła się. W tym samym momencie w otwartych drzwiach stajni dojrzała Chase'a.

Nie widziała wyrazu jego twarzy, gdyż słońce świeciło jej prosto w oczy. Zmrużyła powieki, ale niewiele to pomogło. Po chwili, przesywając ją druzgocącym spojrzeniem, Chase wszedł do środka.

W gardle jej zaschło. Nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

- Witaj, Keeton. - Skinął Ericowi na powitanie.

Wolał nie ryzykować uścisku dłoni, wiedział bowiem, że pewnie nie oparłby się pokusie i połamałby rywalowi wszystkie palce.

- Cześć, Elliot. - Eric odpowiedział takim samym skinieniem. - No tak, zapomniałem. Przecież masz ziemię w tych stronach, prawda?

- Owszem. - Miał ziemię, miał również ochotę zamordować drania, zaraz, teraz, w tej stajni, na oczach Eden. A potem zamordować ją.



- Więc przypuszczalnie znasz pannę Carlbough. - Eric otoczył ją ramieniem, jakby wciąż była jego narzeczoną.

Chase powiódł wzrokiem za jego ręką, po czym utkwił spojrzenie w twarzy Eden. Zamierzała strącić ramię Erica, ale nagle zastygła w bezruchu. Czym było to, co zobaczyła w oczach Chase'a? Gniewem czy pogardą?

- Owszem, wpadliśmy na siebie parę razy. - Wsunął ręce do kieszeni, gdzie zwinęły się w pięści.

- Chase wspaniałomyślnie pozwolił nam korzystać z jeziora, a także oprowadził po sadzie. - Przetykając dumę, błagała go wzrokiem, by jej pochopnie nie oceniał.

- Aha, czyli mieszka całkiem blisko? - spytał Eric.

Nie uszła jego uwadze wymiana spojrzeń między Elliotem a Eden. Na wszelki wypadek zacisnął mocniej rękę, która spoczywała na jej ramieniu.

- Całkiem blisko - potwierdził Chase.

Patrzyli na siebie, nie na nią. Czuła się nieswojo. W końcu jeżeli to z jej powodu panowało między nimi napięcie, to chciała zabrać głos, lecz wyraz oczu Chase'a wprawiał ją w zakłopotanie. Odsunawszy się od Erica, postąpiła krok w stronę drzwi.

- Chciałeś się ze mną zobaczyć? - spytała Chase'a.

- Tak. - Chciał więcej, znacznie więcej, ale widok Eden w objęciach Erica wstrząsnął nim do głębi. Czuł pustkę, a zarazem pałał chęcią mordy. - Ale to nic ważnego.

- Chase...

- Och, dzień dobry. - W drzwiach pojawiła się Candy z ciotką Dottie u boku. - Przedstawiam ci naszego sąsiada, pana Chase'a Elliota.

Dottie zmrużyła z namysłem oczy.

- Elliot? Elliot? Skąd ja znam to nazwisko? Już wiem! Czy myśmy się nie poznali kilka lat temu? Pan jest... tak, na pewno! Pan jest wnukiem Jessie Winthrop.

Chase uśmiechnął się ciepło.

- Owszem, jestem. I doskonale panią pamiętam, pani Norfolk. Nic się pani nie zmieniła.

Wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Od tamtej pory minęło co najmniej piętnaście lat i drobne zmiany jednak zaszły. Ty, mój chłopcze, byłeś o jakieś pół metra niższy niż obecnie. - Zmierzyła go wzrokiem i pokiwała z uznaniem głową. - Zaraz, zaraz... hodujesz jabłka, prawda? No, tak, Jabłka Elliota. Któż by nie słyszał o tej firmie.

Wyczuwając napięcie w powietrzu, niemal widząc iskry lecące między Chase'em a Eden, Dottie uzmysłowiła sobie, że popełniła błąd. Nie powinna była przywozić tu Erica. No cóż, pomyślała, każdy błąd można naprawić. Uśmiechając się słodko, popatrzyła na bratanicę.

- Candy właśnie mi opowiedziała o wieczornej imprezie. Mam nadzieję, że jesteśmy zaproszeni?

- Zaproszeni? - powtórzyła Eden, jakby nie bardzo kojarząc, o czym mowa. - Ach, masz na myśli zabawę pożegnalną? - Widok ciotki w eleganckich włoskich pantoflach i kostiumiku, który musiał

kosztować więcej niż każdy z tutejszych koni, wprowadził Eden w dobry humor.

- Ciociu Dottie, zamierzasz tu tkwić do wieczora?

- Z całą pewnością nie - oznajmiła. - Eric i ja zatrzymaliśmy się w hotelu kilkanaście kilometrów stąd. - Obracając w palcach sznur pereł, zamyśliła się. Nie, absolutnie nie zamierzała spędzić paru godzin w jednym z tych małych, dusznych domków, ale nie chciała przegapić tego, co wieczorem się wydarzy. - Byłabym jednak niepokieszona, gdybyś nie zaprosiła nas na wieczorną imprezę.

Uśmiechnęła się przyjaźnie do Chase'a.

- Ty oczywiście też przyjedziesz, prawda?

- Oczywiście - odparł Chase, widząc, że stara dama coś knuje.

- Świetnie. - Dottie ponownie ujęła Candy pod ramię. - A zatem wszyscy spotykamy się wieczorem.

- Tak, wieczorem... - powiedziała Candy, spoglądając przepraszająco na przyjaciółkę.

- Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę. - Dottie poklepała ją po ręku. - Będziemy się doskonale bawić. Prawda, Eden?

- Prawda, ciociu - potwierdziła jej bratanica, zastanawiając się nerwowo, gdzie by się schować.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Problemów było mnóstwo, a największy z nich to sześćdziesięcioro nastolatków pod jednym dachem. Eden dwoiła się i troiła, starając się nad wszystkim zapanować. Wiedziała, że musi

zapomnieć o Ericu i Chasie, odłożyć sprawy osobiste na później. W tej chwili zabawa pożegnalna niepodzielnie zaprzętała jej uwagę.

Chłopcy przyjechali o ósmej wieczorem. Patrząc, jak wysiadają z wozów, doszła do wniosku, że są równie zdenerwowani jak dziewczęta. Przypomniała sobie pierwsze bale, na które sama uczęszczała. Też była spięta, też miała wilgotne dłonie. Do pewnego stopnia głośna muzyka pomagała młodzieży przezwyciężyć nieśmiałość.

Na stołach ustawiono napoje. W ponczu można by się wykapać, tak wiele przygotowano go w kuchni. Były oczywiście też przekąski. Candy wygłosiła krótkie przemówienie, witając wszystkich serdecznie i życzyła wspaniałej zabawy. Oczywiście dziewczynki stały na jednym końcu sali, chłopcy na drugim.

Jak zawsze przy takich okazjach, największym problemem było to, że nikt nie chciał pierwszy wyjść na parkiet. Eden zaradziła temu na swój sposób, a mianowicie do dwóch misek wrzuciła dwa zestawy ponumerowanych karteczek. Chłopcy ciągnęli kotyliony z jednej miski, dziewczynki z drugiej. Jedyńka tańczyła z jedynką, dwójka z dwójką i tak dalej. Może nie był to zbyt oryginalny pomysł, ale przynajmniej zdał egzamin.

Po pierwszym tańcu Eden wymknęła się do kuchni, żeby sprawdzić, czy niczego nie brakuje. W stołówce została Candy, która miała nadzorować młodzież i zabawiać wychowawców z obozu dla chłopców. Kiedy Eden wróciła, na parkiecie może nie panował ścisk,

ale tym razem dziewczynki i chłopcy sami dokonali wyboru, z kim chcą tańczyć.

- Panno Carlbough?

Postawiwszy na długim stole miskę z chipsami, Eden obejrzała się i prawie nie poznała Roberta. Włosy, które dziewczynka zwykle nosiła rozpuszczone i strasznie poskręcane, teraz były gładko zaczesane do tyłu i zebrane w koński ogon. W uszach połyskiwały maleńkie turkusowe gwiazdki, pasujące kolorem do lekko pomarszczonej bluzki. Piegi na twarzy znikły pod cieniutką warstwą pudru, który musiała wycyganić od starszych koleżanek. Eden pominęła ten fakt milczeniem.

- Cześć, Roberto. - Wzięła ze stołu dwa precle i podała jeden dziewczynce. - Nie tańczysz?

- Zaraz zatańczę. - Roberta zerknęła za siebie. - Najpierw chciałam z panią porozmawiać.

- Tak? - Dziwne, pomyślała Eden. Widziała chudego szatyna, którego Roberta sobie upatrzyła, a nie należała do nieśmiałych, zahukanych dziewcząt, które potrzebują słowa zachęty. - O czym, kochanie?

- Widziałam tego gościa w rollsie.

W innej sytuacji Eden zwróciłaby podopiecznej uwagę, że nie wypada mówić z pełnymi ustami, ale tym razem spytała jedynie:

- Chodzi ci o pana Keetona?

- Zdaniem niektórych dziewczyn jest całkiem fajny.

- Hm. - Eden również odgryzła kawałek precla.

- Kilka z nich twierdzi, że pani się w nim durzy. Że się posprzeczałyście, tak jak Romeo i Julia. I teraz on przyjechał błagać panią o wybaczenie. A pani będzie się z nim droczyć, może jeden wieczór, może dwa, ale w końcu zrozumie, że nie może bez niego żyć. I że się pobierzecie.

Słuchała, trzymając precla nieruchomo w palcach. Po chwili potrząsnęła zdumiona głową.

- No proszę, mamy gotowy scenariusz.

- Powiedziałam tym dziewczynom, że plotą banialuki.

- Tak powiedziałaś? - spytała Eden, starając się zachować powagę.

- No pewnie. - Roberta chwyciła garść chipsów. - Powiedziałam, że pani jest za mądra, by lecieć na faceta w rollsie. I że daleko mu do pana Elliota. - Obejrzała się przez ramię, jakby szukając potwierdzenia. - Poza tym jest od niego niższy.

- Masz rację, sporo niższy.

- Nie wygląda na kogoś, kto dla zabawy wskoczyłby do jeziora.

Eden usiłowała sobie wyobrazić wpółubranego Erica, który wskakuje do zimnej wody. Lub który wręcza jej bukiet polnych kwiatów. Albo leży na trawie i wpatruje się w gwiazdy na niebie.

- Masz rację, Eric nigdy by tego nie zrobił - przyznała z uśmiechem.

- Dlatego powiedziałam dziewczynom, że plotą banialuki - oznajmiła Roberta, garściami pożerając chipsy. - Chciałabym później zatańczyć z panem Elliotem, ale na razie zajmę się Bobbym. - Poszła

na drugi koniec sali i zdecydowanym ruchem pociągnęła na parkiet chudego ciemnowłosego chłopca.

Przyglądając się tancerzom, Eden zaczęła rozmyślać o Chasie. Nagle uświadomiła sobie, że dotąd wszystkich znajomych mężczyzn porównywała ze swoim ojcem. Tylko Chase'a nie. Po prostu się w nim zakochała. Teraz musi zdobyć się na odwagę, żeby go o tym poinformować.

- A więc tak się młodzi dziś zabawiają.

Odwróciwszy się, napotkała wzrok Dottie. Na pożegnalny bal w Obozie Liberty włożyła kostium z fioletowej koronki. Sznur pereł zastąpiła pojedynczym rubinem. Suczka Bubu miała przymocowaną do grzywki klamerkę. Oby połyskiwały w niej kryształki, przeniknęło Eden przez myśl, a nie prawdziwe brylanty.

- Jak hotel? - Czując przyływ wzruszenia, pocałowała ciotkę w policzek. - W miarę wygodny?

- W miarę. - Częstując się chipsem, Dottie zmierzyła bratanicę od stóp do głów. W popielatoszarej, zapinanej pod szyję sukni z jedwabiu stanowiła uosobienie prostoty i niewinności. Pokiwała z aprobatą. - Uf, przynajmniej wciąż masz dobry gust.

Śmiejąc się wesoło, Eden ponownie ją pocałowała.

- Stęskniłam się za tobą, ciociu. Dobrze, że mnie odwiedziłaś.

- Naprawdę? - Jak zawsze dyskretna poprowadziła bratanicę w stronę siatkowych drzwi. - Nie byłam pewna, czy się ucieszysz - dodała, wychodząc na zewnątrz. - Zwłaszcza biorąc pod uwagę, z kim przyjechałam.

- Z twoich odwiedzin bardzo się cieszę.

- Ale nie z odwiedzin Erica?

Eden oparła się o poręcz werandy.

- Myślałaś, że jego widok mnie ucieszy?

- Tak. - Dottie westchnęła cicho. - Naprawdę tak myślałam.

Oczywiście po pięciu minutach zorientowałam się, że popełniłam błąd. Skarbie, ja tylko chciałam ci pomóc.

- Wiem, ciociu. I kocham cię za to.

- Sądziłam, że cokolwiek was poróżniło, należy do przeszłości. - Zapominając się, poczęstowała Bubu chipsem. - Prawdę rzekłszy, po rozmowie z Erikiem byłam pewna, że przywożąc go tutaj, ratuję ci życie.

- Wyobrażam sobie, co ci nagadał.

- No cóż... - Wzruszyła ramionami, a rubin na jej piersi zamigotał.

- Nigdy nie mówiłaś, dlaczego tak nagle odwołaliście ślub.

Eden już chciała wyznać prawdę, uznała jednak, że po tylu miesiącach nie ma sensu do tego wracać. Co by to dało? Nie chciała współczucia, nie chciała też mścić się na Ericu. Nawet tego nie był wart.

- Uznaliśmy, że nie pasujemy do siebie.

- A mnie się wydawało, że pasujecie wręcz idealnie. - Ze stołówki doleciała głośna muzyka i wybuch śmiechu. Dottie obejrzała się przez ramię. - Eric też tak myśli. W ostatnim czasie kilka razy złożył mi wizytę.



Odgarniając włosy z twarzy, Eden wbiła wzrok w niebo. Może Eric odkrył, że nazwisko Carlbough nie jest tak okryte hańbą, jak sądził? Nie chciała być cyniczna, ale żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło jej do głowy. Na pewno zrozumiał, że prędzej czy później, dzięki spadkom po różnych członkach rodziny, Eden, odzyska dawną pozycję materialną.

- Eric się myli, ciociu. Wierz mi, on nic do mnie nie czuje. Byliśmy z sobą z przyzwyczajenia, jakby siłą rozpędu - wyjaśniła literalnie, widząc zdziwienie w oczach Dottie. - Ja też go nie kocham. Nigdy nie kochałam. Dopiero niedawno uświadomiłam sobie, że gdybym za niego wyszła, zrobiłabym to z niewłaściwych pobudek.

Wyciągnęła rękę do ciotki.

- Bo wszyscy tego oczekiwali. Bo tak by było prościej. Bo... - Odetchnęła głęboko. - Bo wydawało mi się, że Eric jest taki jak tata.

- Och, skarbie...

- To moja wina. Wszystkich mężczyzn, z którymi się spotykałam, porównywałam z tatą. Tatuś był najcudowniejszym, najszlachetniejszym człowiekiem pod słońcem. Ubóstwiałam go, świetnie o tym wiesz, ale nie powinnam sądzić innych według jego miary.

- Wszyscy kochaliśmy Briana. - Przytuliła bratanicę do piersi. - Masz rację, był dobrym, uczciwym człowiekiem. Wprawdzie za często grywał na...

- Jego zamiłowanie do hazardu w ogóle mi nie przeszkadzało. - Uwolniwszy się z objęć ciotki, Eden uśmiechnęła się smutno. - Gdyby

tak nagle nie umarł, na pewno zdołałby pospłacać długi. Teraz to już nieważne. - Na moment zamilkła. - Wdałam się ojca. Też jestem hazardzistką. - Zatoczyła ręką łuk obejmujący teren obozu.

- Och, skarbie, mnóstwo macie wspólnego. Parę miesięcy temu, kiedy powiedziałaś mi o swoich planach, ba, jeszcze dziś, kiedy tu przyjechałam, myślałam, że moja biedna Eden całkiem oszalała. Ale kiedy się temu wszystkiemu przyjrzałam, tym domkom, zadowolonym dziewczynkom, tobie, stwierdziłam, że wcale nie zwariowałaś. Że miałyście z Candy genialny pomysł. Jestem z ciebie dumna, skarbie. Ojciec też byłby z ciebie dumny.

Oczy Eden zaszczyły łzami.

- Nawet nie wiesz, ciociu, ile to dla mnie znaczy. Po śmierci taty, kiedy musiałam wszystko sprzedać, czułam się tak, jakbym go zdradziła.

- Och, nie. - Pogładziła bratanicę po twarzy. - To, co zrobiłaś, wymagało ogromnej odwagi. Chciałam ci tego zaoszczędzić, ale...

- Wiem. I jestem ci wdzięczna. Musiałam jednak podjąć radykalne kroki.

- Teraz to rozumiem. Kochanie, zapamiętaj jedno: nigdy, przenigdy się ciebie nie wstydziałam. I jeszcze jedno: mój dom zawsze stoi przed tobą otworem.

- Dziękuję.

- Wiesz co? Za pięć lat Liberty będzie najwspanialszym obozem letnim na Wschodnim Wybrzeżu.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. - Eden roześmiała się. Ciężar, który dźwigała od śmierci ojca, spadł jej z serca.

- Hm... - Dottie powiodła spojrzeniem po terenie. - Przydałby się basen, a dziewczynkom systematyczne lekcje pływania. Jezioro nie rozwiązuje sprawy. Wiesz co? Podaruję go wam w prezencie.

Eden natychmiast się zjeżyła.

- Ciociu, ja...

- Przez wzgląd na pamięć twojego ojca - dodała szybko. - Nie wypada ci odmówić. Posłuchaj, skoro mogę ofiarować szpitalowi nowe skrzydło, mogę również, w imieniu swojego brata, podarować jego córce basen, z którego będą korzystać uczestniczki prowadzonego przez nią obozu. Nawet nie wiesz, jak się ucieszy mój księgowy. A teraz powiedz, co mam zrobić. Zabrać Erica i wrócić do domu?

Oszołomiona szczodrym gestem ciotki, Eden westchnęła cicho.

- Eric nic dla mnie nie znaczy. A ty zostań, jak długo tylko chcesz.

- Świetnie, bo mnie i Bubu bardzo się tu podoba. - Pochyliwszy głowę, Dottie potarła czołem o psi łebek. - Aha, zanim rzucę się w tany, chciałam cię, skarbie, jeszcze o coś spytać. Kiedy dziś po południu weszłam do stajni, czułam... hm, jakby w powietrzu latały iskry. Czyżbyś się zakochała?

- Ciociu...

- Rozumiem. I pochwalam. Bubu była oczarowana.

- Ciociu...

Dottie przytuliła mocniej suczkę.

- Och, przestań. Uwielbiam romanse... A cóż to? Kolejni goście? - spytała, patrząc, jak na podjeździe parkuje lamborghini. - Dobry wieczór! - zwołała na widok wysiadającego z wozu Chase'a, po czym mrugnęła do bratanicy.

- Masz doskonały gust. Wiesz co? Muszę napić się ponczu. Nie otruję się, mam nadzieję.

- Sama go robiłam.

- Sama? No trudno, też mam w sobie żyłkę hazardzisty.

Eden odprowadziła ciotkę wzrokiem do drzwi, po czym obróciła się do Chase'a.

- Cieszę się, że...

Nie zdołała nic więcej powiedzieć. Nawet nie zdążyła się zdziwić. Przywarł ustami do jej ust, a ona odruchowo objęła go za szyję.

Tak z Erikiem nigdy się nie czuła, pomyślał Chase, kiedy się w niego wtopiła. Na niczyje pocałunki nie reagowała tak namiętnie. I na niczyje nie będzie, już on tego dopilnuje.

Cofnął się nieco.

- Co... - Prawie nie mogła mówić. - Dlaczego...

Ujmując ręką jej włosy, delikatnie przysunął Eden do siebie. Ich usta niemal się stykały.

- Chciałem cię pocałować - szepnął. - Masz jakieś zastrzeżenia?

- Chyba nie.

- Chyba? - Popchnął ją w stronę świateł i muzyki. - Jak będziesz wiedzieć na sto procent, daj mi znać.

Nie chciała przyznać, że z tchórzostwa dzieli czas między dziewczynki a wychowawców z obozu dla chłopców. Tłumaczyła sobie, że zajmowanie się gośćmi należy do jej obowiązków. Poza tym tego wymagała zwykła przyzwoitość. Prawda była jednak taka, że przed rozmową z Chase'em potrzebowała czasu, aby wszystko spokojnie przemyśleć.

Obserwując, jak tańczy z Robertą, miała ochotę rzucić mu się w ramiona i wyznać, że go kocha, lecz strasznie się bała. Nie chciała wyjść na idiotkę. Przecież nawet nie spytał o Erica. A skoro tak, to może nie był ciekaw. A jeśli nie był ciekaw, to może mu na niej nie zależy. Tak czy inaczej postanowiła, że zanim wieczór dobiegnie końca, porozmawia z Chase'em. Wyjaśni mu, dlaczego dziś po południu Eric ją pocałował. Ale jeszcze nie teraz, bo musi przygotować się do rozmowy, żeby niczego nie zepsuć.

Bal pożegnalny okazał się strzałem w dziesiątkę. Wszyscy świetnie się bawili. Wychowawcy obu obozów zgodnie postanowili, że musi to być doroczna impreza. Candy kipiała pomysłami, co jeszcze można by wspólnie robić. Eden nie wtrącała się, pozwalając przyjaciółce rozwinąć skrzydła. Sama później podliczy koszty i dopilnuje szczegółów.

Na razie zajmowała się dziesiątkami spraw i nie miała czasu na prawdziwą rozmowę ani z Erikiem, ani z Chase'em. To znaczy rozmawiała z nimi, z Chase'em nawet zatańczyła, ale wszystko

odbywało się w biegu, na zatłoczonej sali. Poważną rozmowę odkładała na później.

- Podoba się panu, prawda? - spytała Roberta, widząc, jak Chase wodzi wzrokiem za Eden.

- Co? Kto? - Rozkojarzony Chase spojrzał na dziewczynkę, z którą kręcił się po parkiecie.

- Panna Carlbough. Wcale się nie dziwię, jest bardzo ładna. Wygrała w naszym głosowaniu na najładniejszą opiekunkę, mimo że panna Allison ma większy... - Urwała, jakby nagle uświadomiła sobie, że o pewnych częściach damskiej anatomii nie rozmawia się z mężczyznami. - Większy... no...

- Rozumiem - powiedział z uśmiechem Chase.

- Niektóre koleżanki uważają, że pan Keeton jest boski - kontynuowała dziewczynka.

- Tak? - Chase zerknął na rywala i uśmiech na jego twarzy zamienił się w grymas.

- Moim zdaniem ma za cienki nos.

- Niewiele brakowało, bym mu go złamał.

- I oczy ma zbyt blisko osadzone. Ja zdecydowanie bardziej wolę pana.

Wzruszony przypomniał sobie swoją pierwszą miłość.

- Fajna z ciebie dziewczyna - powiedział serdecznie.

Patrzyła spod oka, jak Chase tańczy z Robertą. W pewnym momencie pocałował ją w czoło, a ona się rozpromieniła. Eden potrząsnęła głową. Czyżby była zazdrosna o dwunastolatkę? Nie, to

jakiś absurd. Po prostu zmęczenie dawało się we znaki. Właściwie non stop krążyła między kuchnią a stołem. W dodatku muzyka dudniła na cały regulator, a dzieciaki krzyczały, żeby w ogóle się słyszeć.

Pięć minut, uznała. Wyjdzie na pięć minut, żeby побыć sama z dala od zgiełku.

Świeże nocne powietrze pachnące trawą i fuksją podziałało na nią kojąco. Kilka razy odetchnęła głęboko. Księżyc przypominał wąski rożek. Od przyjazdu tutaj kilka razy widziała zmieniające się fazy: nów, kwadrę, pełnię. Tak naprawdę to w ciągu ostatnich trzech miesięcy częściej patrzyła w niebo niż przez całe życie. Stała z zadartą głową, szukając konstelacji, które Chase jej kiedyś pokazał, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek pokaże jej kolejne.

Zeszła po schodkach z werandy i ruszyła przed siebie po trawie. Hałasy dobiegające z sali stawały się coraz cichsze. Po chwili przystanąła i oparła się o pień starego orzesznika. Jak miło wreszcie być samą, pomyślała. W długie zimowe wieczory będzie wspominać ten ciepły, pogodny wieczór.

Nagle usłyszała skrzypienie siatkowych drzwi i zobaczyła zbliżającą się postać.

- Eric? - Nawet nie próbowała ukryć irytacji w głosie.
- Nie pamiętam, abyś kiedykolwiek wyszła wcześniej z przyjęcia.
- Zmieniłam się.
- Zauważyłem.

Przestąpił nerwowo z nogi na nogę. Kiedy wyciągnął do niej rękę, Eden nie drgnęła. Nawet nie poczuła jego dotyku.

- Nie skończyliśmy rozmawiać.

- Skończyliśmy. Dawno temu.

- Eden. - Pogładził ją po policzku. - Przyjechałem kawał drogi, żeby się z tobą zobaczyć. Żeby naprawić relacje między nami.

- Nie ma nic do naprawiania. Niepotrzebnie się fatygowałeś. - Złość, którą czuła, rozplynęła się. Teraz, patrząc na Erica, miała wrażenie, że patrzy na obcego człowieka. - Nie warto tego wałkować. Po prostu zostawmy wszystko, jak jest.

- Zachowałem się jak ostatni krety. - Najwyraźniej sadył, że przyznając się do winy, sprawi, że czas się cofnie. - Wiem, że wyrządziłem ci krzywdę. Ale myślałem nie tylko o sobie, również o tobie.

- O mnie? - Nie miała ochoty wdawać się w dyskusję. - Niech ci będzie. A teraz przepraszam...

- Nie bądź uparta, Eden. - W jego głosie pojawiła się nuta zniecierpliwienia. - Dobrze wiesz, jak trudno byłoby ci uśmiechać się do gości na ślubie, kiedy wszyscy szeptałiby o skandalu.

Zamierzała odejść, lecz została. Ponownie oparła się o pień drzewa. A jednak tliła się w niej złość. Nie tak zapiekła jak na początku, ale wyraźnie ją czuła. Hm, a może lepiej wszystko z siebie wyrzucić, niczego nie tłamsić?

- Co rozumiesz przez skandal? Nieudane inwestycje mojego ojca?



- Eden. - Przysunął się i położył rękę na jej ramieniu. - Twoja sytuacja zmieniła się tak dramatycznie, kiedy zmarł twój ojciec i zostałeś nagle...

- Pozbawiona środków do życia - dokończyła za niego. - Owszem, masz rację. Moja sytuacja radykalnie się zmieniła. I właśnie dzięki temu dojrzałam. - Mówiła zirytowanym tonem, jakby usiłowała opędzić się od muchy, która ciągle wraca. - Pojęłam, co jest ważne w życiu. I na pewno nie są to pieniądze.

Mina Erica świadczyła o tym, że niczego nie rozumie, że nigdy nie zrozumie tego, kim Eden się stała.

- Może to cię dziwi, ale nie obchodzi mnie, co inni myślą o moim tak zwanym upadku ani o tym, jak teraz żyję. Po raz pierwszy od lat mam to, na czym mi zależy, a wszystko zawdzięczam wyłącznie sobie.

- Ten skromny obóz jest tym, o czym marzyłeś? Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę? - Owinął wokół palca kosmyk jej włosów. - Kobieta, którą znałem i z którą się zaręczyłem, nigdy nie wybrałaby takiego życia zamiast życia, jakie nas czeka w Filadelfii.

- Znow muszę przyznać ci rację. - Uwolniła kosmyk z jego palców. - Ale już nie jestem kobietą, którą znałeś.

- Nie bądź śmieszna. - Po raz pierwszy od przyjazdu poczuł panikę. Czyżby przebył taki kawał drogi tylko po to, by zostać upokorzonym? - Wróc ze mną do hotelu. Jutro rano pojedziemy do Filadelfii i się pobierzemy, jak to planowaliśmy.

Patrzyła na niego uważnie, zastanawiając się, czy czuje do niego choć odrobinę sympatii. Nie, nie czuła. Ani sympatii, ani szacunku.

- Dlaczego to robisz, Ericu? Przecież mnie nie kochasz. Zresztą nigdy nie kochałeś, bo nie zostawiłbyś mnie, kiedy najbardziej cię potrzebowałam.

- Eden...

- Pozwól mi skończyć. - Z jawną niechęcią odepchnęła go od siebie. - Nie interesują mnie twoje przeprosiny ani wyjaśnienia. Już nic dla mnie nie znaczysz.

Powiedziała to tak dobitnie i z taką prostotą, że niemal jej uwierzył.

- Ależ kochanie, przecież wiesz, że to nieprawda. Mieliśmy się pobrać...

- Owszem, mieliśmy. A wiesz, dlaczego? Bo z różnych powodów nam to pasowało. I tobie, i mnie. Widzisz? Część winy biorę na siebie.

- Nie mówmy o winach. Pokażę ci, ile nas łączy... Powstrzymała go samym spojrzeniem.

- Już nie jestem zła. I już nie mam do ciebie pretensji, żalu czy złości. Bo to są emocje. A ja nie tylko nie kocham cię, ale po prostu nic do ciebie nie czuję. Nawet żalu czy złości. I choćby z tego prostego powodu najzwyczajniej w świecie nie chcę być z tobą.

Zamurowało go. Przez chwilę milczał. Kiedy w końcu się odezwał, Eden ze zdumieniem usłyszała autentyczne poruszenie w jego głosie. Jakby targały nim prawdziwe uczucia.

- Już sobie znalazłaś kogoś na moje miejsce? Szybko się uwinęłaś!

Omam nie wybuchnęła śmiechem. Rzucił ją w przeddzień ślubu, a teraz gra rolę zdradzonego kochanka. A raczej kogoś, czyje samolubne i rozdęte do niepojętych rozmiarów ego zostało dotknięte do żywego. Po prostu był przekonany, że po tym, jak ją haniebnie odtrącił, powinna w samotności i pokorze czekać, aż łaskawie znów skinie na nią palcem.

- Ta rozmowa staje się coraz bardziej niedorzeczna. Ericu, nie chodzi o to, czy mam kogoś, czy nie, tylko o to, że wreszcie powinienesz przejrzeć na oczy i zrozumieć, co tak naprawdę się stało i jakie są tego nieodwracalne konsekwencje. Ja zrobiłam to już dawno. Przeanalizowałam i siebie, i swoje postępowanie, a co najważniejsze, wreszcie zobaczyłam twoje prawdziwe oblicze.

- A Chase Elliot wydatnie ci w tym pomógł, czy tak? Bo gdy...

- Nie masz prawa o nic mnie wypytywać!

Kiedy chciała go ominąć, chwycił ją brutalnie za łokieć. Musiała się więc zatrzymać. Wbiła w niego wzrok. Jest jak dziecko, pomyślała, które wyrzuciło ulubiony samochodek, a teraz tupie nóżką, bo chce go mieć z powrotem. Czując, że wstępuje w nią wściekłość, przybrała pozę chłodnej obojętności.

- Cokolwiek łączy mnie z Chase'em, w żadnym razie nie powinno cię to obchodzić.

No, nareszcie miał przed sobą zimną, dumną kobietę, którą tak dobrze znał.

- Mylisz się. Obchodzi mnie wszystko, co dotyczy ciebie - powiedział łagodnie.

Westchnęła znużona.

- Ericu, nie rób tego. Nie upokarzaj się.

Zanim zdołała się od niego uwolnić, siatkowe drzwi ponownie się otworzyły.

- Zdaje się, że znów wam przeszkadzam. - Chase zszedł po schodkach i ruszył w ich stronę.

- To brzydki zwyczaj. - Eric wysunął się przed Eden. - Nie widzisz, że rozmawiamy? Nie uczą was manier na prowincji?

Uczą, ale innych, odparł w myślach Chase. Ciekawe, czy temu wymuskanemu dupkowi z Filadelfii spodoba się rozkwaszony nos. Zresztą nieważne, czy się spodoba.

Odczytując zamiary Chase'a, Eden stanęła między nimi.

- Już skończyliśmy - rzekła, ale równie dobrze mogłaby być niewidoczna i niesłyszalna. - Miałeś wystarczająco dużo czasu, żeby się nagadać.

Chase nie spuszczał oczu z Erica.

- Nie twój interes, jak długo rozmawiam ze swoją narzeczoną.

- Narzeczoną? - oburzyła się Eden, ale Eric zbył ją milczeniem.

- Nie było cię parę miesięcy, Keeton - oznajmił cicho Chase. - W tym czasie zaszły pewne zmiany.

- Zmiany? - Eden zwróciła się do Chase'a, ale on też nie zareagował. - O czym ty mówisz?

Wziął ją za rękę.

- Obiecałaś, że ze mną zatańczysz.

Eric natychmiast chwycił jej drugą dłoń.

- Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać.

Chase obrócił się do niego twarzą. W oczach miał niczym nieskrywaną żądzę krwi.

- Owszem, skończyliście. Eden idzie ze mną.

Z furją oswobodziła się.

- Przestańcie, do jasnej cholery!

Aż jej pociemniało w oczach ze złości. Co to ma znaczyć?! Szarpali ją to w jedną to w drugą stronę, nawet nie pytając o zdanie. Po raz pierwszy w życiu zapomniała o zasadach dobrego wychowania, o kulturze, o powściągnięciu emocji, i posłuchała rady, której kiedyś udzielił jej Chase: „Jak jesteś wściekła, to krzycz!”.

- Boże, co z was za kretyni! - Pokręciła z furją głową. Włosy wpadły jej do oczu. Natychmiast odgarnęła je za uszy. - Warczycie na siebie jak dwa rozwścieczone kundle! Jakim prawem ośmielacie się tak mnie traktować! Do diabła, nie jestem bezwolną kukłą i sama decyduję o sobie. Ty... - Popatrzyła na Erica. - Mówiłam do ciebie łagodnie, starannie doбираłam słowa, by nie sprawić ci przykrości, mając przy tym nadzieję, że zrozumiesz i przyswoisz sobie ich treść. Bo to, co powiedziałam, jest nieodwołalne i ostateczne. Jednak jeśli nie znikniesz na zawsze z moich oczu, to ostrzegam, że i ty, i wiele innych osób usłyszy o niejakiemu Ericu Keetonie sporo nieprzyjemnych rzeczy.

- Eden, kochanie...

- Jak śmiesz! - Ze wstrętem odtrąciła jego rękę. - Ty draniu, rzuciłeś mnie, gdy tylko pojawiły się kłopoty! Zwiąłeś ode mnie jak od zadżumionej, bo bałeś się, że plotki o mojej rodzinie mogą zaszkodzić twojej karierze. Zostawiłeś mnie na pastwę losu, bo okazało się, że nie wniosę do naszego małżeństwa sutego posagu! Tym się kierowałeś, niczym innym. Jeśli sądzisz, że wrócę do człowieka, który okazał się podłym, samolubnym... - Jakim to słowem Candy go określała? - dupkiem, to musisz uważać mnie za kompletną idiotkę. I jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie dotknąć, to przysięgam, pogruhoczę ci kości!

Co za kobieta, pomyślał z zachwytem Chase. Nie mógł się doczekać, żeby wziąć ją w ramiona i udowodnić, jak bardzo ją kocha. Wcześniej widział w Eden piękną, niemal eteryczną istotę, teraz ujrzał nieustraszoną wojowniczkę, która nadzwyczaj celnie wymierza ciosy. Uśmiechał się, kiedy obróciła się w jego stronę.

- A ty... - Podszedłszy bliżej, zaczęła dźgać go palcem w pierś. - Jak chcesz się bić o kobietę, to poszukaj sobie innej. Rycerz neandertalczyk jest całkiem nie w moim stylu.

- Na miłość boską, Eden, ja...

- Zamknij się, cholerny macho. - Znów go dźgnęła. - Nie potrzebuję prężącego mięśnia obrońcy. A gdybym potrzebowała, to są od tego agencje ochrony. A jeśli myślisz, że lubię, jak ktoś wtyka nos w moje sprawy, to jesteś w błędzie. - Oddychając głęboko, zmierzyła spojrzeniem obu nieszczęsnych zalotników. - Nie jestem piłeczką pingpongową, którą dwóch dorosłych facetów może odbijać

między sobą. Sama podejmuję decyzje. I właśnie podjęłam. Nie chcę żadnego z was.

Odwróciwszy się na pięcie, zostawiła ich pod orzesznikiem i ruszyła do sali, w której trwała zabawa. Oni zaś w osłupieniu odprowadzili ją wzrokiem.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Ostatniego dnia obozu panowało istne pandemonium. Dziewczynki pakowały się, wylewały łzy, szukały zagubionych butów. W każdym domku wybuchał inny kryzys. W dodatku należało zabezpieczyć sprzęt, zrobić inwentaryzację...

Ściągano z łóżek pościel, prano ją, suszono. Okazało się, że brakuje dwóch koców, natomiast ręczniki cudownie się rozmnożyły, w każdym razie było o pięć więcej niż na początku.

Eden uznała, że swoje rzeczy spakuje później, kiedy w obozie zapanuje jaki taki spokój. Rozważała też, czy nie lepiej zostać jedną noc dłużej i dopiero nazajutrz, gdy dobrze się wyśpi, ruszyć do domu. Tłumaczyła sobie, że ona lub Candy wręcz powinna zostać, by spokojnie obejść pusty teren, wszystko sprawdzić i pozamykać. To by było rozsądne i odpowiedzialne.

Opuściwszy suszarnię, skierowała się do stajni i zaczęła liczyć uzdy. To jedyny powód, przekonywała samą siebie. Pośpiech i rozgardiasz niczemu nie służą. Odhaczając w notesie szczotki i zgrzebła, starała się nie myśleć o Chasie. Co jak co, ale on na pewno nie miał nic wspólnego z jej decyzją, aby zostać dłużej. Dwukrotnie

policzyła wędzidła, za każdym razem otrzymując inny wynik. Zaczęła liczyć po raz trzeci.

Następnie przystąpiła do oględzin wodzy. Warto by je przetrzeć specjalnym mydłem. To kolejny powód, żeby zostać do jutra. Krążąc po siodłami, znów - tak jak wielokrotnie w ciągu ostatniego tygodnia - zaczęła dumać o ostatnim spotkaniu z Erikiem i Chase'em. Wygarnęła im prawdę, niczego nie żałowała. Każde wykrzyczane słowo pochodziło prosto z serca. Choć od tamtego wieczoru minęło siedem dni, jej złość i determinacja nie zmalęły.

Kłócili się o nią, jakby była rzeczą, nagrodą. Na samo wspomnienie poczuła, jak wszystko w niej kipi z oburzenia. Nie uczyła się dla nich, liczyło się wyłącznie ich własne ego. Może innym kobietom to nie przeszkadzało, ale ona czegoś takiego absolutnie nie akceptowała. Dopiero niedawno odnalazła samą siebie, własną tożsamość. Dla nikogo, dla żadnego mężczyzny, nie zamierzała z niej rezygnować.

Rozgniewana przeszła do siodła. Eric nigdy jej nie kochał. Nie miała co do tego cienia wątpliwości. Mimo to chciał uzurpować sobie do niej prawo. Moja kobieta. Moja własność. Moja narzeczona. Ha! Prychnęła pogardliwie. Jeden z koni odpowiedział identycznym prychnięciem.

Dobrze, że Dottie zabrała Erica... Tamtego wieczoru Eden za siebie nie ręczyła. Mogłaby mu wyrządzić krzywdę. Taką, która by go zabolęła, a jej sprawiła przyjemność.



Jeszcze gorzej od Erica zachował się Chase. Znacznie gorzej. Wpatrując się w przestrzeń, zaczęła bębnić ołówkiem o notes. Chase nigdy nie mówił o miłości, niczego nie obiecywał, o nic nie prosił. A jednak postąpił równie haniebnie jak Eric.

Na tym kończyły się podobieństwa między nimi. Przycisnęła rękę do czoła. Psiakość, kochała Chase'a. Była w nim zakochana po uszy. Gdyby powiedział choć jedno słowo, gdyby normalnie z nią porozmawiał, przypuszczalnie wszystko wyglądałoby inaczej.

Dlaczego milczał? Dlaczego o nic nie spytał? Dla niego gotowa była pójść na wiele kompromisów. Za późno, pomyślała, prostując ramiona. Cokolwiek mogło się wydarzyć, już się nie wydarzy. Trzeba wprowadzić parę zmian, ułożyć nowe plany, zacząć nowe życie. Skoro teraz jej się udało, uda się kolejny raz.

- Plany - mruknęła, wpatrując się w notes. Tak, trzeba się do nich zabrać, jeśli w przyszłym roku obóz ma odnieść sukces. Zanim się człowiek obejrzy, znów nastanie wiosna, potem lato.

Zacisnęła nerwowo palce na ołówku. Czy odtąd tak będzie wyglądało jej życie? Latem prowadzenie obozu, a przez pozostałą część roku pustka i czekanie? Ile razy będzie chodziła na spacer brzegiem jeziora w nadziei, że spotka Chase'a?

Odetchnęła głęboko. Nie. Należy pozwolić sobie na okres żałoby, a czas uleczy rany. Tego też się nauczyła w ciągu ostatniego roku. Może uroni parę łez, a potem zacznie budować życie od nowa.

- Eden! Gdzie jesteś?

- Tutaj.

- Dzięki Bogu! - Do stajni wpadła zdyszana Candy.  
- O co chodzi?  
- Roberta. - Przycisnęła rękę do serca.  
- Roberta? Coś się stało?  
- Znikła. Nie ma jej.  
- Jak to nie ma? Rodzice wcześniej ją odebrali?  
- Nie, znikła. - Candy przeczesła ręką włosy. - Torba stoi spakowana, a jej nigdzie nie ma.

- Psiakrew! - Bardziej zirytowana niż zmartwiona, Eden odłożyła notes. - Czy to dziecko niczego się nie nauczyło? Wystarczy na moment spuścić ją z oka...

- Powiedziała Marcie i Lindzie, że ma coś ważnego do załatwienia. - Candy westchnęła głośno. - Nie zdradziła im, o co chodzi. Oczywiście mogła się wybrać na łąkę, by zerwać bukiet kwiatów dla mamy, ale...

- Mogła, ale nie musiała.  
- No właśnie. Szukają jej trzy wychowawczynie. Może ty wpadniesz na jakiś pomysł? Cholera jasna! Że też musiała nam wyciąć taki numer ostatniego dnia!

Eden zacisnęła powieki, usiłując się skupić. Liczne rozmowy z Robertą przelatowały jej przez głowę i nagle...

- O, nie. - Otworzyła oczy. - Chyba wiem, gdzie ona jest.  
Rzuciła się biegiem do wyjścia. Candy za nią.  
- Gdzie?

- Wezmę samochód. Będzie szybciej - Skręciła za domek, który zajmowały z Candy. Na tyłach, pod starą poskręcaną gruszą, stało małe sportowe auto. - Pewnie poszła pożegnać się z Chase'em, ale na wszelki wypadek niech ktoś sprawdzi sad.

- Już sprawdziłyśmy. Słuchaj...

- Wrócę za dwadzieścia minut.

- Eden... - Warkot silnika zagłuszył słowa Candy.

- Nie martw się. Przywiozę z powrotem tę diabolicę, choćbym związana i zakneblowana.

- Dobrze, ale... - Candy odskoczyła na bok, przepuszczając auto. - Kurczę... - westchnęła, spoglądając na tylne światła. - Bak jest prawie pusty.

Za to, że niebo przybierało coraz ciemniejszą barwę, Eden również winiła Robertę. Dałaby sobie głowę uciąć, że dziewczynka chciała po raz ostami wybrać się na farmę. Pięciokilometrowy spacer nie powstrzymałby tak upartego diabełka.

Mijając bramę zwieńczoną napisem „ELLIOT”, myślała tylko o tym, co powie Robercie. Nagle silnik zaczął wydawać dziwne dźwięki. Prychnął raz, drugi i zgasł. Wskaźnik paliwa zatrzymał się na czerwonej kresce oznaczającej pusty bak.

- Psiakrew! - Eden z całej siły uderzyła ręką w kierownicę, po czym zasyczała z bólu. W przeciwieństwie do nowych aut, które miały miękkie kółka, w starych wozach kierownice były twarde jak ze stali. Dmuchając na obolały nadgarstek, wysiadła z samochodu. W

tym samym czasie powietrzem wstrząsnął piorun, zaraz potem lunął deszcz.

Stała z przy unieruchomionym samochodzie, rozglądając się bezradnie wkoło. W ciągu dosłownie kilku sekund była przemoczona do suchej nitki.

- Wspaniale - syknęła. - Zabiję tę dziewczynę. - Omiotła wściekłym spojrzeniem zasnuwane chmurami niebo, po czym ruszyła biegiem przed siebie.

Zygzaki błyskawic złowrogo rozświetlały wzgórze. Po każdym błysku rozlegał się grzmot i serce Eden zamierało z trwogi. Im bliżej była domu Chase'a, tym większy narastał w niej strach. A jeśli się pomyliła? Jeśli nie zastanie Roberta? Jeśli dziewczynka, mokra i wystraszona, skryła się pod jakimś drzewem? A może się zgubiła? Może skreśliła nogę?

Uf, nareszcie! Zwinąwszy dłoń w pięść, Eden zaczęła dobijać się do drzwi. Serce waliło jej jak młot, pioruny dudniły nad głową. Obejrzała się przez ramię i ujrzała jedną wielką ścianę deszczu. Jeżeli biedna Roberta gdzieś tam błądzi... Nie. Eden uniosła drugą pięść; łomotała w drzwi oboma, krzyczała.

Kiedy Chase otworzył drzwi, niemal zwała się do środka, a on patrzył na nią z zachwytem. Piękniejszej istoty niż ta przemoczona, rozczochrana kobieta w życiu nie widział.

- Co za niespodzianka. Dać ci ręcznik?

Chwyciła go za poły koszuli.

- Roberta - wysapała.

- Jest w salonie. - Delikatnie odgarnął Eden włosy z twarzy. - Nie denerwuj się.

- Dzięki Bogu. - Bliska łez, przycisnęła palce do oczu. Po chwili uniosła głowę. - Zaraz ją uduszę!

Chase szybko zastąpił jej drogę. Teraz, gdy już poznał porywczy temperament Eden, wołał nie ryzykować.

- Wiem, co czujesz, ale nie bądź na nią zła.

- Odsuń się, bo ciebie też uduszę! - Odepchnęła Chase'a na bok. - Roberto...

Dziewczynka siedziała na podłodze, bawiąc się z psem.

- Dzień dobry, panno Carlbough. - Uśmiechnęła się szeroko, gdy jednak zobaczyła, że Eden jest przemoczona do suchej nitki, przygryzła wargę. - Ojej, zmokła pani.

- Roberto - powtórzyła groźnym tonem.

Squat zastrzygł uszami. Kiedy ruszyła w stronę dziewczynki, pies postąpił parę kroków do przodu i usiadł pomiędzy Robertą a Eden, uderzając ogonem o podłogę.

- Przywołaj go - rozkazała, nie patrząc na Chase'a.

- Niech się pani nie boi, panno Carlbough. Squat nie zrobi pani krzywdy. - Gdy Roberta objęła psa za szyję, wyszczerzył zębiska i jeszcze mocniej zaczął walić ogonem o podłogę. - To bardzo przyjacielskie stworzenie. Niech pani da mu rękę do powąchania.

Żeby mi ją odgryzł? - pomyślała Eden, tkwiąc nieruchomo.

- Roberto, chyba po tylu tygodniach znasz regulamin Liberty i wiesz, że nie można samowolnie opuszczać terenu obozu?

- Wiem, ale miałam ważny powód.

- To bez znaczenia. - Skrzyżowała ręce na piersi. Zdawała sobie sprawę, że wygląda jak zmokła kura, ale kazania nie przerwała. - Regulamin jest po to, żeby go przestrzegać, służy zachowaniu porządku i bezpieczeństwa. A ty go złamałaś, i to nie po raz pierwszy. Zrozum, panna Bartholomew i ja jesteśmy za was odpowiedzialne. Wasi rodzice mają prawo oczekiwać. ..

Dziewczynka słuchała z poważną miną Eden zamierzała kontynuować wywód, ale nie dała rady.

- Kochanie, nawet sobie nie wyobrażasz, jak mnie wystraszyłaś.

- Przepraszam. - Ku jej zdziwieniu Roberta poderwała się na nogi i podbiegłszy kilka kroków, objęła Eden w pasie. - Nie chciałam. Słowo honoru. Po prostu myślałam, że wrócę, zanim ktokolwiek zauważy moją nieobecność.

- Tak myślałaś? - Śmiejąc się pod nosem, Eden pocałowała dziewczynkę w czubek głowy. - Ty mały potworze! Nie wiesz, że mam wewnętrzny radar nastawiony wyłącznie na ciebie?

- Naprawdę? - Przytuliła się mocniej.

- Naprawdę.

- Przepraszam, panno Carlbough. - Dziewczynka uniosła piegowatą twarzyczkę. - Ale ja musiałam zobaczyć się z Chase'em.

- Z Chase'em? - powtórzyła, spoglądając na niego. - Nie z panem Elliotem?

- Mieliśmy do omówienia prywatną sprawę - wyjaśnił Chase.

Ciekaw był, czy Eden ma świadomość, jak niesłychanie opiekuńczym gestem obejmuje Robertę.

- Może po dwunastoletniej dziewczynce faktycznie nie można oczekiwać zbyt wiele, jednakże dorosły mężczyzna powinien być na tyle odpowiedzialny...

- Zadzwoiłem do obozu - rzekł, wytrącając jej z ręki argument. - Dosłownie minutę po twoim wyjściu. Wiedzą, że Robercie nic nie grozi. - Gdy zacisnął dłoń na koszuli Eden, na podłogę spadło kilka kropli wody. - Przyszłaś na piechotę?

- Nie. - Z irytacją strzepnęła jego rękę. - Samochód... zepsuł się - skłamała, a potem, marszcząc gniewnie czoło, popatrzyła na Robertę. - Przed samą burzą.

- Ojej, a... A nabrała pani benzyny? Bo bak był prawie pusty.

Po prostu ją uduszę, to postanowione, pomyślała Eden, ale w tym momencie na zewnątrz rozległ się dźwięk klaksonu.

- To Delaney - oznajmił Chase, który podszedł do okna. - Obiecał odwieźć Robertę do obozu.

- To miło z jego strony. - Eden wzięła dziewczynkę za rękę. - Dziękujemy.

- Samą Robertę. - Przytrzymał Eden za łokieć. Nie zamierzał jej puścić. - A ty lepiej wyskakuj z tych mokrych ciuchów, zanim się przeziębisz.

- Wskoczę, jak tylko wrócę do Liberty.

- Moja mama twierdzi, że człowiek się zaziębia od nóg, jak chodzi w mokrych butach. - Dziewczynka uściskała Eden na

pożegnanie. - Do zobaczenia w przyszłym roku - powiedziała do Chase'a i, co było do niej całkiem niepodobne, nieśmiało spuściła oczy. - Naprawdę będziesz do mnie pisał?

- Słowo. - Chase pocałował ją najpierw w jeden policzek, potem w drugi.

Piegi niemal znikły pod rumieńcem, który zabarwił twarz małej intrygantki.

- Będę za panią tęskniła, panno Carlbough. - Roberta ponownie uścisnęła Eden.

- Och, kochanie, ja za tobą też.

- W przyszłym roku przyjadę z kuzynką. Wszyscy biorą nas za siostry, takie jesteśmy do siebie podobne.

- Z kuzynką? To wspaniale. - Może, pomyślała Eden, przez zimę uda mi się naładować akumulatory.

- To było najlepsze lato w moim życiu. No to pa!

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

- W moim również. - Chase chwycił Eden, zanim zdołała wybiec za Robertą.

- Puść mnie, Chase. Muszę wracać.

- Musisz wyschnąć, chociaż, jak już raz mówiłem, wyglądasz fantastycznie, gdy tak ociekasz wodą.

- Nie zostanę tu - rzuciła ostro, kiedy poprowadził ją ku schodom.

- Nie masz wyjścia. Delaney odjechał, a twój samochód nie ruszy.

- Ponaglił ją, widząc, że dygocze z zimna. - Poza tym zostawiasz kałuże na podłodze.



- Faktycznie, przepraszam. - Przez sypialnię, w której stało duże mosiężne łóżko, przeszli do łazienki. - Chase, wiem, że chcesz dobrze, ale może odwiózłbyś mnie...

- Jak weźmiesz gorący prysznic i przebierzesz się w suche ubranie.

Pewnie gdyby ofiarował jej futro z soboli i szmaragdy, aż tak by się nie ucieszyła. Ostatni raz brała gorący prysznic trzy miesiące temu. Mimo to, jakżeby inaczej, zaczęła protestować:

- No, nie wiem... - Ale drzwi się za nią zamknęły.

Popatrzyła na kabinę prysznicową i przygryzła wargę. Nigdy w życiu nie widziała czegoś tak pięknego. Nigdy w życiu niczego tak bardzo nie pragnęła. Po dwóch sekundach przestała się opierać.

- Skoro tu już jestem... - mruknęła, ściągając ubranie.

Gdy odkręciła kran, westchnęła błogo i zamknęła oczy. Boże, to grzech, pomyślała, rozkoszując się ciepłą bryzą.

Kwadrans później z żalem zakręciła wodę. Obok na haczyku wisiał gruby, miękki ręcznik. Owinęła się nim. Nadal czuła się jak w niebie, dopóki nagle nie spostrzegła, że znikło jej ubranie.

Zmarszczyła czoło, wpatrując się w pusty wieszak, na którym zostawiła mokre rzeczy. Psiakrew, Chase musiał wejść, kiedy była w kabinie. Popatrzyła na matową szybę w drzwiach. Czy na pewno nic przez nią nie widać?

Bądź rozsądna, nakazała sobie, i nie czepiaj się Chase'a. Wziął ubranie, żeby je wysuszyć. Nie chce, żebyś się przeziębila.

Mimo to z lekkim niepokojem sięgnęła po wiszący na drzwiach granatowy szlafrok. Oczywiście należał do niego. Pachniał nim, w dodatku tak intensywnie, jakby Chase stał tuż obok. Obwiązała się paskiem i zadrżała, chociaż było jej ciepło.

Bądź rozsądna, powtórzyła w myślach. Posiedzisz w szlafroku, dopóki ubranie nie wyschnie.

Wtuliła brodę w kołnierz.

Po chwili wzięła się w garść i wytarła ręcznikiem wilgoć z lustra. To, co ujrzała, sprawiło, że wszelkie romantyczne myśli natychmiast znikły. Owszem, policzki miała lekko zarumienione od prysznic, ale na rzesach nie pozostał ślad tuszu. Mokre, potargane strąki, wielkie oczy, których błękit jeszcze bardziej podkreślał kolor szlafroka... Wyglądała jak topielica. Przeczesała ręką włosy, ale nic to nie dało.

Uroczo, pomyślała, otwierając drzwi. W sypialni na moment przystanąła. Chciała się rozejrzeć, czegoś dotknąć, pośpiesznie jednak opuściła pokój i zeszła po schodach. W salonie, kiedy zobaczyła Chase'a, znów zaczęła dygotać.

Stał w koszuli i dżinsach przed dziewiętnastowiecznym barkiem i z kryształowej karafki nalewał brandy. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Kochała go, lecz wkrótce wyjedzie i nie będzie go widziała przez długie zimowe miesiące.

Obrócił się. Zdawał sobie sprawę, że Eden stoi w progu i go obserwuje, czuł jej obecność, ale przez moment udawał, że o niczym nie wie. Kiedy wszedł do łazienki po mokre ubranie, nuciła. Przez szybę kabiny zobaczył niewyraźny zarys jej ciała. Ledwie się

pohamował. Jeszcze nigdy niczego tak bardzo nie pragnął jak tego, by odsunąć drzwiczki i wziąć ją w ramiona naga, ciepłą, moką.

Teraz, gdy stała w progu, drobna i krucha w obszernym szlafroku, pragnienie powróciło ze wzmożoną siłą.

- Lepiej? - spytał.

- Tak, dziękuję. - Odruchowo zacisnęła rękę na połach szlafroka.

- Wypij. - Podał jej brandy. - Powinno zapobiec przeziębieniu.

Trzymając kieliszek oburącz, podniosła go wolno do ust. Miała nadzieję, że odrobina alkoholu dobrze jej zrobi.

- Sprawiam ci kłopot. Przepraszam - powiedziała chłodnym, uprzejmym tonem, nie ruszając się z miejsca.

- Nie sprawiasz. - Miał ochotę chwycić ją za ramiona i mocno potrząsnąć. - Może usiądziesz?

- Nie, dziękuję. - Wyminąwszy Chase'a, podeszła do okna. Deszcz wciąż lał jak z cebra. - Zbyt długo to nie może potrwać, prawda?

- Zdecydowanie nie - odparł Chase z rozbawieniem. - Zdumiewa mnie, że tak długo się ciągnie. - Odstawił kieliszek i również podszedł do okna. - Czas najwyższy, żebyśmy przestali. Nie sądzisz?

- Nie wiem, o czym mówisz. - Nie miała dokąd uciec.

- Ależ świetnie wiesz.

Wyjął Eden kieliszek z ręki, po czym wolnym ruchem odgarnął włosy z jej twarzy. Dojrzał w błękitnych oczach błysk strachu, ale pod nim dostrzegł coś jeszcze. Pożądanie.

- Staliśmy kiedyś w tym samym miejscu. Powiedziałem ci wówczas, że jest za późno.

Wtedy przez okno wpadały jaskrawe promienie słoneczne, teraz w szyby walił deszcz. Eden poczuła, jak przeszłość zlewa się z teraźniejszością.

- To prawda, staliśmy w tym samym miejscu i mnie pocałowałeś.

Przywarł ustami do jej ust w gorącym pocałunku. Wyczuwał w niej pragnienie, namiętność, głód. Chciał wyczuć coś jeszcze, coś, na czym najbardziej mu zależało, a mianowicie akceptację.

Deszcz dudnił o szyby, huk wstrząsał powietrzem, a niebo rozdzierały błyskawice. Burza szalała na zewnątrz, ale również w Eden. Tak, chciała, żeby Chase zdarł z niej szlafrok i gładził jej nagie ciało. Pragnęła, by nic ich nie dzieliło. Chciała ofiarować mu miłość, ale wiedziała, że nie może, że musi ją ukryć, stłumić.

- Chase, nie możemy... - szepnęła, odwracając głowę. - W obozie czekają na mnie...

- Nigdzie nie pójdziesz. - Jego cierpliwość powoli się wyczerpywała.

Opuściła ręce, uwolniła się z jego objęć.

- Candy będzie się denerwować. Gdybyś mógł mi oddać ubranie...

- Nie.

- Nie?!

- Candy nie będzie się denerwować - sięgnął po kieliszek - bo wie, gdzie jesteś. Zadzwoń do niej i uprzedź ją, że nie wrócisz. Powiedziała, żebyś się o nic nie martwiła, bo wszystko jest pod kontrolą. - Pociągnął łyk brandy. - Aha, i nie oddam ci ubrania. Ale może masz inne życzenia?

- Zadzwoń do Candy?

Strach i niepewność znikły z twarzy Eden, ustępując miejsca wściekłości. Oczy jej pociemniały. Chase z trudem powściągnął uśmiech. Kochał chłodną, dystygowaną Eden, kochał Eden nerwową, wylękłą, kochał Eden stanowczą, ale najbardziej uwielbiał Eden wojowniczkę.

- Tak? A co?

- Jakim prawem podjąłeś za mnie decyzję? - Ponownie dźgnęła go palcem, który ledwie wystawał z rękawa. - Jakim prawem wydzwaniasz do Candy? Jakim prawem zakładasz, że zostanę tu z tobą?

- Nic nie zakładam. Po prostu wiem. Zostaniesz. Koniec, kropka.

- Mylisz się.

Z furią dźgnęła go po raz drugi i trzeci, a on wiedział, że gdyby nie kochał jej do szaleństwa, zakochałby się w niej teraz, w tym momencie.

- Chryste, mam po dziurki w nosie władczych, rozkazujących typków, którym wydaje się, że mogą mieć wszystko, czego tylko zapragną.

- Eden, nie jestem Erikiem - powiedział cicho, niemal szeptem. - Rozmawiasz ze mną, z Chase'em.

- Znów się mylisz. Skończyłam z tobą rozmawiać. Oddaj mi ubranie.

Ostrożnie odstawił na bok kieliszek.

- Nie.

- W porządku. Wrócę w szlafroku. - Pomaszerowała do drzwi i otworzyła je.

W holu leżał Squat. Na widok Eden usiadł i wyszczerzył zęby. Postąpiła krok naprzód, po czym wściekła z powodu własnego tchórzostwa, obejrzała się przez ramię.

- Możesz przywołać do siebie tę bestię?

Chase zerknął na psa, wiedząc, że najgorsze, co może Eden spotkać z jego strony, to wylizanie od stóp do głów.

- Bestia jest zaszczepiona - poinformował ją nad wyraz uprzejmie.

- Wspaniale. - Skierowała się do okna. - Wyjdę więc przez ogród.

Klęknęła na ławie pod oknem i zaczęła je otwierać. Chase objął ją w pasie.

- Zabierz rękę! - wrzasnęła. - Powiedziałam, że wychodzę! - Obróciła się do niego twarzą. - Co? Chcesz swój szlafrok? W porządku. Nie potrzebuję go. Mogę iść na golasa. - Zaczęła rozsupływać pasek.

- Radzę ci, nie rób tego. - Zacisnął rękę na jej palcach. - Bo nie zdołamy porozmawiać.

- W ogóle nie zamierzam z tobą rozmawiać! - Przez moment szamotała się z nim, po czym oboje opadli na ławę.

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. - W trakcie szamotaniny szlafrok podjechał jej do ud. - Chcę jak najprędzej znaleźć się setki kilometrów stąd. Tamtego wieczoru, kiedy obaj z Erikiem traktowaliście mnie jak powietrze, stwierdziłam, że wolę iść do

zakonu, niż mieć do czynienia z rodzajem męskim. Nikt nie będzie mną pomiatał. A teraz zabierz łapy, bo przysięgam, że pożałujesz!

Z całej siły odepchnęła Chase'a. Oboje zsunęli się z poduszek i wylądowali na podłodze. Tak jak poprzednim razem, Chase przetoczył się i przygniótł Eden do ziemi.

- Boże, jak ja cię kocham! - Ze śmiechem przycisnął usta do jej ust. Nie odepchnęła go. Nie próbowała walczyć. Nawet się nie poruszyła.

Oddychała z trudem, czekając, aż jej serce się uspokoi.

- Czy mógłbyś to powtórzyć? - poprosiła w końcu.

- Kocham cię. - Wpadł w panikę, kiedy Eden zamknęła oczy. - Wiem, że zostałeś skrzywdzona, ale błagam, zaufaj mi. Obserwowałem cię przez tych kilka miesięcy, widziałem, jak się zmieniasz, jak nadajesz kierunek własnemu życiu. Nie wtrącałem się, bo rozumiałem, że potrzebujesz czasu, spokoju, przestrzeni...

Otworzyła oczy. Serce znów waliło jej jak młot.

- Dlatego się nie wtrącałeś?

- Nie chciałem ci przeszkadzać. Widziałem, że sama próbujesz sobie coś udowodnić i dopóki nie osiągniesz celu, nie będziesz gotowa dzielić ze mną życia.

- Chase...

- Poczekaj. - Przytknął palec do jej ust. - Wiem, że jesteś przyzwyczajona do pewnego stylu życia. Jeśli zechcesz, postaram się ci go zapewnić, ale myślę, że tutaj też moglibyśmy być szczęśliwi.

- To znaczy... gdybym cię poprosiła, przeniósłbyś się do Filadelfii?

- Przeniósłbym się wszędzie, gdzie tylko byś chciała. Nigdzie nie puszcze cię samej. Parę letnich miesięcy z tobą mi nie wystarczy.

- Czego ode mnie chcesz, Chase? - spytała cicho.

- Wszystkiego. Wspólnego życia, poczynając od teraz. Miłości, kłótni, dzieci. Wyjdź za mnie, Eden. Pobądźmy pół roku tutaj. Jeśli nie będziesz szczęśliwa, zamieszkamy, gdzie zechcesz. Po prostu nie uciekaj.

- Nie uciekam. - Splotła palce z jego palcami. - I nie chcę nigdzie stąd wyjeżdżać.

Zmrużył oczy, zacisnął palce.

- Kiedy cię teraz pocałuję, nie będzie już odwrotu.

- Sam powiedziałaś, że jest za późno na odwrót. - Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. - Trzymaj mnie mocno, Chase. I nigdy nie puszczaj. Wariowałam z rozpaczy, że muszę wyjechać, kiedy tak bardzo cię kocham.

- Daleko byś nie ujechała.

Eden uśmiechnęła się. Odrobina arogancji całkiem jej się podobała.

- Wyruszyłbyś za mną?

- Pędziłbym tak szybko, że pierwszy dotarłbym na miejsce, ukloniłbym się w pas i...

- I błagałbyś, żebym z tobą wróciła?

Poruszył zabawnie brwiami.



- Powiedzmy, że w sposób jednoznaczny dałbym ci do zrozumienia, jak bardzo cię pragnę.

- Czyli błagałbyś - szepnęła zadowolona, wsuwając ręce w jego czarne włosy. - Któregoś dnia posiwiejesz, a ja wciąż będę cię kochać.

- Popatrzyła na niego z miłością. - Całe życie na ciebie czekałam.

Wtulił twarz w jej szyję. Korciło go, żeby kochać się z nią tu i teraz.

- Wiesz co? - Uniósł głowę. - Chciałem zamordować Keetona, kiedy zobaczyłem, że cię dotyka.

- Nie wiedziałam, jak ci to wytłumaczyć. A potem... Potem zachowałeś się, jak to mówią na salonach, całkiem niestosownie.

- Za to ty byłaś wspaniała. Biedak aż struchlał ze strachu.

- A ty?

- Jeszcze bardziej cię zapragnąłem. - Obsypał jej twarz drobnymi pocałunkami. - Zamierzałem zakraść się do obozu i cię porwać, ale dzięki Robertcie nie musiałem.

- Oby tylko nie rozpaczała, że wybrałaś mnie zamiast niej. Bo wiesz, masz fajnego psa i w ogóle jesteś super. - Przysunęła usta do wrażliwego miejsca nad jego uchem.

- Nie, Roberta na pewno nie będzie rozpaczać. Ona jest absolutnie za.

- Za? - Przerwała pieszczoty. - To znaczy powiedziałaś jej, że zostanę twoją żoną?

- Oczywiście.

- Zanim jeszcze poprosiłeś mnie o rękę?

Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

- Uznałem, że razem ze Squatem zdołamy cię przekonać.

- A gdybym powiedziała „nie”?

- Ale nie powiedziałaś.

- Jeszcze mogę zmienić zdanie. - Umilkła, rozkoszując się pocałunkiem. - Mmm - zamruczała cicho. - No dobra, może ten jeden raz ci się upiecze.